

AGATA
CZYKIERDA-GRABOWSKA

ODDAJ TO NOCY

KAŻDY ZASŁUGUJE NA SPRAWIEDLIWOŚĆ



zwierciadło

AGATA
CZYKIERDA-GRABOWSKA

**ODDAJ TO
NOCY**

zwierciadło

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Tytuł oryginału: *Oddaj to nocy*

© Copyright by Agata Czykierda-Grabowska, Warszawa 2022
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zwierciadło sp. z o.o.,
Warszawa 2022

Redakcja: Dorota Nosowska
Korekta: Barbara Zawiejska

Skład i łamanie: Sylwia Kusz, Magraf s.c., Bydgoszcz
Zdjęcia okładkowe: iStock/mheim3011, Unsplash/Dusan Adamovic
Projekt okładki: Maciej Sysio

Redaktor inicjująca: Blanka Woškowiak
Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski

Wszelkie podobieństwa zdarzeń, instytucji i osób są przypadkowe i niezamierzone.
Opowieść stanowi literacką fikcję.

Wydawnictwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności wobec osób lub podmiotów za jakiegokolwiek ewentualne szkody wynikłe bezpośrednio lub pośrednio z wykorzystania, zastosowania lub interpretacji informacji zawartych w książce.

Wydanie I, 2022

ISBN: 978-83-8132-402-1

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.
ul. Widok 8, 00-023 Warszawa
tel. 603-798-616

Dział handlowy:
handlowy@grupazwierciadlo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie, w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersja: [eLitera s.c.](#)



Tamtego dnia z nieba lunął strumień deszczu i w piwnicy bloku zaczęła zbierać się woda. To było na kilka dni przed tym, gdy Ela dowiedziała się, że czeka ją olbrzymia zmiana w życiu.

Sąsiedzi zaczęli się nawzajem informować o zalaniu komórek i ona też musiała się pofatygować na dół, chociaż nigdy nie znosiła tej ciemnej, śmierdzącej wilgocią i szczurami nory. Na szczęście to mężowi zawsze przypadało w udziale przynoszenie stamtąd przetworów czy wymiana sezonowej garderoby.

Kobieta niechętnie przystanęła u szczytu schodów i dłuższą chwilę wpatrywała się w oświetlone słabą, migoczącą jarzeniówką pomieszczenie. Zawsze czuła jakiś pierwotny lęk przed tym miejscem.

Z dołu dobiegły ją rozmowy i od razu poczuła się bezpieczniej. Pewnie sąsiedzi też próbują zabezpieczyć swoje szpargały. Pomyślała z ulgą, że nie będzie sama. W zasadzie nikt nie trzymał w swoich schowkach nic cenniejszego od rowerów, ale i te były warte uratowania.

Ich pomieszczenie gospodarcze znajdowało się na końcu krętego korytarza. Ela w pośpiechu ruszyła schodami w dół, a potem skręciła w prawo, ignorując uporczywe myśli o gryzoniach uciekających przed wodą. Wzdrygnęła się.

Gdy dotarła do komórki, wdepnęła w kałużę.

– Niech to szlag! – syknęła, podnosząc stopę w trampku, który doszczętnie przemókł.

Na dworze szum deszczu walącego o parapety i wiatru targającego gałęziami trochę ją przerażał. Lubiła deszcz, ale nie znosiła silnych burz, a właśnie się na taką zanosilo. Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Dochodziła pierwsza. Dzieci powinny być jeszcze w szkole. Andrzej kończył pracę trochę wcześniej, ale obiecał na nie zaczekać.

Odetchnęła z ulgą. Znała swoje dzieciaki, a w szczególności Arka, który byłby zdolny iść pieszo w tę wichurę. Kinga była o wiele rozsądniejsza, ale mogła ulec bratu.

Ela wyciągnęła klucze z kieszeni i otworzyła drzwi komórki. Odczekała z zamkniętymi oczami kilka sekund, żeby uciekły ewentualne gryzonie, chociaż miała nadzieję, że nie przedostały się do ich schowka. Nacisnęła włącznik. Pomieszczenie rozjaśniło blade światło żarówki.

Rozejrzała się po wnętrzu i sapnęła z frustracji, nie wiedziała, do czego wziąć się w pierwszej kolejności. Nie była tu od dobrych dwóch lat. A może i dłużej. Większość kartonów i worków foliowych znajdowała się na metalowym regale, który Andrzej złożył kilka lat temu. Nawet schludnie to wyglądało. Jej mąż był pedantem, ale nie sądziła, że będzie mu się chciało przenosić to umiłowanie porządku nawet na piwniczny grunt. Jedynie kilka pudełek z butami znajdowało się poza regałem na betonowej podłodze. Schyliła się po jedno z nich, stało w samej wodzie. Otworzyła je i się skrzywiła. W środku leżały nowe zimowe trapery Arka, które kupiła w promocji pod koniec sezonu. Były mokre i cuchnęły.

– Cholera – jęknęła i wyciągnęła kolejne pudło, które nie wyglądało lepiej.

Dziesięć minut później wszystkie pudełka na buty były już opróżnione. Ela powrzucała je do pustego worka na śmieci. Drugi posłużył jej jako torba na obuwie, które chciała jeszcze uratować.

Żałowała, że nie wzięła ze sobą wiadra i mopa, chociaż teraz to było bez sensu. Przynajmniej do momentu, aż skończy się burza, która w najlepsze szalała nad miastem. Woda na pewno sączyła się przez maleńkie okienko u sąsiada w piwnicy obok i przeciekała przez drzwi na korytarz, a potem do nas, myślała. Sąsiad spod dwudziestki był jeszcze w pracy i nie miał jak powstrzymać szkody.

Schyliła się jeszcze pod regał, żeby nie przeoczyć jakiejś pary butów i zauważyła, że pod najniższą półką, w najdalszym kącie było jeszcze jedno opakowanie. Chciała je już zostawić, bo podejrzewała, że mogły je zasiedlić szczury, ale rozsądek zwyciężył. A jeśli znajdowały się w nim jej skórzane pantofle?

Uklękała, skrzywiła się i z zamkniętymi oczami sięgnęła po karton. Szarpnęła, ale nie zdołała go wyciągnąć. Nie spodziewała się, że będzie stawiał taki opór. Miała wrażenie, że jest wmurowany w ścianę, ale to przecież było niemożliwe. Pociągnęła mocniej. Udało się go wyjąć dopiero za czwartym razem, ale trochę rozdarł się na

brzegach. Postawiła go na wyższej półce regału i zdjęła pokrywkę. Ku jej zaskoczeniu, nie było w nim obuwia. Jedyne kilka przypadkowych przedmiotów. Moneta, srebrny wisiorek z zawieszka w kształcie koniczyny, mały flakonik dziewczęcych perfum, zielony brelok w kształcie pompona, cieniutki pasek i różowe zapachowe mydełko.

Chwilę nad tym dumiała, ale doszła do wniosku, że mogą to być jakieś rzeczy, które uczniowie często zostawiają w klasach czy szatni i Andrzej po prostu je pozbierał, schował do jakiegoś pudła, a potem o nich zapomniał.

Tak, tak właśnie musiało być, przekonywała siebie, ale jednocześnie czuła dziwny niepokój. Zrzuciła to na karb burzy i schowała wszystko do pudełka, a potem nie wiedzieć czemu, wcisnęła je dokładnie w to miejsce, w którym je znalazła.

1



Pola, łąki i lasy. Lasy, łąki i pola. Krajobraz, który pamiętałam z dzieciństwa, różnił się od tego, który oglądałam teraz z okna samochodu, a przecież to cały czas były te same pola, łąki i lasy. Teraz jednak wydawały się małe i nie miały w sobie nic z magii, która towarzyszyła mi nawet podczas prozaicznych czynności na wsi. Tylko niebo odpowiadało moim wspomnieniom. Było niemożliwie błękitne.

Wyłączyłam klimatyzację i uchylłam szybę. Wczesnowrześnieowe powietrze natychmiast mnie orzeźwiło. Było przesiąknięte wilgocią lasu i słodkim zapachem skoszonych łąk. Małymi krokami zbliżała się już jesień, ale wciąż było jeszcze ciepło. Tylko wieczory i coraz krótsze dni przypominały, że kończy się moja najukochańsza pora roku.

Do miejsca, w którym miałam spędzić najbliższe tygodnie, zostało zaledwie jakieś dziewięć kilometrów, ale musiałam się zatrzymać. Zjechałam na polną drogę biegnącą wzdłuż łąki po jednej stronie lasu i po drugiej.

Na trochę sztywnych nogach wygramoliłam się z auta i oparłam się o nie plecami. Zamknęłam oczy i próbowałam otrząsnąć się ze słodkich wspomnień dzieciństwa, które zaatakowały mnie, gdy zbliżałam się do rodzinnych stron. Lata spędzone w Szkocji trochę je przytłumiły, ale nie były w stanie całkowicie ich zatrzeć. Nie da się wymazać wrażeń z przeszłości, nawet jeśli nie jest się w stanie zapamiętać szczegółów i konkretnych sytuacji. Tak było i ze mną. Nie zawsze potrafiłam przypomnieć sobie twarze przyjaciół, ale pamiętałam, że zabawa z nimi sprawiała mi dziką przyjemność.

Sięgnęłam przez szybę do samochodu i ze schowka wyciągnęłam papierosy. Rzadko paliłam, ale ta chwila tego wymagała. Zaciągnęłam się mocno, próbując jak najdłużej zatrzymać dym w płucach. Po chwili go wydmuchałam i westchnęłam

z lubością. Potrzebowałam tego. Musiałam się trochę uspokoić. Czekają mnie ważne zadanie, nie mogłam się dekoncentrować ani poddawać emocjom.

Rozejrzałam się dookoła. Liście zaczynały już przybierać barwy jesieni. Nawet wiatr już nią pachniał. Zrobiłam kilka kroków wzdłuż ścieżki, a potem zawróciłam i minawszy mojego tiguanę, ruszyłam na skraj jezdni. Stał tam metalowy krzyż, a z trawy wokół niego wychylały się szklane znicze z powypalanymi wkładami. Było ich naprawdę sporo, chyba nikt tego nie kontrolował. Kto chciał, ten dokładał coś od siebie, by upamiętnić tragedię, która rozegrała się tu prawie rok temu.

Wyszłam na jezdnię. Ruch na drodze był mały, dlatego zdecydowałam się zatrzymać na środku. Stałam dokładnie w miejscu, w którym nastąpiło zderzenie.

Zastygłam w bezruchu i zamknęłam oczy. Serce zabiło mi mocniej. Ze strachu, z przerażenia i żalu. Wydawało mi się, że słyszę trzask wgniatanego metalu, huk pękających opon i syk wciąganego z przerażenia powietrza.

Nagle poczułam drżenie podłoża. Otworzyłam oczy i zobaczyłam zbliżający się samochód. Zbiegłam z szosy i stanęłam na skraju drogi. Pęd powietrza rozwał mi włosy, a zapach benzyny podrażnił nozdrza. Raz jeszcze spojrzałam na jezdnię. Po wypadku nie było śladu. Gdyby nie krzyż i znicze, nikt z przejeżdżających tą drogą kierowców nigdy by się nie domyślił, że doszło tu do tragedii.

Zerknęłam w bok, gdzie pozostał ścięty pień drzewa, które bezpośrednio przyczyniło się do śmierci całej rodziny.

Ostatni raz zaciągnęłam się papierosem, rzuciłam niedopałek na jezdnię, rozdeptałam go, a potem wróciłam do auta i ruszyłam dalej.

2



Nim dotarłam do miejsca przeznaczenia, zatrzymałam się jeszcze przy małym wiejskim markecie, żeby zaopatrzyć się w produkty spożywcze, w tym najważniejsze – kilka batoników zbożowych, dwie paczki maślanych ciasteczek, czekoladę, jogurty i musli.

Słońce zaczęło znikać za budynkami i rzucało długie cienie na chodnik. Miasteczko, niewiele większe od wsi, miało taki sam zestaw najważniejszych punktów orientacyjnych jak wszystkie inne mniejsze miejscowości w tym kraju. Kościół, markety spożywcze – dwa większe, kilka mniejszych, mały park, poczta, kilka lokali gastronomicznych i jeden wielobranżowy. Miasteczko, jakich tysiące w Polsce.

Mimo że dzieciństwo i wczesną młodość spędziłam w tych stronach, nie czułam się tu u siebie. Wszystko wydawało się jakieś obce. Mijający mnie ludzie wpatrywali się we mnie, jakbym uciekła z cyrku.

Oparłam się plecami o drzwi samochodu i na moment zamknęłam oczy.

Byłam już zmęczona. Jechałam nieprzerwanie sześć godzin i chyba miałam już dość, stąd te dziwne uczucia i wrażenia. Marzyłam o ciepłej kąpieli i miękkiej poduszce. I o laptopie na kolanach. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko mojego kota Astona, którego nie mogłam tu ze sobą zabrać. Zaczął chorować na nerki i weterynarz zabronił takich długich i męczących wojaży. Zostawiłam go u mojego przyjaciela Felixa. Nigdzie nie będzie mu tak dobrze jak u niego. Mimo wszystko tęskniłam za Astonem, a on na pewno tęsknił za mną, wbrew temu, co mówi się o kotach.

Westchnęłam z tęsknoty, schowałam zakupy do bagażnika i wskoczyłam do auta.

Dziesięć minut później minęłam tablicę z nazwą miejscowości, w której spędzałam w dzieciństwie każdą wolną od szkoły chwilę. Niemirów. Tu poznałam

moją pierwszą miłość.

Pojawiły się domki z przylegającymi do nich budynkami gospodarczymi, stodołami i górującymi nad nimi potężnymi lipami, grabami i bukami. Z każdą sekundą zabudowania gęstniały. Zauważyłam też kilka drewnianych chat przywodzących na myśl skansen, który pamiętałam z dzieciństwa. Potem sklep, figura Maryi na ostrym zakręcie, dwa dzikie stawy, których tafle odbijały chowające się za horyzontem słońce.

Kilkoro bawiących się przy placu zabaw obok świetlicy dzieci powiodło wzrokiem za moim autem. Przy samej jezdni, na pastwisku pasła się krowa. Prawdziwa krowa. Już dawno nie widziałam krasuli na żywo.

Pięknie tu, przeszło mi przez myśl. Już prawie zapomniałam, że to urocza okolica.

Zatrzymałam się przy niewielkim, ceglany domku z małymi oknami i gęstymi firanami. Z okien biła bladoniebieska, migająca poświata telewizora.

Nie było jakimś wielkim odkryciem, że w mojej wyobraźni domek, przed którym stałam, jawił się jako okazały budynek, który zawsze napawał mnie lękiem. Razem z przyjaciółmi zakradaliśmy się do gospodarstwa Walentyny Ostrowskiej i staraliśmy się zajrzeć przez okna, bo Kasia przysięgała, że kobieta jest czarownicą i porywa dzieci. Paweł, jeden z wakacyjnych kolegów z Niemirowa, opowiadał nam mrozące krew w żyłach historie o zakopanych w ogródku zwłokach dziewczyny. Nie wiem, dlaczego uroiło mu się coś tak potwornego, ale pamiętam, że bardzo długo siedziało mi to w głowie i gdy razem z babcią odwiedzałyśmy panią Walentyne, ja ze zgrozą wpatrywałam się w jej piękny i wypielęgnowany ogród.

Rozśmieszyły mnie te wspomnienia.

Teraz domek wydawał się maleńki jak chatka z bajki, ale niezmiennie był zadbany, tak jak i poletko przed nim, wciąż kwitły tam kwiaty.

Wyłączyłam silnik i wyszłam z auta na podjazd. Pod stopami zachrząścił żwir. Przeciągnęłam się, czując, jak opadam z sił i niemal zasypiam na stojąco. To był ciężki dzień nie tylko ze względu na podróż, ale i emocje, które mnie przytłaczały.

Uchyliłam furtkę, modląc się w duchu, żeby nie zaatakował mnie jakiś burek pilnujący obejścia. Na bramie nie zauważyłam ostrzeżenia, ale rozglądałam się uważnie na boki. Słońce już zniknęło za horyzontem, lecz wciąż było widno. Wyszłam za róg domu i minawszy starą ziemiankę, zatrzymałam się przed drzwiami.

Odwróciłam się, usłyszawszy za plecami jakiś hałas. Na wypielegnowanym trawniku stała altana z trzepoczącym na lekkim wietrze baldachimem.

Nigdzie nie dostrzegłam dzwonka, więc mocno zastukałam. Po chwili za drzwiami rozległo się głośne człapanie, szcęk klucza i piskliwy dźwięk wymagających pilnego naoliwienia zawiasów.

– Tak? – Usłyszałam chropowaty głos, a w szczelinie pomiędzy drzwiami a futryną pojawiły się siwiejące, kręcone włosy i żylasta ręka.

Dopiero po sekundzie skupiłam się na twarzy sąsiadki. Minęło kilkanaście lat, ale kobieta prawie nic się nie zmieniła, tylko włosy nieznacznie jej posiwiały. Albo to moja pamięć robiła mi psikusa. Jej twarz była usiana zmarszczkami, ale delikatnie, jakby skóra kobiety została zrobiona z gumy. Jasne, niebieskie oczy wydawały się niemal przezroczyste.

– Dzień dobry, Nazywam się Olga Linga. Jestem wnuczką Sokołowskich. – Uśmiechnęłam się przyjaźnie. – Chciałam odebrać klucz do domu dziadków. Od mamy wiem, że ma pani zapasowy – wyjaśniłam.

Jej twarz rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

– Ach tak! Mała Olga – powiedziała, zapraszając mnie do środka.

– Już nie taka mała. – Zaśmiałam się.

Weszłam do ciemnego wiatrołapu. Wnętrze pachniało czymś słodkim, jakby właśnie wyciągnięto z piekarnika blachę z gorącym ciastem. Walentyna poprowadziła mnie do kuchni, gdzie potwierdziły się moje wrażenia węchowe. Na stole stał jeszcze parujący sernik, na którym perliły się kropelki cukrowej rosy. Do ust napłynęła mi ślina, a w żołądku poczułam silny skurcz. Od kilku godzin nie miałam w ustach nic oprócz kawy, bo chciałam jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

Kobieta podeszła do starego kredensu i wysunęła z niego toporną szufladę. Rozejrzałam się dyskretnie po pomieszczeniu. Chyba tu też nic się nie zmieniło od czasów, gdy byłam małą dziewczynką. Trzydziestoletnie szafki kuchenne z poluzowanymi zawiasami, zasłony w czerwonej kratkę, stosy bibelotów na kredensie i blacie. Mały okrągły stół z trzema krzesłami – miejsce, przy którym babcia zasiadała z sąsiadką i plotkowały przy cieście przez kilka godzin.

Walentyna podała mi dwa klucze związane czerwoną tasiemką.

– To do domu i gospodarczego – oznajmiła. – Byłam tam w zeszły wtorek podlać kwiaty. Kilka zabrałam do siebie, tak jak prosiła twoja mama. Żeby nie było.

– Jasne – bąknęłam niezainteresowana.

Było mi wszystko jedno, czy zabrała wszystkie liczne paprotki babci, czy tylko kilka. Nie przyjechałam tu po to, żeby ją rozliczać.

– Jak myślisz, ile ci to zajmie? – zapytała, gdy schowałam klucz do kieszeni dzinsów.

Na te słowa na moment zamarłam, ale szybko się zreflektowałam. Pytała o segregowanie rzeczy po dziadkach.

– Trudno mi powiedzieć. Rodzice chcieliby jak najszybciej sprzedać dom, więc muszę wcześniej wszystko przejrzeć – skłamałam.

Moja mama właśnie to przekazała sąsiadce, bo ją o to poprosiłam. Rodzice mieszkali od dziesięciu lat w Niemczech, a dziadkowie nie żyli, dlatego dom od jakiegoś czasu stał pusty.

Nie chciałam, żeby ktokolwiek dowiedział się o moim prawdziwym celu przyjazdu. Przynajmniej nie na samym początku, zanim opracuję jakiś plan działania.

– Słyszałam, że jesteś dziennikarką? – zagadnęła, gdy chciałam się wycofać do sieni.

– Tak jakby – odparłam z uśmiechem.

Ruszyłam do wyjścia, ale kobieta mnie zatrzymała.

– Noce są zimne. Najlepiej napalić już w piecu – powiedziała, a ja skinęłam głową.

Byłam zmarzluchem, a wybrałam na miejsce zamieszkania jeden z najwilgotniejszych krajów na świecie. Dobrze, że chociaż widoki i architektura rekompensowały te ciągłe przeciągi i deszcze.

Podziękowałam za klucze i pożegnałam się z kobietą. Wsiadłam do samochodu, odprowadzana czujnym spojrzeniem sąsiadki. Na zewnątrz zaczynało szarzeć, na szczęście pozapalały się przydrożne latarnie, które z tego, co wiedziałam, pogasną, gdy wybijie dziesiąta wieczorem. Uroki małych wiosek.

Dom moich dziadków znajdował się na końcu wsi, jakiś kilometr od głównej szosy. Gdy zobaczyłam znajomy zakręt, zjechałam na szutrową drogę prowadzącą do posesji otoczonej metalowym ogrodzeniem. Gdy dotarłam do bramy wjazdowej, nie

wyłączyłam światel. Wsiadłam z samochodu i przyjrzałam się ogrodzeniu. Skrzydła bramy trochę zarosły trawą, ale po chwili szarpania udało mi się je uwolnić.

Wjechałam na posesję i w podobny sposób zamknęłam wjazd. Zaparkowałam pod metalową wiatą przymocowaną do budynku gospodarczego. Tak naprawdę była to zwykła graciarnia, ale od zawsze tak właśnie ją nazywaliśmy.

Wypakowałam z bagażnika torby i laptop. Po zakupy miałam zamiar wrócić, gdy już się zorientuję, jak wygląda wnętrze domu. Nie byłam tu od dobrych kilku lat, bo gdy babci się pogorszyło, rodzice zabrali ją do siebie. Nie chciała jechać, wzbraniała się, ale wreszcie zdrowy rozsądek wziął górę. Udar spowodował, że nie była już całkowicie samodzielna i po prostu nie miała wyjścia. Ostatnie dwa lata spędziła na obczyźnie, ale miała dobrą opiekę. Odwiedzałam ją przynajmniej raz na kwartał, czasami częściej, gdy trafiłam na tani lot.

Od trzech lat nikt tu nie mieszkał. Mama płaciła Walentynie za dogłądanie domu i sprzątanie. Naprawdę powinniśmy już go sprzedać, ale moja matka nie mogła się zdobyć na ten ruch. Przynajmniej nie wtedy, gdy jeszcze żyła babcia. Teraz nie miała już wymówek.

Otworzyłam drzwi frontowe i wymacałam na ścianie włącznik światła. Musiałam gwałtownie zamrużyć, kiedy pomieszczenie zalał żółtawy blask. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do jasności, przeciągnęłam obie walizki w stronę korytarza, bo w wiatrołapie było naprawdę bardzo mało miejsca. Szybko wróciłam do samochodu po zakupy spożywcze. Musiałam coś zjeść, bo zaczynało mi się robić niedobrze z głodu. Papieros wypalony przed godziną tylko pogorszył sytuację.

Wypakowałam dwie foliowe siatki, zaniiosłam je do domu. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i zrzuciłam kurtkę. Przepchnęłam się do kuchni i odłożyłam zakupy na stół. Był na nim obrus, który pamiętałam jeszcze z dzieciństwa. W jednej chwili dopadła mnie olbrzymia nostalgia. Usiadłam na twardym drewnianym krześle i pogładziłam materiał dłonią. Wyhaftowane kolorowe kwiaty trochę pożółkły, ale wciąż były piękne. Już wiedziałam, że zabiorę obrus ze sobą do Szkocji.

Rozejrzałam się dookoła. Brązowe meble kuchenne zaczynały rozchodzić się w miejscach sklejenia, ale nie wyglądały jeszcze tragicznie. W kącie, w szparze pomiędzy szafką a lodówką, stała zmiotka z szufelką. Uśmiechnęłam się do siebie, bo to też był nieodzowny element tej kuchni. Ta szpara i ta zmiotka z szufelką. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego mama nie mogła się zdecydować na sprzedaż

domu. Mnie też byłoby szkoda pożegnać się z tym, co stanowiło ważny element mojego dzieciństwa.

Siedzenie w bezruchu sprawiło, że zadrzałam z zimna. Wieczory rzeczywiście były już chłodne. Podniosłam się z trudem z krzesła. Dopiero teraz zaczęłam odczuwać sztywność stawów i mięśni po długiej jeździe. Byłam już bardzo zmęczona, ale przed snem musiałam jeszcze uruchomić piec centralnego ogrzewania i wreszcie coś zjeść. Wyciągnęłam telefon z kieszeni i zerknęłam na wyświetlacz. Miałam kilka wiadomości od znajomych i mamy z pytaniem, czy już dojechałam. Odpisałam na pilne esemesy i zebrałam się, żeby wreszcie zejść do piwnicy. Podeszłam do drzwi pod schodami. Otworzyłam je, a z wnętrza buchnął zimny, ziemisty podmuch. Zadrzałam. Znalazłam pstryczek światła i nacisnęłam go. Piwnicę zalała słaba poświata. Zeszłam ostrożnie po betonowych schodkach i rozejrzałam się dookoła. Wszędzie wały się pudła, meble i mnóstwo szpargałów. Stary rower zagradzał przejście, więc odsunęłam go na bok, ale zahaczyłam kierownicą o jakiś karton. Zachwiaił się na drewnianym regale, ale zanim spadł, zdążyłam go złapać. Był ciężki, ledwo zdołałam go utrzymać. Z trudem odstawiłam go na półkę i wytarłam o dzinsy pokryte kurzem ręce.

Wydawało mi się, że gdzieś pomiędzy regałami coś przebiegło. Jezu, oby to nie był szczur, pomyślałam ze zgrozą.

Dotarłam do pieca i podrapałam się w głowę, próbując sobie przypomnieć instrukcje, które przekazała mi mama. To był piec na pelet. Pięć lat temu stanął w miejscu, w którym kiedyś znajdował się tradycyjny piec na węgiel. Kiedy babcia została sama, mama bała się, że w zimie może sobie nie poradzić z rozpalaniem ognia, a w tym urządzeniu wystarczyło tylko raz na dwa dni dorzucić groszkowego opału do podajnika i ten sam sterował pobieraniem. W tej chwili byłam wdzięczna za tę wymianę, bo poszło mi naprawdę szybko.

Omiotłam ostatnim spojrzeniem zagraconą piwnicę i wróciłam do kuchni. Tam wypakowałam zakupy i włączyłam do prądu lodówkę. Nie byłam przekonana, czy będzie działać, ale ze zdumieniem stwierdziłam, że już chłodziła. Podejrzywałam, że gdybym nie dała rady rozpać w piecu, temperatura w środku lodówki i poza nią w ogóle by się nie różniła.

Wyciągnęłam z walizki bluzę, bo zaczynałam naprawdę marznąć. Dom nagrzewał się powoli. Nic dziwnego, nie był zamieszkały od kilku lat i w pomieszczeniach mocno się ochłodziło.

Zrobiłam sobie kanapki z twarogiem i dżemem, a do tego gorącą herbatę i udałam się na górę do pokoju, w którym mieszkałam podczas każdego pobytu na wsi. Był mały, ale bardzo przytulny. Weszłam na piętro i na moment przystanąłam u szczytu schodów z talerzem i kubkiem w rękach. Drewniana boazeria pomalowana na biało, turecki dywan, ciągnący się przez całą długość korytarza. Repliki van Gogha i Moneta na ścianach. Na małej komódce, nad którą wisiało lustro, stały sztuczne fioletowe bzy. Pamiętałam dzień, w którym babcia przywiozła je z targu w mieście. Pomyślałam wtedy, że nie ma nic bardziej smutnego niż sztuczne bzy, które są marną imitacją tych prawdziwych, kwitnących w maju. Ale babci się podobały, dlatego nigdy nie podzieliłam się z nią tą myślą.

Westchnęłam, żeby odgonić nadmiar wspomnień, i skręciłam w lewo, do mojego dawnego pokoju. I tutaj nic się nie zmieniło. Jednoosobowy tapczan, stara, lakierowana szafa i biurko z nadstawką. Czuło się tu lekką stęchliznę, jak zresztą w całym domu, który potrzebował dogrzania, ale nie przeszkadzało mi to.

Ledwo wniosłam na górę moje ciężkie walizki i wstawiłam je do szafy. Zdziwiło mnie, że nawet w jej wnętrzu nie znalazłam kurzu. Czyli Walentyna była dokładna. Miałam nadzieję, że mama dobrze ją opłaca.

Usiadłam przy biurku, otworzyłam laptop, a potem zaczęłam pałaszować kanapki. Uruchomiłam portal *All News* i zajrzałam do skrzynki służbowej. Co prawda miałam urlop, ale naczelna co chwilę wrzucała mi jakieś tematy do obrobienia po powrocie. Skandal w rodzinie królewskiej (co drugi temat na stronie newsów), nawiedzony blok na nowoczesnym osiedlu, jesienne atrakcje Edynburga...

Wgryzłam się w ostatni kęs kanapki i wybrałam numer Felixa.

– Hi, Sweetheart. – Usłyszałam jego melodyjny głos z tym charakterystycznym szkockim akcentem, do którego musiałam się długo przyzwyczajać po przyjeździe z Londynu.

Uśmiechnęłam się.

Dowiedziałam się, że Aston ma się cudownie i zżarł już prawie cały zapas karmy, którą mu zostawiłam. Streściłam też Felixowi swoją podróż i odczucia po powrocie do miejsca, w którym spędzałam dzieciństwo. Felix opowiedział, co u niego w robocie, a gdy zaczęłam ziewać częściej niż raz na minutę, pożegnaliśmy się. Marzyłam, by się wykapać, jednak z upragnionym prysznicem nie poszło tak łatwo. Zanim popłynęła ciepła woda, lunął na mnie lodowaty strumień, od którego dostałam

paraliżu połowy ciała. Krzyknęłam głośno, objając się o płytki. Dzięki Bogu, za chwilę z dyszy trysnęła gorąca woda.

Gdy wyszłam z łazienki, w całym domu już było przyjemne ciepło. Z szafy wyciągnęłam kołdrę i puchową poduszkę, a potem oblekłam je w poszewki, które ze sobą przywiozłam. Nie byłam pewna, co zastanę w domu i w jakim to wszystko będzie stanie, dlatego postanowiłam się zabezpieczyć. Miałam ze sobą również śpiwór i dwa prześcieradła, ale okazało się, że nie będą mi potrzebne.

Usiadłam na tapczanie z podkulonymi nogami. Włączyłam lampkę nocną z podstawką w kształcie pasterki i kwiecistym abażurem z frędzelkami. Ją też zabiorę ze sobą, postanowiłam sentymentalnie, dotykając kolorowych frędzli.

Owinęłam się ciasno kołdrą i powiodłam wzrokiem po maleńkim pokoju, który przywodził na myśl mnóstwo wspomnień. Następnie wyciągnęłam list, który otrzymałam kilka miesięcy temu i to po wielu perypetiach, ponieważ dwukrotnie zaginął w podróży. Raz w Polsce, drugi raz już w Szkocji. List, przez który kilka tygodni byłam w szoku.

Już nie powstrzymywałam tych konkretnych wspomnień z przeszłości, tylko pozwoliłam im wypłynąć na powierzchnię.

Wtedy

– Jesteś pewna, że śpią? – szepnął głośno Mateusz, gdy wyjrzałam przez okno.

Od dobrych kilku minut słyszałam delikatne pukanie w okno, ale czekając na niego przysnęłam i ten odgłos docierał do mnie gdzieś z daleka. Dopiero teraz się obudziłam.

– Tak. Jestem pewna. Znalazłeś drabinę? – zapytałam.

– Tak, ale w tych ciemnościach prawie się zabiłem o jakieś grabie.

Zaśmiałam się. To było karkołomne zadanie, ale babcia i dziadek nie pozwalali mi na spędzanie późnych wieczorów z Mateuszem, więc pożegnaliśmy się na ich oczach, chłopak przeczekał dwie godziny gdzieś we wsi, a teraz mieliśmy wybrać się na trochę mniej oficjalną randkę. Mateusz zadziałał według moich wskazówek. Przyniósł drabinę stojącą przy stodole i przystawił ją do ściany obok okna mojego pokoju.

– Bądź ostrożna – szepnął ponownie.

– Cii – syknęłam i wskazałam na pokój obok, w którym spali dziadkowie.

Wygramoliłam się przez okno i wymacałam nogą pierwszy stopień. Reszta poszła jak z płatka. Kilkanaście sekund później zeskakiwałam już na trawę. Mateusz natychmiast wziął mnie w ramiona i pocałował. Bardzo szybko się od niego oderwałam, bo nie chciałam ryzykować, że nas nakryją.

– Chodź – powiedziałam i pociągnęłam go za sobą do zarośli przy zabudowaniach gospodarczych, gdzie schowałam swój rower. Bardzo cicho przeprowadziliśmy go przez podwórze, a potem przez furtkę.

Mateusz zostawił swojego rumaka na końcu szutrowego podjazdu i gdy do niego dotarliśmy, puściliśmy się pędem w stronę jeziora. Kochałam te nasze rowerowe eskapady nocą, gdy nareszcie robiło się chłodniej, a piaszczystą drogę oświetlały nam gwiazdy i księżyc.

Ścigaliśmy się na ostatnim odcinku i kiedy wreszcie docieraliśmy na brzeg, dyszeliliśmy z wysiłku i śmialiśmy się bez opamiętania.

Mateusz rozłożył koc na trawie i wyciągnął z plecaka wino. Nie mieliśmy kieliszków, ale to nie był żaden problem. Wtedy nic nie stanowiło dla nas problemu. Ani zakazy, ani fakt, że Mateusz musiał wcześniej rano wstać, bo rozpoczynały się żniwa, ani to, że możemy zostać przyłapani. Nic, absolutnie nic.

Siedzieliśmy oparci o drzewo i co chwilę wymienialiśmy się butelką taniego wina, a w przerwach całowaliśmy się nieprzytomnie. Nie mogliśmy oddychać, a ja chciałam, żeby Mat posunął się dalej. Żeby przesunął wyżej rękę, którą trzymał na moim udzie, ale on cały czas się wahał. Niedawno mi się przyznał, że jest prawiczkim, nie wnikałam, czy to prawda, pewnie nie, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia. Czułam, że zanim skończy się lato, ja też już nie będę dziewicą.

Poznaliśmy się trzy tygodnie wcześniej, gdy przyjechałam do dziadków na wakacje. Rodzice wysłali mnie na wieś, żebym się „wyciszyła”, jak to określili. Zrobiłam kilka głupot, ale nie uważałam, że zasłużyłam na tak surową karę, bo w taki sposób myślałam o tym wyjeździe. Do momentu, gdy poznałam Mateusza. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Z obu stron. Pobyt na wsi nie jawił mi się już jako dopust boży, ale raczej nagroda.

– Idziemy na szabry? – zaproponowałam, gdy zaczynało mi się już kręcić w głowie.

Mateusz się zaśmiał.

– Do kogo tym razem? – zapytał, podnosząc się.

Był zawsze na tak, nawet jeśli wpadłam na najgłupszy pomysł. Powiedział mi kilka dni temu, że dla mnie zrobiłby wszystko. Wiedziałam, że ja dla niego też. Znaliśmy się tak krótko, ale jakie to miało znaczenie. Kochaliśmy się nieprzytomnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Może do Walentyny? – zaproponowałam. – Ma zajebiste papierówki.

– Lepiej nie. – Pokręcił głową, aż na czoło spadła mu jasnobrązowa grzywka, którą odgarnęłam palcami.

Uwielbiałam jego miękkie, lekko przydługie włosy.

– Dlaczego? – zapytałam ciekawa.

Mateusz chwycił mnie za rękę i splótł nasze palce.

– Bo to dobra znajoma twojej babci. Jak nas przyłapie, to wszystko jej wychłapie i nie będę mógł się z tobą widywać – stwierdził z powagą w głosie.

Wzruszyłam się. Położyłam głowę na jego ramieniu.

– Pewnie, gdy wyjedziesz, to o mnie zapomnisz – stwierdził po chwili i spuścił głowę.

– Jesteś głupi – odparłam. – Przecież wiesz, że nigdy o tobie nie zapomnę.

Od jeziora powiał chłodny wiatr, który przyprawił mnie o dreszcz.

– Zimno ci? – zapytał Mateusz i natychmiast opatulił nas kocem.

W jednej chwili zapomniałam o naszych szabrowych planach i po prostu się do niego przytuliłam. Nie chciałam nigdzie wyjeżdżać. Nie chciałam, żeby lato się kończyło. Jak to zatrzymać?

Po chwili w tej tak miłej pozycji i na skutek działania wina zaczęłam usypiać. Gdy byłam już na granicy jawy i snu, Mateusz nachylił się nad moim uchem i szepnął:

– Nigdy o mnie nie zapominaj.

3



Budziłam się bardzo powoli, czując się nie na swoim miejscu. Za oknem słyszałam deszcz uderzający o parapet i dach. Otworzyłam oczy. Widok mojego pokoju z dzieciństwa najpierw mnie dogłębnie zdziwił, a potem zasmucił, bo wróciły wspomnienia, które od kilku tygodni zalewały mnie olbrzymimi falami. Tak naprawdę nigdy nie zniknęły, ale przez wiele lat przechowywałam je gdzieś głęboko w sobie, żeby powracać do nich w sentymentalnych chwilach.

Teraz miały słodko-gorzki posmak.

Nie chciałam jeszcze wychodzić spod nagrzanej kołdry, ale nie przyjechałam tu, żeby się wylegiwać do późna w łóżku. Miałam zadanie do wykonania, a ono wymagało koncentracji i odpowiedniego podejścia.

– Ale najpierw kawa – powiedziałam do siebie i zdecydowałam wreszcie podnieść się z wyra.

Zadrzałam z zimna, chociaż miałam na sobie dwuczęściową piżamę z długimi nogawkami i rękawem. W pierwszej kolejności wyciągnęłam z walizki ciepły szlafrok i owinęłam się nim szczelnie. Sprawdziłam kaloryfery i ze zdumieniem stwierdziłam, że są zimne, a to oznaczało, że albo zrobiłam coś źle, albo piec nie wytrzymał próby czasu i coś się w nim popsuło.

Nie miałam jednak siły teraz się nim zajmować. Potrzebowałam na już kofeiny.

Zeszłam na dół do kuchni i nastawiłam wodę w czajniku. Nie zносиłam kawy rozpuszczalnej, ale nie miałam w tej chwili alternatywy. Jakieś sensowniejsze zakupy zamierzałam zrobić dopiero jutro, gdy się trochę rozejrzę po okolicy. Poza tym dzisiaj była taka wstrętna pogoda. Przez ten deszcz przez chwilę poczułam się jak w Edynburgu. Tylko krajobraz za oknem się nie zgadzał.

Usiadłam przy stole z kawą, ale nim postawiłam kubek na babcinym obrusie, zabezpieczyłam go gazetą, którą znalazłam na blacie. Sięgnęłam po kupioną wczoraj

bułkę maślaną i od niechcienia powiodłam wzrokiem po artykule znajdującym się pod kołem plamy po kawie.

Tragiczny wypadek w naszej gminie. Dwudziestośmioletni sprawca był pod wpływem alkoholu. Głosił nagłówek drukowany pogrubionym fontem. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie wraku auta. Zastygłam z bułką w ustach, a potem odłożyłam ją na talerz. Serce tłukło mi się w piersi jak szalone.

To była lokalna gazeta prawie sprzed roku. Co tutaj robiła tak nieaktualna prasa? Przecież od trzech lat nikt w domu nie mieszkał. Zaraz jednak oprzytomniałam. No tak, Walentyna raz na jakiś czas tu przychodziła, żeby sprawdzić, czy żadna rura nie zamarzła albo czy nic nie przecieka. No i podlewała rośliny. Tak przynajmniej twierdziła mama i kobieta musiała się przykładać, bo kwiaty rosły jak szalone. Nic dziwnego, że w lasach Amazonii jest tak gęsto, może roślinność nie znosi obecności ludzi. I to jest może rozwiązanie zagadki, dlaczego u mnie w mieszkaniu nic nie przeżywa dłużej niż dwa miesiące.

Dotarłam do artykułu, który znajdował się na trzeciej stronie, ale nie wniósł on niczego nowego. Znałam już te pobieżnie zrelacjonowane fakty na pamięć. A nawet wiedziałam o wiele więcej, ponieważ artykuł był datowany na dwa dni po wypadku. Wtedy jeszcze tak naprawdę nikt niczego nie wiedział.

Ponownie sięgnęłam po bułkę i ugryzłam spory kęs.

Nigdy o mnie nie zapominaj, przemknęło mi przez myśl, jakby wrócił do mnie mój sen na jawie.

– Nie zapomniam o tobie – powiedziałam do siebie i podeszłam do okna.

Za ścianą deszczu ledwie widziałam zabudowania i zarośnięte podwórze, na którym gdzieś na pewno walały się jakieś zapomniane grabie czy motyczka. Po śmierci babci nikt nie miał czasu i serca, żeby tu wracać i doprowadzać obejście do porządku.

Dom wydawał mi się obcy, ale cały czas pałętały się po nim nostalgiczne letnie wspomnienia. Miałam wrażenie, że za chwilę zapieje kogut, który budził mnie co rano i któremu obiecywałam szybką śmierć. Uśmiechnęłam się pod nosem i wzięłam łyk tej okropnej kawy.

Dopiero po śniadaniu byłam w stanie zejść do piwnicy i sprawdzić, co się działo z tym cholernym piecem. O poranku, chociaż tu wcale nie docierało dzienne światło, pomieszczenie wydawało mi się jeszcze bardziej zagracone. Nie miałam pojęcia, co

zawierają te pudła i worki. I nie czułam potrzeby zaglądania do nich głównie z uwagi na możliwość znalezienia w nich znieawidzonych szcurków.

Zatrzymałam się przy piecu. Wygasł dawno temu, zapewne jeszcze w nocy. Zajrzałam do podajnika. Peletu nie ubyło, a ja nie miałam pojęcia, o co chodzi. Wróciłam na górę i otworzyłam laptop. Internet w tych okolicach miał słaby zasięg, ale jednak udało mi się odpalić Google'a i znaleźć w mieście kogoś, kto mógłby zajrzeć do piwnicy. Umówiłam fachowca na popołudnie.

Odetchnęłam z ulgą i otworzyłam folder na pulpicie, który zatytułowałam: *Mat*.

Znajdowały się w nim wszelkie dostępne artykuły na temat wypadku, które udało mi się znaleźć w sieci, ale to było za mało. Głównie dlatego, że każda notka zamieszczana na portalach informacyjnych na temat zdarzenia była przedrukiem pierwszego artykułu. Tak to działało. Pierwszy „szczęściarz”, który dowiedział się o jakimś, najlepiej tragicznym wydarzeniu, był tym, którego potem ludzie cytowali i zamieszczali linki do jego tekstu pod swoimi notkami.

Dlatego było mi trudno znaleźć w necie coś nowego, nikogo nie interesowały szczegóły ani prawda, nawet jeśli była kontrowersyjna i w konsekwencji przyniosłaby kolejne kliki.

Nie miałam wyjścia, musiałam udać się do prokuratury. Oczywiście kamuflując się i pod odpowiednim pretekstem. Bądź co bądź, mogłam podciągnąć swój wolny zawód pod wszystko, co związane z pisaniem. Na dziennikarzy ludzie reagowali agresją albo włączali im się tryb bajdurzenia. Wolałam przedstawić się jako początkująca pisarka, autorka reportaży o tematyce kryminalnej. W tej sytuacji musiałam się najpierw zaanonsować mailowo, żeby to wyglądało wiarygodnie.

Otworzyłam pocztę i wkleiłam w pole adresu nowej wiadomości kontakt do prokuratury rejonowej, która postawiła Mateuszowi zarzut stworzenia zagrożenia w ruchu lądowym i nieumyślnego spowodowania śmierci oraz jazdy pod wpływem alkoholu. Załączyłam swoją stopkę z portalu *All News* i stronę z moim portfolio. Wygooglowałam człowieka, żeby wiedzieć, z kim będę miała do czynienia, i chwilę przyglądałam się temu mężczyźnie. Trzydzieści pięć lat. Od dwóch lat na stanowisku prokuratora rejonowego.

– Okej – szepnęłam do siebie. – Zobaczymy, co uda mi się z ciebie wydobyć.

Miałam nadzieję, że zezwoli mi na wgląd do akt przygotowawczych bez zbędnej papierologii i z pominięciem drogi formalnej, ale wiedziałam, że to, czy się tak

stanie, będzie już zależało od poziomu służbistości urzędnika. Musiałam pokazać swoją bezstronność, żeby nie posądzono mnie o chęć skrytykowania działań prokuratury. Prawnicy bywali bardzo wrażliwi na punkcie swojego ego.

Czekając na odpowiedź, postanowiłam się też wybrać na komisariat policji w Janówku, żeby porozmawiać z kimś, kto pojawił się jako pierwszy na miejscu wypadku. Znalazłam adres posterunku i zdecydowałam, że pojedę tam jutro. Za godzinę miał przyjść ktoś od pieca, więc trzeba było pozostać na miejscu.

Dochodziła jedenasta, musiałam się wreszcie ogarnąć. Włożyłam dresowe spodnie i dużą, sięgającą ud bluzę. Należała do mojego byłego. To jedyna rzecz, której mu nie zwróciłam. Bynajmniej nie z sentymentu. Chodziło o jej walory termiczne i wygodę. Była nieziemsko ciepła, miękka i przy tym lekka. Paul nigdy się o nią nie upomniał i był to jedyny pozytywny aspekt naszego rozstania.

Deszcz wciąż zaciął mocno o szyby, co potęgowało u mnie uczucie nostalgii i ospałość. Najchętniej wróciłabym do łóżka i zatopiła się w lekturze jakiejś książki. Dzisiaj i tak nie mogłam zbyt dużo zrobić, dlatego zabrałam ze sobą laptop do pokoju dziennego, chociaż w tej chwili pomieszczenie nie miało nic wspólnego ze swoją nazwą, bo panował w nim półmrok. Rozsunęłam gęste zasłony i... odskoczyłam na widok mężczyzny w kapturze, który stał po drugiej stronie okna.

Serce mi waliło, jakby za chwilę miało wypaść z piersi, a w głowie zaszumiło od pędzącej w szalonym tempie krwi.

W tej samej chwili mężczyzna odkrył twarz i wskazał na swoją torbę z narzędziami. Wtedy mnie olśniło. Fachowiec od pieca. Wypuściłam wstrzymywane powietrze z płuc, skinęłam mu głową i poczłapałam w stronę drzwi. Zanim otworzyłam, pomyślałam jeszcze, jak bardzo stałam się strachliwa.

– Cześć. – Facet się uśmiechnął i dopiero wtedy go rozpoznałam.

– Adam? – chciałam się upewnić.

Zaśmiał się.

– A jednak mnie poznałaś. – Ucieszył się i niezgrabnie mnie objął.

Pachniał deszczem i jesiennym wiatrem. Przyjemnie.

– No wiesz, nie było łatwo, skoro zakradasz się jak złodziej z kapturem na twarzy – zażartowałam, ale wciąż czułam szamoczące się w piersi serce.

Przyjrzałam mu się uważniej, gdy zrzucił kurtkę i odwiesił na wieszak w wiatrołapie. Był wysoki, barczysty i ciągle tak samo przystojny. Zmęźniał

i wydawał się pewniejszy siebie.

– Sorry, że cię wystraszyłem. Właśnie przechodziłem, gdy rozsuwałaś firany – powiedział, wchodząc za mną do przedpokoju.

– Bardziej zaskoczyłeś – próbowałam bagatelizować swoją reakcję.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie i uśmiechaliśmy się głupkowato. Tak chyba reagują ludzie, którzy nie widzieli się od kilku lat i próbują porównać swoje wspomnienie z tym, co mają teraz przed oczami.

– A więc zająłeś się montażem i naprawą pieców grzewczych? – zagadnęłam.

– Taa, w dobie nacisku na ekologię to złoty interes. – Znowu się uśmiechnął. – A ty? Co cię tu sprowadza? Myślałem, że na dobre utknęłaś w Szkocji – powiedział, zakładając ręce na piersi.

– Utknęłam, ale... musiałam tu wrócić, żeby załatwić pewną sprawę – odparłam enigmatycznie.

– Rozumiem. – Skinął głową, jakby faktycznie znał prawdziwy powód mojej wizyty.

Nagle uśmiech, który nie schodził z jego twarzy od chwili przybycia, zmalął, a potem zniknął zupełnie.

– Słyszałaś o Macie? – zapytał cicho.

– Tak.

Przestąpiłam niespokojnie z nogi na nogę. Nie mogłam z nim o tym rozmawiać. Jeszcze nie.

Adam zrozumiał, że to nie jest coś, co chciałam pociągnąć dalej, odchrząknął i przerzucił swoją torbę do przodu.

– Okej. No to prowadź do pieca – rzucił trochę pogodniej.

Zeszliśmy do piwnicy. Adam uruchomił piec i przyglądał się kontrolkom. Wyjaśniłam, że wczoraj wszystko wydawało się w porządku, nawet zrobiło się cieplej, ale potem urządzenie się wyłączyło.

– Podajnik wygląda normalnie, nie jest zapchany – powiedział do siebie, zaglądając do rzezonego elementu.

Odsunęłam się, żeby zrobić mu więcej miejsca. Moje myśli automatycznie pobiegły ku tamtym wakacjom sprzed lat, gdy prócz Mateusza poznałam jego najlepszego kumpla, Adama. Był wysokim, szczupłym, a może raczej chudym

chłopaczkiem z wiecznie przydługimi włosami. Mówił, że co miesiąc je strzyże, ale one odrastały w zastraszającym tempie. Pamiętam, że mu tego zazdrościłam. Lubiłam go. Był najbliższym przyjacielem Mateusza i spędzaliśmy ze sobą bardzo dużo czasu.

Obserwowałam, jak się krząta wokół pieca, i bezwiednie się uśmiechnęłam.

– Pamiętasz, jak kiedyś złapała nas burza, gdy wracaliśmy znad stawu? – zagadnęłam.

Adam odwrócił głowę w moją stronę i przytaknął skinieniem. Też się delikatnie uśmiechnął.

– Tuż przed nami piorun uderzył w drzewo – przypomniał. – Tego nie da się zapomnieć. Do dziś mam koszmary.

– Ja też pamiętam ten huk i zapach ozonu w powietrzu. Chyba jeszcze nigdy nie pedałowaliśmy tak szybko jak wtedy. Nogi zrobiły mi się sztywne i dyszałam, jakbym miała za chwilę umrzeć. – Zachichotałam na to wspomnienie.

– Ja też. Chyba pobiliśmy wtedy jakieś rekordy – powiedział, zaglądając do panelu sterującego. – Zresetuję go, może miał ustawienia czasowe.

Wstał i spojrzał na mnie przelotnie.

– Jak ci się żyje w Edynburgu? – zagadnął po chwili.

– Dobrze. Uwielbiam to miasto, chociaż to nie jest mój klimat – wyznałam szczerze.

– No tak, ty zawsze uwielbiałaś ciepło. Kiedy Mateusz powiedział mi, że wyjeżdżasz do Wielkiej Brytanii, naprawdę się zdziwiłem – stwierdził, zwracając się twarzą do panelu sterowania pieca. – Wygląda na to, że teraz powinno być wszystko okej. Po prostu się zawiesił po tak długim czasie nieużytkowania – dodał.

– Super. Dzięki. – Wyszliśmy z piwnicy i zatrzymaliśmy się w korytarzu. – Ile jestem winna?

– Piwo dzisiaj wieczorem. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Pogadamy o starych czasach.

Otworzyłam usta ze zdziwienia, zamierzałam wymówić się jakąś bardzo ważną sprawą, ale nagle zmieniłam zdanie. Może to nie był taki zły pomysł. Może w ten sposób wsiąknę w społeczność i dowiem się czegoś off the record.

– Myślę, że da się to załatwić. – Skinęłam głową.

– Siódma? Przyjadę po ciebie – zaproponował.

Pozegnaliśmy się, a ja ponownie zagłębiłam się w artykuły, które wygrzebałam w sieci. Próbowałam wyłuskać jakiś element, który pozwoli mi rozpocząć moje śledztwo. Wyciągnęłam też list, który od kilku tygodni trzymałam cały czas przy sobie i rozłożyłam go.

Kochana Olgo, zaczął Mateusz, czym na samym wstępie mnie wzruszył. Nigdy tak do mnie nie mówił, ale uznał, że rozpoczynając list, będzie się trzymał zasad rządzących tym archaicznym sposobem komunikacji.

Miał nieczytelne, koślawe, męskie pismo, które jednocześnie mnie i denerwowało, bo rozszyfrowywanie tych hieroglifów sprawiało trudność, i rozczulało.

Wiem, że minęło sporo czasu i być może już o mnie zapomniałaś, ale ja o Tobie nie zapomniałem...

Znałam ten list na pamięć. Linijka po linijce. Za każdym razem, gdy go czytałam, moje serce ścisnęło się boleśnie, jakby każde słowo było niewidzialną szpilką, która dźga ten cholerny mięsień.

Bolał, bo Mateusza już nie było. Ugodzony nożem przez współwięźnia w areszcie, w którym oczekiwał na oficjalne postawienie zarzutów, zmarł niemal natychmiast. Ta informacja zdruzgotała mnie na wiele tygodni.

W dalszej części listu opisywał zdarzenie, którego był uczestnikiem, za co właśnie znalazł się w tym nieszczęsnym areszcie. Ponieważ wykryto u niego pół promila alkoholu we krwi, opinia publiczna i prokuratura orzekły, że jest winny spowodowania wypadku. Ofiarami były cztery osoby z rodziny Borkowskich. Rodzice i dwoje dzieci. Mateusz wyszedł z tego z połamanymi żebrami i kilkoma zadrapaniami, co ludzie odebrali jako jawną niesprawiedliwość i przypuścili na niego jeszcze agresywniejszy atak. Zarówno w Internecie, jak i w jego rodzinnej wiosce.

Wszystko mogłoby się na tym zakończyć. Ludzie by zapomnieli. Może nie miejscowi, ale na pewno dla reszty internetowych komentatorów sprawa byłaby zamknięta. Jednak Mateusz uparcie twierdził w liście, że to nie on spowodował wypadek. Jechał przepisowo, miał do pokonania tylko dziewięć kilometrów. Trasę, którą znał na pamięć. Mat zarzekał się, że to kierowca vana wjechał w niego, a on w ostatniej chwili odbił w bok i zjechał na pobliską łąkę. Borkowscy nie mieli tyle szczęścia i wpadli z rozpędu na rosnące na poboczu drzewo. Ani prokurator, ani

obrońca Mateusza, którego przyznano mu z urzędu, nie wierzyli w te zapewnienia. Zresztą kto by się czymś takim przejmował. Jest pijany kierowca, to jest i główny sprawca. Krótka piłka. Sprawa rozwiązana. Dziękujemy, do widzenia. Tak właśnie działał wymiar sprawiedliwości.

Gdyby nie to, że Mateusz był dla mnie kimś ważnym, być może i ja nie uwierzyłabym w jego wersję. Gdybym była obcą osobą, najpewniej tak by się to skończyło. Ale ja go znałam. Nie kierowałam się sentymentem czy litością. Uwierzyłam mu, bo ludzie się nie zmieniają. Nie w kwestiach najistotniejszych. Nie rozszczepią rdzenia, w którym znajdowało się wszystko, kim naprawdę byli. Wydaje mi się, że Mateusz pozwolił mi zajrzeć do tego wnętrza i dlatego wiedziałam, że mówił prawdę.

Z tego powodu tu przyjechałam. Nie zakładałam, że odkryję dowody na to, że Andrzej Borkowski zjechał ze swojego pasa i próbował staranować samochód Mateusza, ale przynajmniej chciałam spróbować. Dla Mata.

Delikatnie odłożyłam na stolik wielokrotnie składany i rozkładany list i wyciągnęłam notes w twardej, czarnej oprawie. Zapisałam w nim jedno zdanie: *Dlaczego kierowca vana miałby zjechać ze swojego pasa na przeciwległy?*

Chyba od tego należałoby zacząć. Pod spodem zaczęłam wymieniać od myślników pomysły: *zasłabł, w aucie zawiodła elektryka, wpadł w poślizg*. Przy tym punkcie dopisałam w nawiasie, że wówczas padał deszcz, więc taka przyczyna wydawała się bardzo prawdopodobna. Zatrzymałam się w tym miejscu i coś mi zaświtało, ale ta ulotna myśl zaraz prysła. Wróciłam do wymieniania powodów, które mogłyby zdecydować o wspomnianej sytuacji. Dopisałam jeszcze: *coś mu wyskoczyło przed maskę, ktoś z pasażerów vana przyczynił się do wypadku*. Ostatnie dwa powody wydawały się mało prawdopodobne, ale chciałam mieć pełny repertuar sytuacji, które mogłyby doprowadzić do tego tragicznego finału.

Możliwości było za dużo, ale rzeczywiście punktem wyjścia powinna być rodzina Borkowskich, zdecydowałam i kilka razy podkreśliłam w notesie to nazwisko.



Walentyna odsunęła firankę i wyjrzała przez okno. Zrobiło się już zupełnie ciemno, ale ona nie chciała się jeszcze kłaść. Nie dzisiaj. Zresztą nigdy nie lubiła wcześniej chodzić do łóżka. Było jej szkoda dnia.

Wzmógł się wiatr, który podwiewał zasłony, bo okna były nieszczelne i już prosiły się o wymianę, ale nigdy nie wystarczyło pieniędzy.

Kobieta skończyła kolejną porcję sernika i wstała ciężko od stołu. Zgarnęła z niego ręką kilka okruszków i wrzuciła je do zlewu. Uwielbiała porządek. Otaksowała kuchnię uważnym spojrzeniem, a potem wyszła do sieni i założyła jesionkę podszytą kozuchem.

Zamknęła za sobą drzwi i omijając największe błotniste kałuże, poczłapała do stodoły. Zapaliła światło, ale bardzo słaba poświata żarówki pod sufitem odsłoniła tylko niewielki krąg na środku pomieszczenia, jej to jednak wystarczyło. W jesionce miała jeszcze latarkę. Odwróciła się, żeby zlokalizować drabinę. Już dawno tu nie zaglądała i zapomniała, gdzie ją odstawiła.

– A! Tu jesteś – mruknęła pod nosem.

Chwyciła drabinę oburącz i z niemałym wysiłkiem przystawiła ją do wejścia na odkryty strych, na którym piętrzyły się bele zatęchłej słomy i siana. Walentyna od kilku lat nie miała w gospodarstwie krów, ale bele zostały.

Dysząc, wspięła się na górę, podparła na rękach i podniosła do pionu. Obejrzała się. Nie, żeby kogoś się spodziewała, ale ostrożności nigdy za wiele. Szum, który nasilał się z każdą minutą, świadczył o tym, że nadchodziła kolejna jesienna ulewa.

Kobieta podeszła do przeciwległej ściany i przyklękła obok zbutwiałej beli słomy. Wsunęła rękę w dziurę utworzoną pomiędzy ciężkimi zwałami i szurając po drewnianej podłodze, przyciągnęła do siebie skrzynię. Stary posagowy kufer

zamykany na kłódkę, należał jeszcze do jej babki. Walentyna chowała tu swoje oszczędności. Nie ufała ani bankom, ani swojej rodzinie. A zwłaszcza rodzinie.

Otworzyła klapę, która pachniała przeszłością. Czasami dzieciństwa, gdy ta szkatuła była jej ulubioną i jednocześnie jedyną zabawką. Wkładała do niej swoje skarby, a potem je z niej co jakiś czas wyciągała i oglądała.

Szybko odrzuciła sentymentalne myśli, wyłowiła z kufra plik banknotów owiniętych foliową reklamówką i odłożyła go na bok. Potem sięgnęła po sakiewkę, w której trzymała złoto. Nic wielkiego, dwa pierścionki, w tym jeden po babce, którą cudownie ocalił jej przyszły mąż, a dziadek Walentyny, gdy była już w transporcie do Treblinki. Tę historię знаła cała jej rodzina i kilku dziennikarzy, którzy połaskili się na wojenne sentymentalne historie. Walentyna nie znosiła pismaków. Węszyli, rozpytywali, a na końcu i tak pisali, co im ślina na język przyniesie.

W sakiewce były jeszcze dwie pary kolczyków i... mały łańcuszek, który nie należał do niej ani nikogo z jej rodziny. Ale przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Odłożyła kosztowności i jednym stuknięciem w dno skrzyni zwolniła zapadkę, dzięki której mogła dostać się do skrytki pod dnem. Leżał tam plik zdjęć i mnóstwo wycinków prasowych. Niektóre artykuły drukowała z komputera w bibliotece. Musiała je zdobyć w ten sposób, bo w tradycyjnej formie nie były dostępne. Kurs aktywizujący dla gospodyń wiejskich bardzo jej się przydał.

Pobieżnie przeliczyła stosik kartek, okazało się, że niepotrzebnie. Wątpliwe, że ktoś kiedyś je tu znajdzie, a nawet jakby, to co z tego? Zawsze może powiedzieć, że fascynuje się sprawami kryminalnymi, jak te wszystkie staruszki w serialach. Mimo wszystko czuła potrzebę zaglądania tu od czasu do czasu, żeby się upewnić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Tym bardziej teraz, gdy wnuczka Michaliny wróciła, żeby uprzątnąć dom. Dobrze, że ją uprzedzono, mogła go porządnie odszykować.

Z samego dna szkatuły wyciągnęła dwa listy, które dostała w ciągu tych kilkadziesiąt lat. Tylko dwa, ale stanowiły niezaprzeczalny dowód tego, kim naprawdę był. I tylko ona znała całą prawdę. Ale teraz już nic nie miało znaczenia. Już nie było nikogo, kto mógłby mu zaszkodzić albo węszyć.

Deszcz się wzmógł. Walentyna zadrżała z zimna i wilgoci, które przedostawały się przez niezapiętą jesionkę. Poczowała ochotę na kolejny kawałek sernika i gorącą

herbatę. Wszystkie skarby zamknęła w ciężkiej skrzyni, zabezpieczyła kłódką, a potem wepchnęła szkatułę z powrotem w otwór pomiędzy belami siana.

Podniosła się z trudem. Stopy jej zdrętwiały z powodu niewygodnej pozycji i teraz na sztywnych nogach pokonanie drogi z góry na dół zajęło jej dwa razy więcej czasu niż wejście. Drabinę oparła o przeciwległą ścianę. Obejrzała się jeszcze, a potem zgasła światło i wyszła ze stodoły na ulewny deszcz.



Adam pojawił się u mnie punkt dziewiętnasta. Zrobiło się jeszcze zimniej, a padający nieprzerwanie deszcz wywoływał senność. Tak naprawdę to nie chciało mi się dzisiaj nigdzie wychodzić, ale nie miałam punktu zaczepienia i rozmowa z kimś z okolicy, kto dobrze znał Mateusza z niedawnych czasów, była mi bardzo potrzebna.

Nie wiedziałam, jak bardzo się zmienił i czy w ogóle się zmienił. Czy kogoś miał, jak mu się wiodło przez ostatnie lata, czy był szczęśliwy. Tego typu pytania nawiedzały mnie przez ostatnie tygodnie.

Ponieważ brama była zamknięta, musiałam pokonać drogę do podjazdu biegiem. Grzęzłam w błocie i zanim dotarłam do samochodu Adama, dzinsy miałam uwalane po kolana.

Przywykłam do takiej pogody, przecież od kilku lat mieszkałam w Szkocji, ale w głębi serca miałam nadzieję, że trafię na złotą polską jesień i trochę się wygrzeję w słońcu. Nadzieja matką głupich.

Złapałam gwałtownie za klamkę i szybko wskoczyłam do auta. Kiedy zrzucałam kaptur kurtki przeciwdeszczowej, wstrząsnął mną silny dreszcz.

– Cześć. Ale ziąb – przywitałam się z Adamem, który zapobiegawczo podkręcił ogrzewanie.

– Widzę, że nic się nie zmieniło. Cały czas jesteś zmarzluchem – zażartował.

– Spadaj – burknęłam pod nosem i zapinając pasy, posłałam mu gniewne spojrzenie.

Ruszyliśmy w stronę najbliższego miasteczka. Niemirów liczył jakieś pięć tysięcy mieszkańców. Siedem kilometrów od Niemirowa znajdował się trzydziestotysięczny Janówek, moja rodzinna miejscowość, w której spędziłam dziewiętnaście lat życia i którą darzyłam ogromnym sentymentem. Kiedy wyjechałam do Wielkiej Brytanii,

rodzice też się stąd wyprowadzili. Firma budowlana taty rozpoczęła intratną inwestycję w Niemczech. Nie chcąc się rozstawać na kilkanaście miesięcy, ojciec razem z mamą zdecydował przeprowadzić się do małej miejscowości nieopodal Hanoweru. Z finansowego punktu widzenia okazało się to bardzo dobrym posunięciem. Mamie doskwierała trochę tęsknota za domem i miastem, ale przywykła. Ludzie, jeśli muszą, potrafią się przyzwyczać do wszystkiego.

Wjeżdżaliśmy właśnie do Janówka, a i we mnie odezwało się znajome uczucie. Mimo ściany deszczu i zmroku zaczynałam rozpoznawać moje miejsca. Uśmiechnęłam się, gdy minęliśmy ulubioną pizzerię wszystkich dzieciaków ze szkoły.

– Niewiarygodne, że jeszcze tu jest – powiedziałam prawie do siebie.

Adam zerknął w tę stronę.

– I cały czas ich serowa na cienkim cieście nie ma sobie równych – skomentował.

Po tych słowach zrobiłam się okropnie głodna.

– O tak, pamiętam ją – rozmarzyłam się.

Zatrzymaliśmy się pod lokalem, którego nie kojarzyłam. Musiał powstać po mojej wyprowadzce. Bar o fantazyjnej nazwie Źródełko znajdował się w centrum miasta, które wyznaczał ryneček i kilka sklepów w podcieniach kamienic. Podejrzewałam, że w piątkowy wieczór lokal będzie wypełniony ludźmi po brzegi, ale chyba zbyt mocno przywiązałam się do zwyczajów edynburczyków i Brytyjczyków w ogóle. Czas w piątek wieczorem po pracy był dla nich święty i nie można go było spędzać w żadnym innym miejscu, tylko w pubie. Tutejsi mieszkańcy cenili sobie w taką pogodę ciepłe kapcie, zimne piwo i wygodną kanapę. Mieszkając w Edynburgu, pod tym względem byłam cały czas Polką z małego miasteczka, która przedkładała ciepły koc i Netflix ponad clubbing.

Okazało się, że Źródełko, wbrew moim przypuszczeniom, było całkiem przyjemnym miejscem. Przyciemnione światła, miła rockowa muzyka w tle i całkiem znośny wystrój, gdzie dominowały cegła i brązy.

– Co pijesz? – zapytał Adam, gdy zajęliśmy jeden z wielu wolnych stolików.

W pubie były tylko dwie grupki znajomych i jakaś para, zapewne na randce.

– Piwo. – Uśmiechnęłam się żartobliwie, ale zaraz dodałam: – Guinness, jeśli będzie.

Kochałam to piwo i nie zamierzałam się z tym kryć.

Adam pokręcił głową, jakby zniesmaczony moim pomysłem, ale zaraz zasalutował i ruszył do baru. Spojrzałam za nim. Zmienił się. Może nie spektakularnie, bo zawsze był przystojny, ale wyglądał na statecznego, wyciszonego kołosa. A może po prostu wydorósł? Zastanawiałam się, jaki przez te ostatnie lata był Mateusz. Poczułam ukłucie żalu, że nie będzie mi nigdy dane się tego dowiedzieć.

Adam postawił przede mną butelkę czarnego guinnessa, a ja natychmiast poczułam pragnienie.

– Zamówiłem też coś do jedzenia, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Absolutnie nie. Umieram z głodu.

Dopiero po chwili zauważyłam, że Adam w szklance miał colę, a nie piwo. No tak, przyjechaliśmy tu autem.

– Możemy wrócić taksówką. – Wskazałam na jego szklankę.

Pokręcił głową.

– Nie, to nie ma znaczenia. I tak bym nie pił – stwierdził z powagą. – Od roku piję bardzo okazjonalnie, prawie wcale, a już na pewno nie wtedy, gdy muszę prowadzić – dodał i jakby na potwierdzenie tych słów upił łyk bezalkoholowego napoju.

Nie skomentowałam, tylko patrzyłam na niego z ciekawością i wtedy mnie olśniło. Rok bez alkoholu, wypadek, Mateusz.

– Przez Mateusza? – odważyłam się zapytać, a on skinął głową i na moment uciekł gdzieś wzrokiem.

Jego twarz przybrała neutralny wyraz, ale zaraz wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

– Mateusz wracał wtedy ode mnie. Wypił dwa piwa. Nie był pijany, inaczej nigdy bym mu nie oddał kluczyków. – Wypuścił powietrze z płuc.

To wyznanie mnie zaskoczyło, w głowie zakłębiło mi się od pytań, ale musiałam działać delikatnie.

– Mateusz cały czas twierdził, że to nie on stracił panowanie nad kierownicą, ale że to kierowca vana wjechał wprost na niego – oznajmiłam, jednocześnie zdradzając, że znam ten ważny szczegół wypadku.

Adam podniósł na mnie swoje ciemnobrązowe oczy i zmarszczył brwi.

– Wiesz o tym? – zapytał autentycznie zdziwiony.

Tym razem to ja głośno westchnęłam. Nie było sensu kłamać. Poza tym musiałam zadać mu kilka pytań, a bez wyjawienia prawdy nie byłabym w stanie tego zrobić.

– Wiem. Mateusz wysłał do mnie list, w którym wszystko mi opowiedział – wyznałam. – Dlatego tu jestem, Adam. Nie po to, żeby sprzedać dom czy pisać artykuł. Wróciłam, żeby przynajmniej spróbować dowieść jego teorii. Nikt inny nie chciał mu pomóc. – Przełknęłam ciężko ślinę.

List od tygodni wypalał mi dziurę w torebce. Miałam go cały czas przy sobie, ale nie mogłam go pokazać Adamowi. Był zbyt osobisty. Intymny. Mój.

– Nigdy mi o tym nie powiedział – stwierdził zaskoczony i zaraz uściślił: – Mam na myśli kontakt z tobą.

– Widziałeś się z nim w areszcie?

Skinął głową.

– Uwierzyłeś mu? – zapytałam, a on popatrzył na mnie z niezrozumieniem, więc dodałam: – W sprawie tego, że to nie on był sprawcą wypadku.

Upiłam łyk piwa. Adam długo wpatrywał się w swoje dłonie, którymi obejmował oszronioną szklanekę.

– Szczerze?

– No jasne.

– Nie wiem, Olga. – Westchnął. – Nie mam pojęcia. Może rzeczywiście ten facet stracił panowanie nad samochodem akurat wtedy, gdy z naprzeciwka jechał Mateusz. Może wpadł w poślizg, a może... może w ten sposób Mateusz próbował sobie w jakiś sposób poradzić z tym, że doprowadził do śmierci całej rodziny. W tym dwojga dzieci. – Spojrzał na mnie zboląłym wzrokiem. – Ja sam nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś takiego przydarzyło się mnie.

Zamyśliłam się nad tym, co powiedział. To byłoby naturalne, gdyby właśnie tak próbował zagłuszyć wyrzuty sumienia. Niełatwo żyć z myślą, że popełniło się błąd, który doprowadził do takiej tragedii. Ale czy Mat był właśnie takim człowiekiem? Zagłuszałby swoje winy wymyślonym zdarzeniem?

– Nie – powiedziałam, a mój głos zabrzmiał stanowczo, chociaż wcale się o to nie starałam.

– Skąd u ciebie taka pewność?

Nie było w tym pytaniu złości czy niedowierzania. Zwykła ciekawość.

– Nie napisałyby do mnie, gdyby nie był przekonany, że właśnie to się wydarzyło – wyjaśniłam. – Był pewny – dodałam i wzięłam spory łyk ciemnego, gęstego piwa.

– Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Chyba zacznę od rozpytywania. – Wzruszyłam ramionami.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że ludzie we wsi już Mateusza skazali? – prychnął z pogardą.

– Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego nie będę pytała wprost. Nie o Mata, ale o tę rodzinę, która zginęła.

Wyjaśniłam Adamowi pokrótce, dlaczego właśnie w tę stronę chcę iść.

– To ma sens. Nie wiem, czy coś znajdziesz, ale gdybyś potrzebowała pomocy, to wiesz, że jestem do twojej dyspozycji. Ja też chcę wierzyć w to, co powiedział Mateusz. Bardzo chcę w to uwierzyć – dodał ciszej i spuścił wzrok.

Kelnerka przyniosła pizzę, na której widok moje ślinianki zaczęły pracować w zastraszającym tempie. Zmieniliśmy temat. Rozmawialiśmy trochę o mnie i trochę o nim. Adam dał mi do zrozumienia, że jest sam, że nie ma żadnej dziewczyny, tym bardziej żony. Nie wiem, dlaczego chciał, żebym o tym wiedziała, ale trochę mi ulżyło, że spędzając ze mną czas, nie wkurza jakiejś swojej partnerki.

– A Mateusz? Co się u niego działo, zanim.. zanim to wszystko się wydarzyło? – wróciłam do mojego najważniejszego tematu.

Adam uśmiechnął się smutno, wycierając kąciki ust.

– Cały czas był moim najlepszym kumplem – powiedział, jakby to miało wyjaśnić wszystko, i chyba tak właśnie było.

Jeśli wciąż się przyjaźnili, znaczyło to, że Mat się nie zmienił. Był tym samym chłopakiem, którego poznałam pewnego upalnego lata i w którym zakochałam się do nieprzytomności.

...byłaś moją pierwszą i jedyłą miłością.

Zabrzęczało mi w uszach. I w sercu. Tak napisał w liście. *Byłaś moją pierwszą i jedyłą miłością.* A czy ja kiedykolwiek przestałam go kochać?

Opróżniłam drugą połowę butelki i poczułam delikatny szum w głowie. W lokalu pojawiło się kilku nowych klientów i zrobiło się gwarniej, ale nie na tyle, żeby nie można było spokojnie pogawędzić.

– Znałeś ich? – zagadnęłam, gdy skończyłam jeść, a Adam zamówił mi jeszcze jedno piwo.

Sam pozostał przy coli.

– Masz na myśli tę rodzinę?

Skinęłam głową.

– Nie. Mieszkali gdzieś na obrzeżach. Wiem tylko tyle, co przeczytałem w Internecie. On pracował w szkole, ona chyba nigdzie nie pracowała, zajmowała się domem. – Wzruszył ramionami. – Nic więcej. No może tylko tyle – że byli tu krótko.

Zamyśliłam się, przygryzając wnętrze policzka. Poczułam w ustach krew i to mnie otrzeźwiło. Potrafiłam tak odpływać myślami, że nie zwracałam uwagi na nic.

– W Janówku? – upewniłam się.

– Tak. Przeprowadzili się chyba z Pomorza. Nie jestem pewien, czy dobrze zapamiętałam, ale jeśli chcesz, to mogę popytać ludzi. Mam znajomą, która pracuje w szkole. Niedługo będzie robił tam przegląd pieca, to mogę się do niej uśmiechnąć – zaoferował i zaprezentował swoją najpotężniejszą broń, czyli wspomniany uśmiech.

– To byłoby już coś. – Ucieszyłam się. – Jakiś początek.

– Pomogę ci. Jeśli uważasz, że to, co Mateusz napisał w liście, jest prawdą, trzeba tego dowieść i chcę wziąć w tym udział – zadeklarował.

– Pomoc byłaby dla mnie na wagę złota, ale prosiłabym cię o dyskrecję. Nie chcę, żeby ktoś się domyślił, przy czym zamierzamy grzebać – ostrzegłam. – Wiesz, jacy są ludzie.

– Olga, mieszkam tu całe życie – przypomniał z uśmiechem. – Wiem, jacy tutejsi są.

– No tak – zreflektowałam się.

– Czyli sprzedaż domu to tylko przykrywka? – zapytał po chwili.

– I tak, i nie. – Westchnęłam. – Jeszcze nie zdecydowałyśmy z mamą na sto procent, co zrobić z tym wszystkim. – Zatoczyłam ręką koło. – Jest trochę ziemi, rzeczy po dziadkach, pamiątek, których nie chcemy się pozbywać. Coś trzeba z tym zrobić i skoro już tu jestem, może powoli się do tego zabiorę. – Wzruszyłam ramionami. – Przy okazji uwiarygodnię swój pobyt.

– Jeśli i w tym będziesz potrzebowała jakiejś pomocy, jestem do dyspozycji – zaoferował. – Wiesz, coś wynieść, coś przenieść – dodał jakby z zawstydzeniem.

W tym momencie zyskałam pewność, że Adam ze mną flirtował. Nie przyjechałam tu, żeby nawiązywać romanse, dlatego nie chciałam go zachęcać. Musiałam się skupić. Nie mogłam jednak być wobec dawnego kolegi niemiła, dlatego postanowiłam obrócić wszystko w żart.

– Spoko. Jeśli będę miała coś dla tragarza, na pewno cię najmę do tego zadania. – Uśmiechnęłam się.

Skinął głową i zaczesał do tyłu ciemne, gęste włosy.

– Chyba już na mnie czas. – Ziewnęłam ostentacyjnie.

Dochodziła jedenasta i naprawdę czułam się zmęczona. Chciałam zacząć kolejny dzień od wizyty na komisariacie. Musiałam się przygotować i przede wszystkim porządnie wyspać.

– Jasne. Odwiozę cię.

– Jeśli to nie problem.

– Żaden.

Ulewa ustała, ale w powietrzu utrzymywała się lodowata wilgoć. Wieczór był chłodny i nieprzyjemny. Przecieliśmy Rynek i szybkim krokiem dotarliśmy na parking. Wokoło leżały żółte liście, które wichura postrącała z olbrzymiego kasztanowca.

Wsiadliśmy do samochodu, a Adam, znając już moją wielką niechęć do zimna, natychmiast odkręcił ogrzewanie.

Kilkanaście minut później byliśmy już na podjeździe. Podziękowałam za zaproszenie i złapałam za klamkę, ale Adam zatrzymał mnie, dotykając mojego ramienia.

– Naprawdę, gdybyś potrzebowała pomocy, dzwoń do mnie o każdej porze. Jeśli istnieje szansa na to, żeby przywrócić mu dobre imię, zrobię wszystko. Jestem mu to winny. – Przełknął ciężko ślinę i odwrócił się w stronę przedniej szyby. – Powinienem był go wtedy zatrzymać – dodał, ściskając mocno kierownicę, aż pobielały mu kostki.

– Skąd mogłeś wiedzieć, co się wydarzy – powiedziałam z emfazą. – Mateusz był dorosły. Podejmował własne decyzje – dodałam, żeby choć częściowo uwolnić Adama od tej winy.

– Wiem, ale to i tak niczego nie zmienia. – Spojrzał mi prosto w oczy.

Skinęłam głową w geście zrozumienia. Naprawdę pojęłam, o co w tym wszystkim chodzi. Adam mnie nie podrywał. Po prostu potrzebował jakiegoś zadośćuczynienia, a ja stałam się dla niego kołem ratunkowym. Chciał mi pomagać, bo to była też jego sprawa i jego poczucie winy, które musiał chociaż częściowo złagodzić.

Nie on jeden.

Ukryj przed dniem

Ela pakowała ostatnie pudła, z żalem spoglądając na to, co zostawiała. Małe, ale wygodne mieszkanie w Kartuzach było jej pierwszym samodzielnym lokum. Dostała je od rodziców, a teraz musiała je opuścić. Była rdzenną Kaszubką i nigdy nie mieszkała poza swoim miastem. Poza tym kochała bliskość morza i możliwość spędzania na plaży każdej wolnej chwili. Myśl o przeprowadzce ją przygnębiała, ale postanowiła zagryźć zęby i nie utrudniać tej sytuacji. Wystarczy, że dzieci się zbuntowały, chociaż nie mogła ich za to winić. Musiały zmienić szkołę i rozstać się z przyjaciółmi, co było dla nich tragedią.

Westchnęła i rozejrzała się po pustych półkach i pustych ścianach, na których pozostały jedynie szarawe smugi odcinające kształt zdjęć i obrazów. Ela miała wrażenie, że sama pozostawi w tym mieszkaniu smugę, bo oddała temu miejscu część siebie.

Usłyszała otwierane drzwi wejściowe i w przedpokoju pojawił się mąż. Zdyszany i zgrzany, bo już od godziny znosił torby i kartony do auta. Policzki mu się zaczerwieniły, grzywka sterczała, musiał przed chwilą przeczesać włosy palcami. Mimo skończonej czterdziestki nie miał zmarszczek i ani jednego siwego włosa. Był wysportowany i wciąż tak samo przystojny jak tego dnia, gdy go poznała. Nie, poprawiła się w myślach, jest jeszcze przystojniejszy. Jego rysy się wyostrzyły i nabrały stanowczości. W tej dojrzałszej wersji podobał jej się jeszcze bardziej.

Przykucnął obok niej i objął ją ramieniem.

– Wiesz, że to nie na zawsze – szepnął jej do ucha.

Sapnęła z frustracji, ale nie była w stanie się na niego gniewać. Stracił pracę w szkole i znalazł etat w swoim rodzinnym mieście gdzieś na Mazurach. Kiedy Ela próbowała mu zasugerować, że może czas się przebranżowić, poszukać czegoś

w innym zawodzie, wściekł się. Nigdy go takiego nie widziała. Ale się nie poddawała. Nie mogła tak po prostu odpuścić, wyjechać do jakiejś wioski i zapomnieć o ich dotychczasowym życiu. zaproponowała, że znajdzie sobie pracę, chociaż nie była czynna zawodowo od momentu zajścia w ciążę z Arkiem, ale mąż nie chciał o tym słyszeć. Stwierdził, że Kinia jest jeszcze mała i potrzebuje jej obecności w domu. Nie pomogły żadne argumenty i Ela musiała się pogodzić z faktem, że znowu przegrała. W starciu z nim zawsze ponosiła porażkę. Po raz pierwszy w życiu nie potrafiła tak po prostu odpuścić. Tu był jej dom i nie chciała się przeprowadzać na koniec świata.

Tylko jedno trzymało ją teraz w kupie: Andrzej obiecał, że jeśli sytuacja na rynku pracy się zmieni, to wróci. Zdecydowali, że swoje dotychczasowe mieszkanie wynajmą. Dla siebie też wynajęli. Dom z ogrodem. Było to nieznaczne pocieszenie dla dzieci. I jeszcze to, że będą mieć nareszcie własne pokoje.

– Wiem – odparła zmęczonym głosem. – Co z rzeczami z piwnicy?

– Większość już wrzuciłem na pakę. – Sięgnął po kolejną torbę z ubraniami, którą przed chwilą naszykowała. – Potem zajmę się gratami. Wyrzucę wszystko do kontenera.

Skinęła głową i o czymś sobie przypomniała.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, odczekała minutę i zeszła za nim na dół, a potem w pośpiechu zniknęła w piwnicy. Otoczyła się rękoma, gdy uderzył w nią chłód. Nie miała zbyt wiele czasu, dlatego odsunęła od siebie wszelki strach związany z ewentualnością napotkania szczura i otworzyła drzwi piwnicy. Jak powiedział Andrzej, większość rzeczy była już zabrana. Ela schyliła się i zajrzała pod najniższą półkę regału. Pudełko po butach z dziwną zawartością również zniknęło.

Czy Andrzej je wyrzucił? Zwrócił do szkoły?

Od czasu wielkiej ulewy minęły dwa miesiące i Eli całkowicie wyleciało z głowy osobliwe pudło. Chciała nawet o nie zapytać Andrzeja, ale coś ją powstrzymało. Może bała się jego reakcji? Tego, że zacznie kręcić, co z kolei sprowadzi na nią falę podejrzeń. Kolejnych podejrzeń.

Andrzej podobał się zarówno nauczycielkom, jak i uczennicom. Kiedyś podejrzewała go o romans z jedną z nich. Widziała ich w jakiejś kawiarni na uboczu. Nie, nie przypadkiem. Śledziła go.

Andrzej zaklinał się, że udzielał dziewczynie korepetycji. Przecież u nich nie ma do tego warunków, ale Eli ta odpowiedź nie satysfakcjonowała, bo na własne oczy widziała, jak jej mąż patrzył na tę uczennicę. Z dziwnym apetytem, od którego zrobiło się jej niedobrze. Oczywiście wyśmiał ją, ale to nie uspokoiło Eli. Była przejęta, zwłaszcza gdy nie pojawiał się w domu zaraz po pracy, tylko zostawał w szkole nawet do dwudziestej. Zawsze miał wymówkę. Dodatkowe zajęcia, korepetycje, przygotowywanie uczniów do olimpiady i tym podobne.

Kobieta starała się nie popadać w paranoję, ale nie mogła się uwolnić od ściskających wnętrzości wizji, bo ciągle pamiętała wzrok męża spoczywający na tej młodej dziewczynie.

– Czego szukasz? – Huknęło jej nad głową.

Zadrżała na całym ciele.

Wciąż była na podłodze i ponownie schyliła się, by się upewnić, że niczego nie przeoczyła.

– Niczego. Sprawdzam, czy o czymś nie zapomniałeś – odparła, podnosząc się z kolan.

– Niczego nie zapomniałem. – Lekko się uśmiechnął, jakby domyślał się, o co chodzi.

– Okej. W takim razie wracam na górę.

– Pomogę ci – zaoferował i ruszyli schodami do mieszkania, które już niedługo mieli opuścić.

6



Siedziałam przed pokojem komisarza Ligockiego, który jako pierwszy zjawił się na miejscu wypadku i prowadził tę sprawę. Niecierpliwie stukałam stopą w nogę niewygodnego krzesła, czując lekkie zdenerwowanie. Komisariat w Janówku wyglądał tak jak chyba wszystkie komisariaty i posterunki w całym kraju. Obskurny i nieprzyjazny, rodem z peerelu. Tylko stojąca przy oknie olbrzymia monstera dodawała trochę życia temu miejscu.

Co chwilę ktoś przechodził i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Na kolanach trzymałam moleskin i próbowałam udawać nonszalancję, ale nie wiem, czy komukolwiek w takim przybytku udałoby się zagrać to wystarczająco dobrze.

Po kwadransie drzwi się otworzyły i pojawił się uchachany petent, który pożegnał się z komisarzem Ligockim uściskiem dłoni. Policjant okazał się szpakowatym czterdziestoletnim mężczyzną o ostrych rysach twarzy. Łagodne, niebieskie oczy kontrastowały z pozostałymi cechami jego wyglądu.

Był wysoki i barczysty. Miał na sobie czarną koszulkę polo i ciemnoniebieskie dżinsy.

– Pani Olga Linga? – upewnił się.

– Zgadza się. – Wstałam i uśmiechnęłam się przyjaźnie.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech i zaprosił mnie do pokoju. Wnętrze pomieszczenia nie różniło się zbyt wiele od tego, co zastałam na korytarzu. No, może z wyjątkiem otwartego szeroko okna, co przyjemnie filtrowało powietrze.

Komisarz usiadł za biurkiem i założył ręce na piersi.

Swoje zainteresowanie sprawą wypadku zaanonsowałam telefonicznie. Wolałam, aby wszystko odbyło się w miarę profesjonalnie i formalnie.

– Jak już wspomniałam, jestem dziennikarką i piszę reportaż – zaczęłam i otworzyłam notes.

– To już wiem, ale dlaczego interesuje pani akurat ten wypadek? – Zmarszczył brwi w wystudiowany sposób, którym najpewniej próbował zdenerwować przesłuchiwanego.

– Pochodzę z tych stron – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Fakt, że miałam w tych okolicach rodzinę, można łatwo sprawdzić. O ile oczywiście komuś będzie się chciało to robić. Wątpiłam w to, ale wolałam nie ryzykować.

– Rozumiem, ale nadal nie wiem, jaki temat przewodni przyświeca pani książce. Wypadki śmiertelne? Wypadki w małych miejscowościach? – zapytał z lekką kpina w głosie.

No proszę, pan policjant udaje dociekliwego, pomyślałam z sarkazmem. Okej, byłam nastawiona do policji, delikatnie rzecz ujmując, niezbyt przychylnie, w mojej głowie funkcjonował stereotyp policjanta z dowcipów. Nie przypuszczałam, że będzie aż tak zainteresowany moim fikcyjnym reportażem. Mimo wszystko przygotowałam się.

– Piszę o lokalnych społecznościach, a tego typu zdarzenia bardzo na nie wpływają.

– No dobrze, czego chciałaby się pani dowiedzieć ode mnie? – Nareszcie wyszedł z roli dociekającego gliny i się rozluźnił.

– Był pan jednym z pierwszych na miejscu zdarzenia. Czy zauważył pan tam coś nietypowego? – Otworzyłam notes i wyciągnęłam długopis.

– Oprócz czterech martwych ciał, w tym dwójki dzieci? – zapytał, podnosząc delikatnie brwi.

Here we go again, pomyślałam już autentycznie zmęczona jego sarkazmem i próbami zaszokowania mnie.

– Oprócz tych ciał – odparłam, udając opanowanie, chociaż wzmianka o martwych dzieciach wywołała dreszcz zgrozy na plecach.

Mężczyzna zamyślił się i po chwili pokręcił głową.

– Klasyczny wypadek spowodowany pod wpływem alkoholu. – Rozłożył ręce. – Ja bym właśnie z tego zrobił książkę i zatytułował ją: *Pileś, nie jedź, idioto*. – Uśmiechnął się.

– Będę jej wypatrywać w księgarniach – odparłam z takim samym uśmieszkiem. – A tymczasem – podjęłam znowu – chciałabym zapytać, czy nie było na miejscu zdarzenia żadnych przesłanek podających w wątpliwość fakt, że sprawcą wypadku był Mateusz Karczewski?

– Nawiązuje pani do jego linii obrony?

– Tak. Podobno twierdził, że to kierowca wana zjechał ze swojego pasa wprost na niego, a on musiał gwałtownie skręcić. – Udałam, że wyczytuję te informacje z notesu.

Gliniarz chwilę mi się przyglądał.

– Ślady hamowania były niejednoznaczne – oświadczył po kilku sekundach. – Jedyna rzecz, która tam według mnie nie pasowała, to przesłony zaciemniające szyby. Z każdej strony. Nawet z przodu, na miejscu pasażera – wyjaśnił.

I wtedy mnie olśniło. To była właśnie ta ulotna myśl, której nie mogłam przywołać, gdy kompletowałam powody, z których Borkowscy mieliby zjechać na przeciwległy pas. Przypomniałam sobie zdjęcie samochodu, na którym były widoczne osłony.

– A wtedy był pochmurny dzień – powiedziałam z bijącym sercem. – Jak pan myśli, dlaczego mieliby zasłaniać szyby, jeśli nie było słońca?

Policjant rozłożył ręce.

– Może spodziewali się, że później się wypogodzi, albo dzieci spały i chcieli przyciemnić? Możliwości mogło być dużo.

Doprawdy? Wpadłeś na dwie, dodałam w myślach.

– Ledwie wyjechali z domu, z tego, co rozumiem. – Raz jeszcze zerknęłam do notatek, tym razem faktycznie szukałam potwierdzenia tych informacji. – I już wszyscy ułożyliby się do snu? Czy orientuje się pan, dokąd wtedy jechali? Może tylko na zakupy do miasta? Chociaż to był późny listopad, środek tygodnia. Czy dzieci nie powinny być wtedy w szkole?

Mężczyzna sapnął, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Mateusz wypił dwa piwa i to go przekreśliło. Nie pochwalałam tego, że siadł za kierownicę po alkoholu, wręcz to potępiałam, ale skoro twierdził, że to nie on w nich wjechał, dlaczego nikt nawet nie próbował wyjaśnić tych wątpliwości.

– Pani Olgo, policja nie zajmuje się ściganiem wagarujących dzieci, tym bardziej tych przebywających w czasie wagarów ze swoimi rodzicami – oświadczył tym

swoim specyficznym ironicznym tonem, który zaczynał mnie szczerze irytować.

– Czy państwo Borkowscy mieli tu jakąś rodzinę? – spróbowałam inaczej.

– Z tego, co wiemy, nie. Mieszkali tu już ponad rok, pan Borkowski dostał pracę w tutejszej szkole.

To było ciekawe. Przeprowadzili się na totalne zadupie, tylko dlatego że facet dostał pracę nauczyciela w szkole? Wydawało mi się to dziwne, ale różnie w życiu bywało. Czasami ludzie potrzebowali zmiany albo odcięcia się od przeszłości.

– Wie pan może, gdzie mieszkali wcześniej? – zapytałam.

– W Kartuzach. Pani Borkowska stamtąd pochodziła – wyjaśnił.

– Znał pan tę rodzinę?

Pokręcił przecząco głową.

Okej, czyli nikt nigdy nie składał na nich doniesień ani sąsiedzkich skarg, pomyślałam. Zwykła, normalna rodzina.

– A znał pan Mateusza Karczewskiego? – kontynuowałam.

– Nie.

– Czy był kiedyś zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu albo z jakiegoś innego powodu? – Schyliłam głowę nad notatnikiem, żeby ukryć fakt, że czekam na tę informację z większym podenerwowaniem niż na poprzednie.

– Z tego, co mi wiadomo, to nie. Kilka razy dostał mandat za przekroczenie prędkości i za złe parkowanie – powiedział i zaraz dodał, jakby chciał wytłumaczyć ten brak recydywy Mata: – Ale wie pani, to, że do tamtego momentu nikt nie zatrzymał go na podwójnym gazie, nie oznacza, że Karczewski nie wybierał się w podróż w takim stanie częściej.

Albo i nie, dopowiedziałam w myślach.

– Jaki zarzut ciążył na Karczewskim?

– Zagrożenie w ruchu lądowym i nieumyślne spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym – powiedział. – Chociaż z tą nieumyślnością bym polemizował. Jeśli ktoś siada za kółko pod wpływem, to zdaje sobie sprawę, że coś może pójść nie tak.

– Rozłożył ręce w geście, który miał oznaczać, że gdyby to od niego zależało, postawiłby Mata przed sądem z zarzutem morderstwa i to najlepiej z premedytacją.

– Czy zbadano też krew kierowcy vana na obecność alkoholu? – zapytałam.

– Tak, badanie nie wykazało obecności alkoholu – odpowiedział.

– Rozumiem, że autem kierował Andrzej Borkowski?

Policjant skinął głową.

– Czy robiono sekcję zwłok ofiarom wypadku? – Szybko zapisałam sobie to pytanie w kajecie, bo wpadłam na nie dopiero teraz.

Czasami właśnie tak działałam, na żywioł.

– Nie było takich przesłanek. Obrażenia zewnętrzne świadczyły o silnych urazach wewnętrznych, na skutek których nastąpiła śmierć – wyrecytował.

– Rozumiem. – Skinęłam głową i zamknęłam moleskin. – W takim razie dziękuję za poświęcony czas. – Podniosłam się i wyciągnęłam rękę w stronę mężczyzny.

Wstał pospiesznie i odwzajemnił uścisk, który był mocny i pewny, co w ogóle mnie nie zdziwiło. Korespondował z powierzchownością i najpewniej też z charakterem Ligockiego.

Mężczyzna odprowadził mnie do drzwi i otworzył je mocnym szarpnięciem.

– Do widzenia – powiedział z uśmiechem.

– Do widzenia – odparłam i ruszyłam wzdłuż korytarza, ale zatrzymał mnie jego głos.

– Gdyby potrzebowała pani jeszcze jakichś informacji, to jest moja wizytówka. – Zbliżył się do mnie kilkoma zwinnymi susami i wręczył mi kartonik.

Zaskoczona przyjęłam go i schowałam do notesu, który cały czas trzymałam w dłoniach. Nie sądziłam, że rozmowa, która na początku była serią uszczypliwości, tak się panu komisarzowi spodoba, pomyślałam z ironią.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się tym razem szczerze i ruszyłam schodami w dół.

Na zewnątrz odetchnęłam z ulgą i zaciągnęłam się jesiennym powietrzem przesiąkniętym zapachem mokrej ziemi i trawy. Po tête-à-tête z policjantem poczułam, jak schodzi ze mnie napięcie i zapragnęłam napić się kawy. Takiej prawdziwej, pachnącej jak ta, którą codziennie kupowałam w ukochanej kawiarni nieopodal mojego mieszkania w Edynburgu na Home Street.

Rozejrzałam się dookoła. Obok komisariatu rozciągał się gęsty park, a za nim centrum miasta. Kiedyś znajdowała się tu mała knajpka, ale zamieniono ją w sklep z artykułami papierniczymi. Szkoda. Weszłam do parku, gdzie wilgotny zapach przybrał na sile. Nie przeszkadzał mi jednak, a wręcz go polubiłam, bo mnie uspokajał.

Wreszcie udało mi się zlokalizować jakąś piekarnię, w której zamówiłam ciastko i kawę na wynos. Wróciłam do parku i usiadłam na jednej z ławek zalanych słońcem. Tego było mi potrzeba. Promieni słonecznych i ciepła.

Upiłam łyk gorącego napoju. Niestety, nawet nie umywał się do tego, który piłam każdego dnia w osiedlowej kawiarni. Mimo wszystko potrzebowałam kofeiny, a w domu miałam tylko kawę rozpuszczalną, którą plasowałam kilka poziomów niżej od tej z piekarnianego ekspresu.

Wystawiłam twarz do słońca, a moje myśli natychmiast pomknęły do wakacji sprzed lat, gdy jeszcze wszystko było takie proste. I takie piękne.

Wtedy

– Kim on był? – rzucił wściekły Mateusz, a ja uśmiechnęłam się pod nosem.

Wyszliśmy na zewnątrz z wiejskiej dyskoteki, bo Mat się wkurzył. Niedawno przyjechałam do dziadków, a ta impreza miała być uczczeniem naszej rocznicy i faktu, że znowu mogliśmy się widzieć prawie codziennie, nie tylko w weekendy.

– Nikim. Tylko poprosił mnie do tańca – sapnęłam ze zmęczenia.

Taka była prawda. Jakiś typ podszedł do mnie, gdy wyszłam się przewietrzyć. Kiedy próbowałam się go pozbyć, zobaczyłam Mateusza, który gada z jakąś laską przy barze; wyglądało na to, że dobrze się znają. Wtedy postanowiłam zatańczyć z tym kolesiem, żeby Mat się wściekł, i dopięłam swego.

– Olga! – krzyknął za mną, gdy szłam w stronę samochodu, który zaparkował po drugiej stronie ulicy.

– Co?! – wrzasnęłam, odwracając się gwałtownie.

– Nie chcę, żebyś tańczyła z jakimiś obcymi typami. – Z frustracji palcami przeczesał włosy, które w nieładzie opadły mu na czoło.

– A ja nie chcę, żebyś rozmawiał z jakimiś obcymi typami – odszczeknęłam się.

Mateusz skrzywił się, jakby nie wiedział, o czym mówię. Dopiero po kilku sekundach skumał, do czego piłam.

– Patrycja? – szczerze się zdziwił. – Przecież to moja kuzynka – oświadczył z uśmiechem i popatrzył na mnie w ten szczególny sposób, który zawsze wywoływał u mnie dreszcz podniecenia.

– Jaka znowu kuzynka? – Założyłam ręce na piersi, próbując nie dać się jeszcze udobruchać.

Zbyt szybkie odpuszczanie go rozpuszczało.

Mateusz wywrócił oczami i wskazał na remizę za nami.

– Poznałaś ją na moich urodzinach, głuptasie. – Próbował mnie złapać za rękę, ale się uchylałam.

– Nie przypominam sobie – skłamałam, bo już załapałam, że skądś kojarzyłam jej twarz.

Alkohol nie pomagał w koncentracji.

– Nie zmyślaj. Gadałyście pół wieczora, a potem razem obaliłyście butelkę wina. – Tym razem to on założył ręce na piersi i zrobił niedowierzającą minę.

Jego uśmiech stał się cwany. Taki, jaki u niego uwielbiałam najbardziej.

– Nieważne. – Wzruszyłam ramionami i próbowałam odejść, ale on złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

A potem mnie pocałował. Wyrwałam mu się i ze śmiechem uciekłam w pobliskie pole kukurydzy. Biegłam i biegłam, a on cały czas mnie ścigał. I tak już było od dwóch lat naszego związku.

Aż wreszcie się poddałam i otworzyłam ramiona, żeby mógł w nie wpaść.

Otrząsnęłam się ze wspomnień i opatuliłam mocniej kurtkę. Słońce schowało się za koronami drzew i zrobiło mi się zimno. Mimo wszystko nie chciałam jeszcze wracać do domu. To miejsce mnie otulało. Dziwne wrażenie, ale właśnie tak się w tej chwili czułam, otulona, jakbym znalazła się pod czułą opieką bliskiego przyjaciela. Chyba właśnie tak wyglądały powroty do domu.

Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam moleskin. Przeglądałam notatki, które zrobiłam podczas spotkania z policjantem, i zastanawiałam się nad kolejnym ruchem. Wcześniej planowałam spotkać się z prokuratorem, który sporządził akt oskarżenia, ale ostatecznie uznałam, że nie dowiem się niczego nowego.

Jeśli miałam udowodnić tezę Mata, musiałam zastanowić się nad dwiema kwestiami, które nie pasowały do układanki. A może nawet trzema? Jeśli do przesłona na szybach i dziwnej przeprowadzki dodamy jeszcze wyprawę całej

rodziny w środku dnia, gdy dzieci powinny być w szkole, a przynajmniej jedno z rodziców w pracy... Pracy, która rzekomo była powodem zamieszkania w Janówku, gdzieś na zadupiu. Nic mi się tu nie zgadzało. Odpowiedzi na przynajmniej dwa pytania powinienam uzyskać w szkole. O ile, oczywiście, dyrektorka zgodzi się udzielić mi informacji. W przeciwnym razie będę musiała poprosić o pomoc Adama. Skoro zna jakąś nauczycielkę stamtąd, być może dzięki niemu znajdę dojście.

Dopiłam zimną kawę i się skrzywiłam. W takiej wersji była okropna. Kubek wyrzuciłam do kosza i ruszyłam w stronę zaparkowanego przy komisariacie samochodu. W międzyczasie wybrałam numer Adama.



– Jak dobrze się znacie? – zagadnęłam Adama, kiedy każde z nas wysiadło ze swego auta. Zaparkowaliśmy na szkolnym parkingu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Kiedyś ze sobą chodziliśmy – wyjaśnił. – Ale to już nieaktualne. Teraz się przyjaźnimy – dodał.

Przekraczaliśmy próg szkoły akurat w momencie, gdy rozległ się ogłuszający dźwięk dzwonka. Ale to było nic w porównaniu z tym, co nastąpiło po nim. Ze wszystkich sal lekcyjnych wylały się fale dzieciaków. Miałam wrażenie, że emitują dźwięk o natężeniu ponad stu decybeli.

Ze zgrozą spojrzałam na Adama, który wyglądał na rozbawionego moją miną.

– Chodź. – Chwycił mnie niespodziewanie za rękę i zwinnie przeprowadzał przez morze dzieciaków. Chociaż nazywanie wyższych ode mnie uczniów dzieciakami mogło wydawać się co najmniej dziwne.

Gdy jakimś cudem udało nam się przedrzeć przez największy ścisk, zorientowałam się, że stoimy przed salą, na drzwiach której widnieje tabliczka z napisem *pokój nauczycielski*.

– Zaczekaj tu, okej? Zaraz poproszę Marzenę – powiedział mi wprost do ucha i wszedł do środka.

Oparłam się o przeciwległą ścianę i obserwowałam harmider, który panował na korytarzu. Jak to możliwe, że kiedyś też tak funkcjonowałam, pomyślałam z ironią. Nie mogłam tego zrozumieć. No cóż! Chyba po prostu z wiekiem stajemy się wrażliwsi na dźwięki.

Dzieciaki biegały, przekrzykiwały się i żywo gestykulowały. Byłam pewna, że po wizycie w szkole dostanę migreny.

Z pokoju nauczycielskiego dość szybko wyłonił się Adam z młodą, atrakcyjną kobietą, na oko w moim wieku. Kiedy mnie spostrzegła, uśmiech, który miała na twarzy, momentalnie przygasł. Ale tylko na kilka sekund, bo zaraz znowu się szeroko wyszczerzyła. Była naprawdę ładna. Ciemne, kręcone włosy, duże, orzechowe oczy i pieprzyk nad górną wargą. Nic dziwnego, że Adam się nią zainteresował. Zawsze jego miłosne wybory były wyjątkowo udane.

– Cześć! Marzena Więcka. – Wyciągnęła do mnie drobną dłoń.

– Cześć. Olga Linga. – Uścisnęłam jej rękę.

– Wiecie co? – Marzena powiodła wzrokiem wokół. – Tutaj nie damy rady porozmawiać. Może wyjdźmy z budynku. Mam teraz okienko. Chodźcie za mną. – Dziarskim krokiem poprowadziła nas przez kolejny korytarz, których, miałam wrażenie, było tu chyba z tysiąc.

Dokładnie wtedy znowu zadzwonił dzwonek i ponownie musieliśmy się przedzierać przez tłumy pędzące do swoich klas.

Z trudem dotarliśmy do drzwi przy sali gimnastycznej, które Marzena dla nas przytrzymała. Wyszliśmy na dziedziniec na tyłach szkoły, gdzie znajdowało się boisko, wokół którego w ramach rozgrzewki biegało już kilkunastu skazańców, jak ich nazywałam w myślach.

– Okej, tu będzie spokojniej – stwierdziła Marzena, gdy zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu boiska. – No więc co to za sprawa?

Wyjaśniłam jej pokrótce, o co mi chodzi i jakich informacji potrzebuję.

– Andrzej? – powtórzyła i pokręciła głową. – Straszna historia. – Wprawnym gestem wyjęła z kieszeni dzinsów paczkę cienkich papierosów i wyciągnęła rękę w moją stronę.

Poczęstowałam się, na co Adam zareagował zdziwioną miną. Lata temu byłam wielką przeciwniczką tego głupiego nałogu, ale życie człowieka zmienia.

– Miałaś rzucić – zwrócił się do Marzeny, która z lubością wypuściła dym z ust.

– Rzucam. – Znowu się wyszczerzyła, na co Adam wesoło pokręcił głową.

Zaciągnęłam się i oparłam o ogrodzenie. Nie tak wyobrażałam sobie to spotkanie, ale nie mogłam narzekać.

– A więc Andrzej – wróciła do tematu, który mnie interesował. – Wiem, że o zmarłych nie mówi się źle, ale... – Westchnęła ostentacyjnie, co natychmiast mnie zainteresowało.

To mogła być pierwsza bezpośrednia informacja o jednym z członków rodziny Borkowskich.

– Dawaj – zachęciłam ją, a w myślach dodałam, że im więcej brudów, tym lepiej.

– Był spoko kolegą i tak dalej, ale jego największy problem to wygląd. – Westchnęła. – Był cholernie przystojny i umiejętnie to wykorzystywał. – Zaciągnęła się papierosem. – Wiecie, pół biedy, jeśli chodzi o nauczycielki. – Podniosła znacząco brwi. – Przysięgam, niektóre babki w naszej szkole mają zamiast mózgu melasę. – Pokręciła głową, a ja zapalałam do Marzeny natychmiastową sympatią.

– Romansował z nimi? – zdziwiłam się.

– Niby nie, tylko flirtował, ale... – Rozejrzała się dookoła i ściszyła głos: – ...chodziły słuchy, że z poprzedniej szkoły wywalono go za romans z uczennicą – powiedziała konspiracyjnie.

Tu mnie zaskoczyła, ale jednocześnie informacja o przeprowadzce rodziny na zadupie zaczynała mieć sens. Zła sława szybko by go dopadła, gdyby zmienił pracę na coś w okolicy. A tutaj mógł się zaszyć. Pytanie tylko, czy jego żona o tym wiedziała, ale ciężko byłoby coś takiego ukryć przed współmałżonką, chociaż... trudno powiedzieć.

– A te plotki miały jakieś podstawy? – dopytywałam z bijącym sercem.

– Na własne oczy niczego nie widziałam – oznajmiła z lekkim rozczarowaniem. – Ale Baśka... – Zwróciła się do Adama: – ...znasz ją, ta od biologii... – Adam skinął głową.

– ...Baśka mówiła mi, że raz widziała go w parku z jakąś uczennicą. Z tego, co kojarzyła, chyba siedemnastoletnią. Nie miał prawa znajdować się tam po godzinach pracy ze swoją niepełnoletnią uczennicą.

– Może spotkali się przypadkiem? – podpowiedziałam.

Chciałam mieć pełny obraz tej sytuacji. Dobrze wiedziałam, jak działały plotki. Rozpalały wyobraźnię i urastały do rozmiarów asteroidy pędzącej z prędkością stu tysięcy kilometrów na godzinę.

– Może – odparła kobieta sceptycznie. – Ale warto przypomnieć, że szczególnie w dzisiejszych czasach nauczyciele muszą się wystrzegać najmniejszych niedomówień w relacjach uczeń – nauczyciel. Jeden błąd i wylatujesz albo masz nagane.

– Skoro Borkowski został wywalony za, powiedzmy, romans z uczennicą, to jakim cudem dostał pracę w kolejnej szkole? Nie powinien zostać zawieszony? – zapytał zasadnie Adam.

– Sęć w tym, że nie został zawieszony ani oficjalnie wydany. Po prostu złożył wypowiedzenie w szkole w Kartuzach i nagle „bach” znalazł się w Janówku. – Zgasła niedopałek w koszu na śmieci.

Zrobiłam to samo.

– A co on sam mówił o tej przeprowadzce? Mieli tu rodzinę? – zapytałam.

– Z tego, co wiem, to nie. Przynajmniej nic o tym nie wspominał – powiedziała. – A on sam twierdził, że po prostu chcieli zmienić otoczenie. – Rozłożyła ręce w geście niedowierzania. – Takie pierdolenie, jeśli wiecie, co mam na myśli. No i ten jego zabójczy uśmiech. Pod jego wpływem nikt o nic nie pytał – dodała z gorzką nutą.

– Ty za nim nie przepadałaś – stwierdziłam.

Od początku wyczuwało się jej niechęć do mężczyzny. Zresztą nie próbowała tego nawet zbyt ukrywać.

Marzena westchnęła ostentacyjnie, jakby trudno było jej zwerbalizować uczucia do mężczyzny i próbowała dobrać właściwe słowa.

– Wiecie, facet był miły i tak dalej, ale... coś w nim było takiego... – Potarła dłonią skroń. – Miał w sobie coś fałszywego. Nie potrafię wam tego inaczej wyjaśnić. Zamieniłam z nim kilka zdań. Raz czy dwa mieliśmy razem okienka i siedzieliśmy w pokoju, to musieliśmy się do siebie odzywać, ale rozmowa nigdy nam się nie kleiła. Nie zrozumcie mnie źle. To może być tylko brak chemii między ludźmi. Tak bywa, ale nie lubiłam przebywać w jego towarzystwie. – Wzruszyła ramionami. – Tak po prostu.

– Spotkałaś kiedyś jego żonę? – zapytałam.

Marzena zastanowiła się przez chwilę, po czym zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Marzenka, mielibyśmy do ciebie jeszcze jedną prośbę – zaczął Adam z bardzo subtelnym odcieniem flirtu w głosie.

Był w tym dobry, muszę przyznać, ale Marzena nie wyglądała na rozanieloną z powodu tej zagrywki. Wywróciła oczami i wsunęła sobie do ust gumę do żucia.

– Dawaj – rzuciła.

– Chodzi o dzień wypadku – wtrąciłam się. – Z tego, co mi wiadomo, dzieci nie poszły wtedy do szkoły. Borkowski też chyba miał wolne. Czy jest możliwość sprawdzenia, jaki był tego powód? Czy zostało to gdzieś odnotowane, czy po prostu nie zjawili się wtedy na lekcjach? – Wyciągnęłam moleskin, żeby zapisać te informacje.

Marzena znowu się zamyśliła.

– Chyba nie jestem w stanie sobie tego przypomnieć, mimo że kojarzę... to znaczy kojarzyłam jego córkę. Miła, cicha dziewczynka. – Odchrząknęła. – Spróbuję się dowiedzieć, czy ktoś zgłaszał wcześniej ich nieobecność, ale nie wiem, czy mi się to uda. Nie mam dostępu do wszystkich informacji w systemie. Mój login pozwala na sprawdzanie tylko mojego przedmiotu – wyjaśniła. – Jeśli uda mi się czegoś dowiedzieć, dam znać.

– Dzięki. Jestem ci winna obiad – obiecałam szczerze.

Jej otwartość i chęć pomocy były naprawdę godne podziwu. Ludzie słysząc takie pytania, stawali się zwykle podejrzliwi i małomówni. Nawet jeśli coś wiedzieli lub coś ich niepokoiło, milczeli w myśl zasady: po co mieszać się w nie swoje sprawy. Marzena była inna.

– Daj spokój! A zresztą... czemu nie. – Wyszczrzyła się szeroko. – A teraz muszę wracać, bo mam dyżur na korytarzu. Miło było cię poznać – zwróciła się do mnie, a potem do Adama: – A ty odzywaj się czasem. – Szybko cmoknęła go w policzek, odwróciła się i sprężystym krokiem weszła do budynku.

– Miła – powiedziałam, gdy ruszyliśmy do wyjścia, okrążając boisko. – Dlaczego zerwaliście?

Adam wzruszył ramionami.

– Jest chemia, potem ta chemia znika i tyle – wyjaśnił enigmatycznie.

W wolnym tłumaczeniu znaczyło to tylko tyle że „seks był fajny, ale niczego więcej nie chciałem”. Faceci.

– Wiesz, gdzie mieszkali Borkowscy? – zmieniłam temat, bo nie byłam tu po to, by roztrząsać życie uczuciowe Adama.

– Wiem. Chcesz tam teraz pojechać?

– Tak. Podasz mi adres?

– Nie znam numeru domu, ale mogę cię tam zaprowadzić, to znaczy pojedziemy tam – zaproponował, gdy zbliżaliśmy się do szkolnego parkingu.

– Nie chcę cię odrywać od twoich zajęć – powiedziałam, czując wyrzuty sumienia, że zajęłam mu tak dużo czasu.

Chciałam tam pojechać sama, żeby... nie wiem, poczuć atmosferę tego miejsca, tak jak drogi, na której doszło do wypadku. Musiałam nasiąknąć miejscem. Tak to nazywałam, bo wierzyłam, że jeśli w danej lokalizacji doszło do czegoś tragicznego, echo tych wydarzeń wciąż w tym miejscu rezonowało. Drobne cząstki strachu osiadały na rzeczach i wisiały w powietrzu. Potrzebowałam w spokoju ich posłuchać i poczuć.

Adam westchnął.

– Olga, rozejrzyj się. Czy widzisz tu jakieś ważne rzeczy, od których mnie odrywasz? – Uśmiechnął się, ostentacyjnie rozkładając ręce.

– Okej. Prowadź – zgodziłam się, bo rozumiałam jego potrzebę wikłania się w tę sprawę z powodu Mateusza.

Wszyscy, którzy znali Mata czy Borkowskich, byli w tę sprawę w pewien sposób uwikłani.

Kilkanaście minut później czarne audi Adama zaparkowało na chodniku pod bramą zupełnie niewyróżniającego się domu z szarą elewacją i zarośniętym ogrodem. Wyszłam z samochodu i plecami oparłam się o drzwi auta. Spojrzałam w okno wychodzące na ulicę. Musiało być uchylone, bo tkanina delikatnie falowała za szybą.

Nagle zaszło słońce i natychmiast się ochłodziło. W dodatku wzmógł się wiatr, strząsnął z okolicznych drzew kilka garści liści, które najpierw zatańczyły w powietrzu, a potem opadły pod nasze stopy.

Okolica była ponura, a zapach wilgoci stał się gryzący.

– I co myślisz? – zagadnął mnie Adam, który przystanął obok.

– Myślę, że... chciałabym tam wejść – odparłam cicho.

Może to właśnie w tym domu czekała odpowiedź na moje pytania? A może to był tylko budynek, w którym przez jakiś czas pomieszkiwała jakaś rodzina, pozbawiony jakichkolwiek tajemnic?

– Jesteś pewna?

Skinęłam głową.

– Muszę tam trochę poszperać. – Przygryzłam wewnątrz policzka. – Jeśli chcę się czegoś dowiedzieć o tej rodzinie, muszę ich poznać, a tylko tak będę w stanie to zrobić. – Kto jest właścicielem tego domu?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył bezradnie ramionami.

– Jestem ciekawa, czy sąsiedzi są czujni – powiedziałam do siebie, rozglądając się po okolicy.

Dom stał trochę na uboczu i był cofnięty w głąb posesji. Jego front zasłaniały rozłożyste sosny i krzewy. Ale graniczył po sąsiedzku z innym, ewidentnie zamieszkanym budynkiem, bliźniaczo podobnym do tego, który wynajmowali Borkowscy. Z komina leciał dym, a z domu dobiegało szczekanie psa.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Adam, gdy zbliżyłam się do furtki.

Nacisnęłam ją i ku mojemu zdziwieniu, otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Zastanawiam się nad kupnem, dlatego chciałam obejrzeć posesję – odparłam głośniej, niż to było potrzebne. – Jest otwarta, nikt tu nie mieszka, po prostu chciałam się rozejrzeć – dodałam z nonszalancją i pchnęłam przed sobą furtkę.

Adam westchnął niezbyt zadowolony z tego, co robię. Ale nie było innego sposobu, żeby przyjrzeć się posesji.

Ruszyliśmy zarośniętą ścieżką w stronę budynku. W cieniu tych olbrzymich powyginanych sosen czułam się jak Hobbit wśród Entów. Gdy zbliżyliśmy się do drzwi wejściowych, zauważyłam na najwyższym stopniu schodów cztery wypalone znicze. Przyprawiły mnie o dreszcz, bo przypominały o tragedii ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali. Tylko przez chwilę, ale to nie miało znaczenia. Został po nich jakiś ślad.

Obeszliśmy dom i zatrzymaliśmy się na podwórzu. Trawa sięgała nam już do kostek. Była pokryta kolorowym kobiercem ze strąconych przez wiatr liści.

– Niezły tu bajzel – zauważył Adam, który zaczepił nogą o jakiś przedmiot walający się na ziemi.

Rzeczywiście, wokół panował bałagan. Wszędzie leżały jakieś nieużywane ogrodnicze narzędzia, a bliżej domu śmieci. Po chwili okazało się, skąd się wzięły. Jakieś zwierzę, najpewniej kot, rozerwało wystawiony nieopodal worek z odpadami komunalnymi. Podeszłam do niego bliżej, żeby dokonać inspekcji na wypadek, gdyby

miały się tam znajdować jakieś dokumenty, ale oprócz zwyczajnych odpadów z gospodarstwa domowego nie było tam nic ciekawego.

– Jak myślisz? Fakt, że zostawili śmieci do wyrzucenia przed domem, świadczy o tym, że planowali wrócić?

– Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że się spieszyli. Inaczej wzięliby ten worek ze sobą i wyrzucili do kubła przy wejściu.

Słuszna uwaga, chociaż może takie czynności nie były dla nich priorytetem. Mogli zbierać worki pod ścianą i dopiero za jakiś czas, przy okazji, wynosić je do pojemnika.

– Albo po prostu mieli to już gdzieś.

– Myślisz, że Borkowscy celowo wjechali w auto Mateusza? – zapytał sceptycznie.

– Na pewno dzieci nie były w tej sprawie decyzyjne – powiedziałam cicho, gdy znowu przejęła mnie groza tego, co się stało.

Najbardziej poszkodowane były właśnie dzieci.

– To oczywiste. – Westchnął. – Pytanie, czy rodzice tego chcieli. A może tylko jedno z nich?

– Właśnie tego będę próbowała się dowiedzieć. – Podeszłam do okna na parterze i usiłowałam do niego zajrzeć. – Gdybym tylko mogła tam wejść – sapnęłam z frustracji.

– Ale chyba nie teraz. Ktoś nas obserwuje z domu naprzeciwko. – Machnął dłonią, wskazując kierunek. – Lepiej nie robić zamieszania. – Ruszyliśmy do wyjścia.

Najwyraźniej sąsiedzi monitorowali nietypowe zachowania w domostwach graniczących z ich posesjami. Jakżeby inaczej. Być może mogłabym porozmawiać z którymś z nich. Może właśnie z osobą obserwującą nas z przeciwka.

– Zaczekaj tu – rzuciłam do Adama, gdy wyszliśmy przez furtkę na zewnątrz.

– Dokąd idziesz? – zawołał za mną.

– Zaraz wracam! – odkrzyknęłam.

Zaczynało siąpić. Spojrzałam w górę na zasnuite stalowoszarymi chmurami niebo i westchnęłam zawiedziona. A dzień rozpoczął się tak pięknie i miałam nadzieję, że słońce zostanie trochę dłużej.

Nacisnęłam dzwonek przymocowany do metalowej bramy wejściowej. Zza domu wybiegł olbrzymi wilczur, który nie szczekał, ale na mój widok niespokojnie skakał przy ogrodzeniu.

– Dobry piesek – powiedziałam cicho, bo trochę mnie przestraszył.

Bałam się wielkich psów. To była trauma po tym, jak w dzieciństwie ugryzł mnie amstaff sąsiada. Pamiętam strach i zaskoczenie, gdy do tego doszło, ale najbardziej w pamięci utkwiły mi bolesne zastrzyki przeciwko wścieklźnie, które musiałam przyjąć po tym incydencie. Bliznę na łydce miałam do dziś. Od tamtego zdarzenia wystrzegałam się kontaktu z psami niebezpiecznych ras, nawet jeśli właściciel zapewniał, że absolutnie nic mi ze strony jego pupila nie grozi.

Drzwi się otworzyły i ukazała się kobieta w średnim wieku. Była w luźnych dżinsach i rozciągniętym, bordowym swetrze.

– Brutus! Do nogi! – przywołała psa, który posłusznie do niej podbiegł.

– Dzień dobry – przywitałam się, licząc na to, że kobieta podejdzie do ogrodzenia.

Sama nie odważyłam się opuścić bezpiecznej miejscówki za bramą.

– Dzień dobry – odparła, zaczesując związane w luźny węzeł włosy.

Na szczęście odgoniła psa i podeszła do ogrodzenia.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem zainteresowana tym domem. – Wskazałam na budynek za moimi plecami. – Czy orientuje się pani, kto jest właścicielem i do kogo mogłabym się w tej sprawie zgłosić?

Mój głos zabrzmiał radośnie i był pełen ekscytacji. Nie wiem, jak udało mi się wykrzesać z siebie ten dziecięco naiwny ton, ale wypadłam naprawdę wiarygodnie.

Kobieta najpierw zmarszczyła brwi, a potem zerknęła ponad moim ramieniem, jakby chciała się upewnić, o którym domu mówię. Odchrząknęła i uśmiechnęła się lekko. Jej twarz z surowej zmieniła się w dość przyjemną. Tylko uśmiech potrafił zdziałać takie cuda.

– Chce pani kupić ten dom? – zapytała ze zdziwieniem całkiem miłym głosem.

Każda wymówka, typu „tak, jest piękny, zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia” albo „planuję się tu przenieść z wielkiego miasta, żeby trochę odpocząć”, brzmiała jak oczywiste łgarstwo, dlatego je sobie darowałam, ale wtedy wpadłam na pomysł.

– Szukam domu pod wynajem dla ekipy budowlanej. – Kobieta skrzywiła się, dlatego szybko dodałam: – Ale proszę się nie martwić. To spokojni fachowcy. Nie będą sprawiali kłopotu – zaszczębiotałam wesoło, jakbym właśnie wypaliła trawkę, ale mocno weszłam w rolę i nie chciałam z niej nagle wyskakiwać.

– Aha. – Skinęła głową. – Wie pani, ten dom od dawna stał pusty... Aż któregoś razu, prawie półtora roku temu wprowadziła się rodzina – zaczęła, a ja wstrzymałam oddech. – Ale niestety, przed rokiem wszyscy zginęli w tragicznym wypadku samochodowym – zawiesiła głos.

Przykryłam dłonią usta, żeby uwypuklić fakt, jak mocno zszokowała mnie ta informacja. Oczywiście, w normalnych warunkach byłaby to także moja naturalna reakcja, ale w sytuacji, gdy byłam zaznajomiona ze szczegółami tragedii, musiałam ją zagrać.

– Wszyscy? – szepnęłam.

– Niestety – posmutniała albo też udawała. – No, a wracając do właściciela. Był nim Waldemar Sysio, ale już dawno nie żyje. Szczerze mówiąc, nigdy go nie poznałam. Moi rodzice go znali.

– Ale ta rodzina musiała to od kogoś wynająć, prawda? – dopytywałam się, bo to było dziwne.

– Na pewno, ale naprawdę nie wiem, kto teraz tym zarządza – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

Stoi sobie sporych rozmiarów dom i nikt nie wie, do kogo należy.

– A ci państwo, którzy tu mieszkali, nigdy nie wspominali, jak to się stało, że się tu przeprowadzili? Znała ich pani? Pytała o nich sąsiadów?

– Wie pani, każdy tutaj pilnuje swojego nosa i nie wtrąca się do życia innych – powiedziała takim tonem, jakbym między wierszami próbowała oskarżyć ją o wścibstwo.

Ludzie bywają wrażliwi na takie sugestie, dlatego postanowiłam zmienić temat.

– Nie, no oczywiście. Po prostu dom wydaje mi się duży i w pełni przystosowany do użytku, dlatego chciałabym go obejrzeć i nie wiem, z kim o tym porozmawiać. – Rozłożyłam bezradnie ręce.

Kobieta chwilę się zastanowiła.

– Może pani spróbuje u sąsiadki naprzeciwko. – Skinęła dyskretnie głową w stronę posesji graniczącej z nawiedzonym domem, jak zaczęłam w myślach

nazywać krótkotrwałe lokum rodziny Borkowskich. – Powinni coś wiedzieć, ale... – zawahała się na moment, jednak zaraz podjęła znowu – ...ale trzeba ostrożnie. Oni też jakiś czas temu przeżyli tragedię. Zaginął ich syn.

– Naprawdę? To straszne – szepnęłam szczerze przerażona tym, co usłyszałam. – W jakim był wieku?

– Jeszcze dziecko. Dwanaście lat. Miły, uprzejmy. – Kobieta pokręciła ze zgrozą głową. – Wyszedł z domu i słuch po nim zaginął – dodała. – Co to za czasy, żeby dzieci zniknęły spod własnych domów. – Przełknęła ciężko ślinę.

W tym samym momencie z budynku za jej plecami wychynęła głowa z jasnobrażową czupryną.

– Mamo! Twój telefon cały czas dzwoni! – krzyknął na oko dziesięcioletni chłopiec.

Wyciągnął rękę z aparatem w dłoni.

– Oddzwonię. Wracaj do domu, bo się przeziębisz w tej koszulce – przybrała surowy ton, ale niezbyt autorytarny.

– Dobra, dobra – burknął chłopiec i zniknął we wnętrzu.

Kobieta uśmiechnęła się z czułością i dopiero w tym momencie zrozumiałam w pełni jej niepokój związany z tymi wydarzeniami.

– Powiem pani, że już myślałam o przeprowadzce. Najpierw Piotruś, potem Borkowscy. – Westchnęła ciężko. – Ale uspokoiło się i mamy nadzieję, że tak już zostanie.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Nie dziwiłam się jej. Zlepek nieszczęść zlokalizowanych na jednej ulicy niejednego by wystraszył.

Uznałam, że wystarczy tych pytań. Sama zaczynałam się tutaj czuć nieswojo.

– Rozumiem. Dziękuję za pomoc i rozmowę. – Uśmiechnęłam się szczerze i pomachałam jej na pożegnanie.

Kobieta pospiesznie zniknęła za drzwiami domu. Jakby zachęcony tym wilczur, wybiegł zza węgła budynku, zaczął energicznie machać ogonem i obwąchiwać bramę. Szybko oddaliłam się z tego miejsca.

Dotarłam do swojego samochodu. Adam w tym samym momencie wysiadł ze swojego.

– I dowiedziałas się czegoś ciekawego? – zapytał.

– Nie wiem, czy ciekawego, ale na tej ulicy wydarzyła się niejedna tragedia.

Opowiedziałam mu o zaginięciu chłopca, a on skinął głową na znak, że słyszał o tym, ale nie zdawał sobie sprawy, że mały był sąsiadem Borkowskich.

– Kiedy to się stało?

– Kilka tygodni przed wypadkiem Borkowskich. – Westchnął. – Cały Janówek o tym huczał. I nie tylko. Szukano go wszędzie. Nawet jakiegoś jasnowidza tu ściągnęli, ale dzieciak jakby rozpułynał się w powietrzu.

– Straszna sprawa – podsumowałam. – Chyba będę już wracać. Wielkie dzięki za pomoc.

– Luzik. Jak będziesz wolna w sobotę, to zamierzam cię znowu wyciągnąć na piwo – rzucił z niepewnym uśmiechem. – Bądź przygotowana.

– Będę – obiecałam i wsiadłam do samochodu.

Poczekalam, aż Adam ruszy i odpaliłam silnik.



Nazajutrz obudziłam się o czwartej nad ranem i za nic nie mogłam znowu zmrużyć oka. Natłok wczorajszych informacji wywołał u mnie dziwne sny, których już nie pamiętałam, ale pozostało specyficzne odrealnione wrażenie, że moje nocne majaki nie były przyjemne.

Miałam już dość przewracania się z boku na bok, więc gdy wybiła piąta, wstałam, owinęłam się szczelnie szlafrokiem i zeszłam na dół do kuchni.

W domu panował przenikliwy chłód. Dotknęłam kaloryfera w korytarzu. Był ciepły, ale nie gorący. Chyba musiałam już dosypać peletu, ale zdecydowałam się poczekać z tą przyjemnością do chwili, aż wstanie słońce. Zaparzyłam sobie kawy, tym razem bez fusów: podczas wczorajszego powrotu do domu zahaczyłam o market, w którym udało mi się kupić filtry. Smaku to nie poprawiło, ale w zębach nie zgrzytały paprochy.

Wyjrzałam przez kuchenne okno na podwórze i mimowolnie przypomniałam sobie o zagraconej posesji Borkowskich, która wyglądała, jakby nie sprzątano tam od dawna. Dlaczego? Czy Borkowscy zastali tam taką sytuację, czy sami byli bałaganiarzami? I czy to ma jakieś znaczenie w mojej sprawie?

Pokręciłam głową i westchnęłam ze zdenerwowania. Musiałam się dowiedzieć, do kogo należy nawiedzony dom. Ktoś musiał wynająć tej rodzinie budynek, przecież nie mogli go sobie ot, tak zająć.

Otworzyłam laptop i wklepałam w wyszukiwarkę nazwisko *Waldemar Sysio* plus *Janówek*. Wyskoczyło kilka wyników, ale żaden z nich nie był tym, czego szukałam. Jakiś fotograf, grafik, lekarz. Potem wbiłam adres, ale też oprócz znanych już informacji połączonych z tą lokalizacją nie uzyskałam żadnych nowych. To wszystko było bardzo dziwne. Przetarłam dłońmi twarz. Brak snu dawał mi się we znaki.

Zerknęłam przez okno, za którym pokazało się jaśniejące niebo. Sprawdziłam aplikację pogodową na telefonie. Dzisiaj miało być słonecznie.

Nalałam sobie wody z cytryną i wypiliśmy ją duszkiem. Potem poszłam na górę i założyłam ciepłą termiczną bluzę oraz grube legginsy. Musiałam się trochę poruszać, oczyścić umysł i najzwyczajniej w świecie się zmęczyć. Wtedy zawsze miałam przypływ dobrych pomysłów. Wsadziłam do uszu słuchawki bezprzewodowe, a na ramieniu zaczepiłam holder z telefonem. Wyszłam na dwór, gdy słońce zaczęło lizać horyzont. Niebo zrobiło się wściekle różowe z odcieniami fioletów. To był przepiękny obraz. Jak urzeczona zamarłam w miejscu. Zapomniałam już, jak pięknie wyglądają tu wschody i zachody słońca. W ponurej Szkocji prawie zawsze dzień zaczynał się i kończył szarówką. Jedynie latem od czasu do czasu słońce przedzierało się przez chmury i wtedy też był piękny widok. Szczególnie gdy tuż przed wschodem udało mi wdrapać na szczyt Calton Hill, z którego rozpościerał się widok na wszystkie strony świata.

W uszach zabrzmiał mi szybki kawałek, który zawsze pomagał mi utrzymać tempo biegu, ale w tej chwili stanowił też cudowny podkład muzyczny dla tego widowiska. Chmury przybrały barwę bladego różu, a fiolet nieba zamieniał się w delikatny błękit. Sierp księżycy był wciąż widoczny i odcinał się na tle barwnego nieba.

Gdy kolory przybladły, ruszyłam biegiem przed siebie, kierując się w stronę małego jeziora, zwanego przez miejscowych Żabim Jeziorem. Tak naprawdę był to mały staw otoczony brzoźami i wierzbami, które chyliły się ku wodzie.

Wbiegłam na szutrówkę ciągnącą się aż do akwenu. Na drogę, którą kiedyś setki razy pokonywaliśmy na rowerach z przyjaciółmi w letnie dni. Znałam ją na pamięć, nawet teraz mogłabym zamknąć oczy i przebiec tę trasę bez żadnego problemu. Po kilkunastu minutach byłam już w miejscu, które na zawsze będzie mi się kojarzyło z moją pierwszą miłością. Z uczuciem, które uskrzydlało.

Wczesna jesień zaczynała przemieniać to miejsce. Liście wierzb i brzoź gdzieś już się zażółciły, a zapach z okolicznych torfowisk stał się bardzo intensywny. Po kilku okrążeniach wokół jeziora zdyszana zatrzymałam się obok pochylonego drzewa. Oparłam dłonie na udach. Było mi gorąco, więc rozpięłam bluzę i usiadłam na pniu, a potem wystawiłam twarz do słońca. Zamknęłam oczy i znowu znalazłam się na brzegu jeziora, ale panował wtedy upał, a ja miałam szesnaście lat. Uśmiechnęłam się na wspomnienie namiętych pocałunków Mateusza, jego niecierpliwych rąk i przyspieszonego oddechu.

Głośny skrzek z drugiego końca stawu wyrwał mnie z marzeń na jawie. Podniosłam głowę i spojrzałam w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Słońce raziło mnie w oczy i nie widziałam dobrze, ale miałam wrażenie, że pomiędzy drzewami mignęła mi jakaś ciemna postać. Zmrużyłam oczy, ale nikogo nie zobaczyłam.

– Chyba mi się coś przywidziało – mruknęłam do siebie, ale wtedy znowu ją zobaczyłam.

Nie byłam strachliwa, jednak na widok szybko przemykającej postaci po karku przebiegł mi zimny dreszcz. Okrążała Żabie Jezioro i zmierzała... wprost w moim kierunku. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, ot, ktoś spaceruje wokół jeziora o poranku, gdyby nie fakt, że ten spacer przypominał zawody chodźca. Miałam nadzieję, że może to taki sprint z kijkami, ale nie dostrzegłam przy tej osobie żadnych akcesoriów.

Miałam wrażenie, że ta postać siłą powstrzymuje się przed rzuceniem się do biegu. Nie mogłam dobrze rozpoznać sylwetki, bo nad wodą unosiła się poranna mgła. To jeszcze bardziej mnie zaalarmowało.

Instynktownie podniosłam się z pnia wierzby i ruszyłam takim samym pospiesznym krokiem w stronę szutrowej drogi, zanim postać odetnie mi odwrót i będę musiała się z nią skonfrontować. Bardzo tego nie chciałam, bo nagle moje ciało oblepiły ciarki, ewidentny sygnał organizmu, że coś jest nie tak.

Mgła rzedła, a moje serce wskoczyło na najszybszy rytm. Nie chciałam się przekonywać, kim jest osoba spiesząca w moim kierunku o tak wczesnej porze. Ruszyłam biegiem do drogi, mając przed sobą jeszcze kilkanaście metrów trasy brzegiem jeziora. Miałam nadzieję, że nie wyglądam jak spanikowana zwierzyna łowna, bo nie chciałam się zbłąźnić, ale w tym momencie zadziałał instynkt. Jedyne, czego pragnęłam, to po prostu znalezienie się na drodze, którą mogłam jak najszybciej dotrzeć do domu.

Gdy zbliżałam się do ostatniego odcinka, musiałam wbiec w chmurę mgły. W innych okolicznościach najpewniej zachwyciłabym się takim romantycznym bonusem podczas joggingu, ale nie dziś. Minęłam wilgotny obłok i byłam już prawie na drodze.

Kątem oka zobaczyłam, jak postać we mgle też zaczyna biec. To mnie naprawdę przestraszyło. Przyspieszyłam. Zaczęło mnie piec w piersiach, czułam suchość

w gardle, ale ani myślałam się zatrzymywać. Po prostu biegłam przed siebie. Zdyszana dotarłam do szosy i nieznacznie zwolniłam, żeby rozejrzeć się na boki, czy nic nie nadjeżdża, a potem przecięłam jezdnię i znowu przyspieszyłam.

Odważyłam się zatrzymać dopiero, gdy znalazłam się na własnym podjeździe. Obejrzałam się za siebie, ale nigdzie nikogo nie było. Tylko mgła nad stawem przypominała o incydencie. I to moje rozdygotanie.

Byłam zdyszana jak nigdy wcześniej. W boku dopiero teraz zaczęłam odczuwać silne klucie. Metaliczny posmak w ustach potęgował uczucie suchości. Musiałam zgiąć się wpół, żeby zniwelować skutki tak intensywnego biegu. Gdy udało mi się złapać oddech, a ból w podbrzuszu zmaleł, powoli ruszyłam w stronę furtki. Przekroczywszy ją, poczułam się bezpiecznie i jednocześnie... absurdalnie.

Dowlokłam się do domu, padłam na kanapę, a potem zaczęłam się śmiać. Głośno i histerycznie, jakbym postradała zmysły. Zeszło ze mnie napięcie i zaczęłam na chłodno analizować sytuację. W moim otrzeźwieniu pomagały wpadające przez okno promienie słońca, które całkowicie przegoniły mój irracjonalny strach. To był tylko ktoś, kto się rozgrzewał przed biegiem. Szybki marsz jest przecież wskazany w tej sytuacji i sama bardzo często zaczynałam od chodu. A to, że ktoś szedł w moim kierunku... no cóż, przy okrążaniu jeziora nieuniknione było dotarcie w miejsce, w którym się zatrzymałam.

– Boże – jęknęłam, trochę się uspokajając – wpadam w jakąś paranoję.

To przez ten nawiedzony dom i nawiedzoną ulicę, tłumaczyłam się przed sobą i wtedy przypomniał mi się zaginiony chłopiec. Wciąż na miękkich nogach weszłam do kuchni i natychmiast włączyłam laptop. Wrzuciłam w wyszukiwarkę *zaginiony chłopiec*, *Janówek* i imię tego dziecka, które zdradziła mi jego sąsiadka. Rzeczywiście pojawiło się kilka stron wyników.

Po dwudziestu minutach czytania stwierdziłam, że sprawę Piotrka, zresztą tak jak Mateusza, potraktowano bardzo pobieżnie i gdyby nie zaangażowanie rodziców, pewnie nawet nie sprowadzono by psów tropiących, które, niestety, musiały pracować zaraz po ulewnym deszczu i nie mogły złapać zapachu chłopca.

– Chryste, co za dyletanctwo. Chodziło przecież o dziecko – mruknęłam pod nosem.

Dwunastolatek wyszedł po lekcjach pograć w piłkę na boisku niedaleko domu. Dotarł tam i spędził z kolegami prawie dwie godziny. Po rozegranym meczu z trzema

przyjaciółmi poszedł na hot dogi do pobliskiego sklepu. A później wszyscy rozeszli się do domów. Z tym, że Piotrek nigdy do swojego nie dotarł. Nikt go więcej nie widział.

W Janówku na zaproszenie rodziców pojawił się również jasnowidz, bardzo sławny w tych okolicach. Romuald Rojner. Dałabym sobie głowę uciąć, że to imię i nazwisko jest zmyślane. Jeszcze raz przebiegłam wzrokiem fragment artykułu, w którym przedstawił swoją wizję. Według niego dziecko nie żyje.

– Takie wizje to i ja mogę sprzedawać.

Oczywiście, że nie żyje, pomyślałam. Skoro nie odnaleziono go po dwóch dobach, raczej marne szanse na odnalezienie dziecka żywego. I nie to, że byłam cyniczna czy bezduszna, tak po prostu przedstawiały się fakty, z którymi zaznałabym się kiedyś, pisząc artykuł o systemie child alert, który uruchomiano natychmiast po zaginięciu niepełnoletniej osoby, bo dwie pierwsze doby od zaginięcia są kluczowe w odnalezieniu dziecka żywego.

W przypadku Piotrka wszczęto alarm, ale rodzicielski i sąsiedzki, bo skrzyknięto ludzi z ulicy i ci szukali go do białego rana. Policja „nadzorowała” poszukiwania. Wszczęto raban dopiero nazajutrz, gdy chłopca nie było już ponad dwanaście godzin.

Jasnowidz Romuald dodał też, że chłopiec zginął niedaleko domu i że ktoś zabrał go stąd, żeby ukryć jego ciało, ale nie był w stanie zlokalizować dokładnie miejsca. Cytując: *Na pewno nie jest to bardzo daleko, najpewniej w tej samej miejscowości lub w okolicach. Chyba jest zakopany.*

Westchnęłam, czując zmęczenie z powodu niewyspania i spadku adrenaliny po spektakularnej ucieczce. Nie wiem, czemu zajmowałam się zaginięciem chłopca, skoro wróciłam do tego miejsca w całkiem innej sprawie. Raczej mało prawdopodobne, żeby wypadek Borkowskich wiązał się jakoś ze zniknięciem małego. Jedyne, co na pierwszy rzut oka łączy te rodziny, to fakt, że byli sąsiadami, i to, że Borkowscy mieli syna dokładnie w tym samym wieku co Piotrek. Może chodzili do tej samej klasy. Może się nawet przyjaźnili?

Tylko jak to ma mi pomóc w moim śledztwie? Jęknęłam w duchu.

Zamknęłam laptop i poczłapałam na górę, żeby wziąć prysznic. Dzień zapowiadał się piękny i słoneczny, co bardzo mnie cieszyło. Odkąd tu przyjechałam, pogoda mnie nie rozpieszczała. Dzisiaj zamierzałam spędzić sporo czasu na powietrzu.

Po odświeżeniu się nałożyłam luźny dres i wysuszyłam włosy, które ciężkimi pasmami opadały mi na ramiona. Chciałam dać im wreszcie trochę swobody, dlatego tym razem ich nie związałam. Do południa pracowałam nad artykułem dla mojego pracodawcy. Nie przysporzyło mi to wiele roboty. Tekst wymagał jeszcze korekty, ale do tego powinnam zabrać się dopiero po jakimś czasie, bo w tej chwili już nie widziałam literówek i powtórzeń. Wstałam od stołu i wyjrzałam za okno. Widok zagraconego podwórza, nawet w tak piękny dzień, trochę mnie przygnębił. Babcia z dziadkiem zawsze dbali o porządek w obejściu. Nie jakoś obsesyjnie czy pedantycznie, ale zawsze trawnik przy domu był schludnie przycięty, a wszystkie sprzęty znajdowały się na swoim miejscu.

Po śmierci właścicieli domy chyba zapadają w letarg. Otaczają się niewidzialnym kokonem i usypiają razem z ich właścicielami. Tak też wyglądał dom, w którym przez chwilę mieszkali Borkowscy. Jak opuszczone przed wiekami zamczysko.

Zrobiłam sobie herbatę owocową w kubku termicznym i wyszłam na zewnątrz. Owionął mnie podmuch ciepłego wiatru, który pachniał lasem sosnowym rosnącym nieopodal. Przypomniałam sobie wczesnojesienne wyprawy na grzyby. Dziadek Janek uwielbiał takie spacerunki, ja też, ale nie dawałam się zrywać z łóżka skoro świt, dlatego dziadek czekał cierpliwie, aż się wygramolę z wyra, co najwcześniej miało miejsce około dziewiątej. Braliśmy wiklinowe kosze, koziki i coś do przegryzienia, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli, i łaziliśmy po lesie przez kilka godzin. Zawsze po takiej eskapadzie byłam zmęczona i głodna jak wilk, ale bardzo szczęśliwa. Nawet jeśli grzybobranie nie było obfite. Nie o grzyby w tym wszystkim chodziło, a o wspólnie spędzany czas.

Przez moment taksowałam podwórze i teren wokół budynku gospodarczego, przy którym zaparkowałam samochód. Przy samym zabudowaniu rosły dwie potężne lipy, a dalej, ponad dachem górowała korona wielkiego, starego dębu. Może nie był to najmądrzejszy pomysł, żeby zostawić takie drzewo przy zabudowaniach, ale dziadkowi Jankowi żal było je ścinać. Dąb posadził jego ojciec, a mój pradziadek; drzewo było prawdziwym pomnikiem minionych czasów.

Odstawiłam kubek na dach auta i podwinęłam rękawy. Wyzbierałam z trawy jakieś drobne narzędzia ogrodnicze i schowałam je do przybudówki obok pomieszczenia gospodarczego. Podwórze zaczęło wyglądać trochę lepiej, ale pozostała sprawa zarośniętego trawnika. Żałowałam, że nie mam kosiarki, ale wtedy przypominałam sobie, że przecież Walentyna wspominała coś mojej mamie

o koszeniu trawy. Musiała w takim razie mieć kosiarkę. Chyba nie zaszkodzi, jeśli ją od niej pożyczę na kilka godzin.

Wróciłam do domu po kluczyki i wsiadłam do auta. Pięć minut później zaparkowałam na poboczu przed domem kobiety. Firana w oknie natychmiast zafalowała. Wiejski monitoring, uśmiechnęłam się pod nosem.

Wysiadłam z samochodu i podeszłam do furtki. Zanim zdołałam ją otworzyć, kobieta była już na podjeździe. Miała na sobie podomkę, na którą narzuciła stary rozpinany sweter. Dziarskim krokiem podeszła do bramy. Przywitała się z uśmiechem.

– Dzień dobry, dzień dobry. Jak tam się mieszka w domu babci i dziadka? – zapytała przyjaźnie.

– Nawet dobrze. Miałam niewielkie problemy z piecem, ale już jest w porządku – odparłam i zaraz przeszłam do rzeczy. – Pani Walentyno, wspominała pani mamie o koszeniu trawnika. Czy ma pani kosiarkę, którą mogłabym pożyczyć? Chciałabym doprowadzić podwórze do porządku.

Kobieta zmarszczyła lekko czoło, jakby bardzo zdziwiło ją moje pytanie, ale zaraz pokręciła głową.

– Nie, ja nie mam kosiarki. Prosiłam sąsiada, żeby skosił trawę, ale ta jego kosiarka wysiadła – wyjaśniła i zaraz dodała z machnięciem ręki: – Ale zostaw to, dziecko. Jak ją naprawi, powiem Staszкови, żeby tam u was wykosił. Po co się masz męczyć. – Uśmiechnęła się dobrotliwie.

Nie chciałam jej wyjaśniać moich powodów, dlatego skinęłam głową na znak zgody, ale postanowiłam, że załatwię tę sprawę we własnym zakresie.

– Może zajdziesz do mnie na kawę? – zapytała.

Miałam ochotę odmówić, ale nie chciałam być nieuprzejma, a kobieta na pewno czuła się samotna. Może przez większość dnia nie miała się do kogo odezwać. Pamiętałam, że nigdy nie wyszła za mąż i nie miała dzieci.

– Muszę pojechać do miasta po zakupy, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, wpadnę na kawę jutro? – zaproponowałam.

– Zapraszam. Będzie sernik. – Ruszyła za mną do samochodu. – I nie przejmuj się, Olu, trawnikiem, ja to załatwię – powiedziała, a ja znów skinęłam głową i wsiadłam do auta.

Gdy odjeżdżałam, Walentyna wyszła na drogę. Jej sylwetka majaczyła mi w lusterku. Kiedy zniknęłam za zakrętem i dojeżdżałam do siebie, nie zwolniłam, tylko minęłam dom, bo to, co powiedziałam o zakupach, było prawdą. Szafki kuchenne świeciły pustkami. Tak samo sytuacja przedstawiała się w lodówce. Nie mogłam żyć samą kawą i słodyczami.

Dojechałam do jednego z większych marketów spożywczych i zaparkowałam przed wejściem. Zawsze uderzał mnie ten spokój małych miast. Nikt się nie spieszył, wszyscy mieli czas. Przypomniałam sobie mój tydzień w Nowym Jorku. Byłam przytłoczona tą wielkomięską dżunglą, wręcz przepalały mi się styki. Nigdy nie byłabym w stanie zamieszkać tam na stałe. Ale z wycieczki się cieszyłam, uwielbiałam podróżować.

W Janówku życie płynęło tak spokojnie, że cały czas czułam się rozleniwiona. Odczepiłam wózek, włączyłam audiobook z reportażem kryminalnym i w wolnym tempie mijałam półki sklepowe. Zapełniłam wózek do połowy, a potem stanęłam w niewielkiej kolejce. Gdy dotarłam do kasy, ktoś wypowiedział moje imię. Rozejrzałam się zdezorientowana, nie do końca pewna, czy dobrze usłyszałam i czy faktycznie chodziło o mnie.

– Tutaj! – Pomachała mi przed nosem czyjaś wypielegnowana, szczupła dłoń.

Przy kasie obok stała Marzena, znajoma Adama, z którą wczoraj rozmawialiśmy.

– Ach, cześć! – Uśmiechnęłam się, wyciągając słuchawki z uszu. – Sorry, zasłuchałam się. – Podniosłam do góry kabelki.

– Nie ma sprawy. Widzę, że i ty robisz zakupy w sobotę, najgorszy czas, ale zawsze zostawiam to na ostatni moment – zaszcebiotała, wykładając produkty na taśmę.

Ja robiłam to samo i zdziwiłam się, bo z jej wypowiedzi wynikało, że sklepy spożywcze w sobotę są najbardziej oblegane. No cóż, skoro dzisiaj jest tłum, to co się dzieje w dzień powszedni, pomyślałam. Pewnie po sklepie turlają się krzaki, jak na Dzikim Zachodzie.

Zapakowałam zakupy do dwóch płóciennych toreb i wsadziłam je z powrotem do wózka. Zapłaciłam i już miałam wychodzić na parking, gdy znowu zrównała się ze mną Marzena.

– Masz jakieś plany na popołudnie? – zagadnęła. – Może wyskoczmy coś zjeść.

Już chciałam się wykręcić, ale... zdecydowałam jednak, że odgruzowywanie podjazdu musi trochę poczekać, bo Marzena mogła jeszcze trzymać coś w zanadrzu.

– Super. Jestem ci winna przecież obiad – przypomniałam z uśmiechem, ale ona machnęła ręką.

– Nie o to chodziło. Po prostu miło by było zjeść coś na mieście w fajnym towarzystwie. Z chęcią posłuchałabym o tym twoim reportażu. – Uśmiechnęła się. – Znam fajne miejsce.

9



– Na co masz ochotę? Ja chcę coś treściwego. Chyba wezmę hamburgera. –
Odłożyła kartę na stół.

Usiadłyśmy na zewnątrz, żeby złapać trochę promieni słonecznych. Karmiłam się nimi na zapas, bo czułam, że wkrótce pogoda się zmieni.

– Chyba wezmę naleśniki. Nie lubię mięsa. A może na początek kawy?

Mała knajpka w centrum miasteczka była klimatyczna. Oddzielona od ruchu ulicznego parkanem, na którym wisały donice z chryzantemami i astrami. Lubiłam takie jesienne aranżacje.

– No więc – zaczęła Marzena z krzywym uśmiechem na ustach. – Czy ty i Adam...?

Przez chwilę nie rozumiałam, a gdy wreszcie rozleniwione trybiki zaczęły się poruszać, parsknęłam.

– Nie, no co ty – zapewniłam z nadmiernym entuzjazmem, bo wyczuwałam, że Marzena chyba jeszcze coś do niego czuła. Widziałam to w jej spojrzeniu. – Znamy się z dzieciństwa.

– Okej. Źle zinterpretowałam – usprawiedliwiła się.

– A wy? Hm... Nie wiem, czy mogę spytać?

Marzena była ładna, inteligentna i wydawała się sympatyczna. Może trochę zbyt rozgadana i mocno ekstrawertyczna, ale to mi nie przeszkadzało.

– Wiesz, jak to jest. – Energicznie zamieszała łyżeczką w wysokiej szklance z latte. – Po czasie stwierdziliśmy, że to nie to. A przynajmniej Adam tak uważał, ale ja myślę, że poznał kogoś innego. Klasyk. – Uśmiechnęła się smutno. – Teraz jesteśmy kumplami, tak więc nie ma tego złego. – Upiła łyk kawy.

No cóż, mogła udawać nonszalancję, ale w jej oczach tlił się zawód. Było mi jej szczerze żal.

– Powiedz coś więcej o swoim reportażu – zmieniała temat. – Jestem go bardzo ciekawa.

Założyła nogę na nogę i odgięła się na krześle do tyłu. Ja zrobiłam tak samo i przez moment zbierałam myśli, żeby zastanowić się nad odpowiedzią. Nie mogłam zdradzić jej wszystkiego, ale coś mogłam.

– Badam sprawę tego wypadku, ponieważ pojawiły się wątpliwości co do sprawstwa.

– To znaczy? – Podniosła znacząco brwi i zebrała włosy na jedno ramię.

– Chciałabym się upewnić, że to, co usłyszałam od drugiego uczestnika wypadku, jest prawdą. Twierdził, że to nie on był winny wypadku.

Marzena patrzyła na mnie nieprzeniknionymi oczami, z których nie byłam w stanie niczego wyczytać. Zapewne zastanawiała się, czy aby ze mną wszystko w porządku. No cóż, powinnam do tego przywyknąć.

– Skąd taki pomysł? W sensie, żeby mu wierzyć?

– Bo kiedyś bardzo dobrze znałam Mateusza Karczewskiego – wyznałam szczerze, nie wdając się w szczegóły. – Poza tym nie twierdzę, że tak było. Może to tylko jego pobożne życzenie, ale chciałabym to zbadać.

– I tylko po to tu przyjechałaś? – zdziwiła się.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

– Nie, jestem tu, żeby przygotować do sprzedaży dom po dziadkach. Nie żyją od kilku lat, a gospodarstwo niszczeje.

Marzena skinęła głową, a potem spojrzała gdzieś ponad moim ramieniem i westchnęła głośno.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to była prawda. – Nagle nachyliła się do mnie konspiracyjnie. – Z Borkowskim.

Uderzyła mnie pewna myśl. Czy za jej niechęcią do kolegi z pracy nie stało coś jeszcze? Nieudany romans albo próba zainicjowania takowego? Muszę to wziąć pod uwagę, zanim sama przejmę jej tok myślenia, co dzieje się często, gdy kogoś polubimy albo jego pogląd pasuje nam do całości. Powinnam odciąć się od tego i trzymać się faktów.

– Wiesz, mnie interesuje jedno. Dokąd jechali tamtego dnia? To był środek tygodnia. Dzieci powinny być w szkole, mężczyzna w pracy. Nikt nie wie, co

tamtego dnia robili na drodze – stwierdziłam. – Mam przeczucie, że jeśli się tego dowiem, to będę w stanie całą sytuację rozsypać. – Sięgnęłam po szklanę z kawą.

Smaczna. Oczywiście, to jeszcze nie to, czego oczekiwałam od kawy, ale naprawdę była to miła odmiana po tym, co od kilku dni piłam w domu dziadków.

– O! Dobrze, że mi przypomniałaś. – Marzena poruszyła się gwałtownie na krześle. – Sprawdziłam, że Borkowski w dzień wypadku miał zaznaczony urlop, a w zasadzie znalazł na ten dzień zastępstwo.

To było coś nowego.

– Da się sprawdzić, czy dużo wcześniej o niego poprosił?

Gdyby wziął go miesiąc albo przynajmniej dwa tygodnie wcześniej, to mogłoby oznaczać, że faktycznie coś z rodziną zaplanowali. Może jakąś rozrywkę w sąsiednim mieście? Albo większe zakupy? A może po prostu jechali w odwiedzinach do krewnych. Cokolwiek. Wtedy ich podróż samochodem w środku tygodnia mogła mieć sensowne uzasadnienie.

– Tego nie wiem. Wygląda na to, że skoro musiał szukać zastępstwa, a nie brał urlopu na żądanie, to znaczy, że coś mu nagle wypadło, ale przynajmniej dzień wcześniej o tym wiedział. Tak tylko teoretyzuję, bo nie było mnie wtedy fizycznie w szkole. Miałam wycieczkę z czwartą c.

– A co z dziećmi? – dopytywałam gorączkowo.

To były konkrety, które naprawdę coś wносиły w moje amatorskie śledztwo.

– Rozmawiałam z Baśką, wychowawczynią Kingi. Pamiętała ten dzień, co zresztą zrozumiałe. Po prostu nie pojawiła się w szkole bez żadnych wcześniejszych informacji od rodziców o powodzie nieobecności.

Kelnerka przyniosła nam obiad, więc miałam czas na przeanalizowanie newsów. Wynikało z nich, że Borkowscy wyjechali nagle. Ale Andrzej miał czas na znalezienie zastępstwa na kolejny dzień. Wyglądało to tak, jakby planował rozszerzone samobójstwo, pomyślałam. Jeśli to prawda, to pozostaje kluczowe pytanie: dlaczego? Co takiego musiało się w jego życiu wydarzyć, że targnął się na swoje życie i do tego w podróż bez powrotu zabrał rodzinę? Zazwyczaj tak działają mężczyźni po rozwodzie, którzy nie mogą się pogodzić z odejściem żony. To oni się na nich mszczą, zabierając im w ten sposób dziecko.

Może Anieli chciała od niego odejść? Może wiedziała o jego romansach z uczennicami?

– Nie smakuje ci? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Marzeny, która z lubością pałaszowała hamburgera i musiałam przyznać, że jadła go bardzo elegancko, co przy tym daniu było sporym osiągnięciem.

Zerknęłam na swój naleśnik z serem, który rozgrzebałam... bardzo nieelegancko.

– Smakuje. – I na potwierdzenie słów nadziałam na widelec spory kawałek. – Tylko się zamyśliłam – dodałam z pełnymi ustami.

– Masz jakieś teorie? Co się według ciebie konkretnie stało tamtego dnia?

– Szczerze, to nie. Po prostu wertuję sobie w głowie różne pomysły – odparłam wymijająco. – Czy Andrzej Borkowski zachowywał się w ostatnich dniach przed wypadkiem jakoś inaczej?

– Co masz na myśli?

– Hm, nie wiem, może był zdenerwowany albo wręcz przeciwnie, nadmiernie zadowolony? – zapytałam z nadzieją.

Marzena przymknęła oczy i zmarszczyła brwi. Wyglądała zabawnie z tą miną, ale powstrzymałam się od parsknięcia.

– Nie pamiętam. Trudno coś takiego przywołać po takim czasie, zważywszy, że ani się z nim nie kumpłowałam, ani go nie lubiłam. – Rozłożyła ręce w przepaszającym geście.

– No jasne. Rozumiem.

Kelnerka zabrała ze stołu puste talerze, a my zamówiliśmy jeszcze dwie filiżanki herbaty. Chyba żadna z nas nie miała ochoty na powrót do domu, bo dzień był naprawdę piękny. Marzena wyciągnęła papierosy, ale zaraz się zmytęgowała.

– No tak, na zewnątrz też nie można palić. Te cholerne strefy wolne od dymu tytoniowego. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Prawdziwa pani pedagog – skwitowałam żartobliwie, a ta roześmiała się w głos.

Posiedziałyśmy jeszcze jakieś pół godziny, a potem pożegnałyśmy się na parkingu. Obiecałam Marzenie, że za niedługo się spotkamy. Polubiłam ją. Naprawdę. I cały czas zastanawiałam się, dlaczego Adam z nią zerwał. Nie był z nikim w związku, więc chyba jednak nie chodziło o inną kobietę.

Życie bywało ironicznie idiotyczne.

Wsiadłam do auta i ruszyłam w drogę powrotną.

Co gorszy oczy

Rozłączyła połączenie i rzuciła telefon na stół, a ten z głośnym łoskotem uderzył o blat. Rozmowa z mężem jak zwykle ją zirytowała. Andrzej znowu zostawał po godzinach w szkole, bo miał jakieś dodatkowe zajęcia, chociaż obiecał, że dzisiaj spędzą wieczór razem. Z trudem powstrzymała chęć pojechania do szkoły i rozpoczęcia ponownie śledztwa. Wiedziała, że jeśli zacznie, to nie skończy się na jednym wypadzie. Nie spoczęłaby, dopóki nie przekonałaby się naocznie o jego zdradzie, a wtedy... wtedy to byłby już koniec. I ten właśnie koniec ją powstrzymywał.

Podeszła do okna, za którym zaczynały rozkwitać róże. Tylko budzący się do życia po długiej zimie i rozkwitający bujnie latem ogród sprawiał, że na chwilę zapominała o swoich problemach i miejscu, które musiała tak nagle opuścić. To tam był jej prawdziwy dom, nie tutaj, w tym bezbarwnym miasteczku, w którym za nic nie mogła się odnaleźć.

Obserwowała, jak Kinga buja się na starej drewnianej huśtawce przymocowanej do pnia drzewa, którą zastali tutaj po przyjeździe. Dziewczynka nie miała za wiele koleżanek i wolała po szkole spędzać czas na swoim podwórzu. Arek zadomowił się najszybciej, zaprzyjaźnił się z nowymi kolegami i jak tylko stopniał ostatni śnieg, każdą wolną chwilę spędzał z nimi na boisku. Jak ojciec szybko zjednywał sobie ludzi. Kinga była zupełnie inna, najpierw bardzo długo obserwowała otoczenie, analizowała, sprawdzała, a dopiero później zaczynała się otwierać. Idealna kopia jej własnego charakteru, niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała z rozrzewnieniem Ela.

Zerknęła na zegar wiszący nad wejściem do kuchni. Dochodziła siedemnasta, Arek miał jeszcze godzinę. O późniejszym powrocie do domu nie było nawet mowy.

Od czasu Piotrka nie pozwalała mu przesiadywać na boisku do ciemnej nocy, jak mieli to wcześniej w zwyczaju. Ta tragedia wstrząsnęła Elą dogłębnie. Całymi dniami rozmyślała nad tym, co mogło się stać z chłopcem, który przecież był już prawie przy domu. Andrzej wziął udział w całonocnych poszukiwaniach po okolicy, które zorganizowali rodzice Piotrusia. Nie znali ich dobrze, chociaż ich chłopcy się przyjaźnili. Ale to nie miało znaczenia. Takie rzeczy mobilizowały nawet obcych.

Po Piotrku zaginął wszelki ślad. A najstraszniejsze, że wydarzyło się to tak blisko domu, w spokojnej okolicy, w której nigdy nic się nie działo. Tak przynajmniej

opowiadali sąsiedzi. To było straszne. Elę to przerażało, zaczęła cierpieć na bezsenność. Wstawała więc w środku nocy i wyglądała przez okno na ulicę, jakby spodziewała się, że zobaczy na niej zaginionego chłopca. Albo kogoś, kto mógł się przyczynić do jego zniknięcia. Ludzie przecież nie znikają jak kamfora. Powinien zostać po nich chociażby strzępek ubrania, ślad buta albo drobinki zapachu. Cokolwiek. Tymczasem po Piotrze została tylko rozpacz jego matki i ojca, które też zżerały Elę od środka.

Ta sytuacja sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnęła wrócić do domu. Owszem, i na Pomorzu dochodziło do podobnych zdarzeń, ale jej nigdy nie dotknęły tak bezpośrednio, więc teraz czuła się przygnębiona, a przede wszystkim pełna niepokoju o dzieci. Najchętniej nie wypuszczałyby ich z domu, ale nie mogła wdrukowywać w nich lęków, które zostałyby z nimi na długo. Jednak lubiła mieć obydwój w zasięgu wzroku, blisko domu.

Oderwała wzrok od okna, gdy usłyszała wibracje telefonu, który zostawiła na stole. Jej serce przyspieszyło. Podniosła telefon i przeczytała esemes.

Jestem już wolny. Możemy się spotkać?

Zamknęła oczy i bardzo głośno westchnęła. Na wspomnienie ich ostatniego spotkania krew w jej żyłach zawrzała. Był jedynym jasnym punktem pobytu w tym zapyziałym miasteczku. I jedynym powodem, dla którego nie zaczęła znowu śledzić swojego męża. Nie była aż taką hipokrytką, chociaż to jej własny mąż pchnął ją w ramiona innego. To przez Andrzeja czuła się bezgranicznie samotna.

Trzymała w dłoniach telefon i zastanawiała się, co ma odpisać. Nie mogła teraz wyjść, bo była z Kinią. Z ciężkim sercem odpowiedziała, że dzisiaj nie może i niemal natychmiast otrzymała kolejną wiadomość.

On jest w domu?

Nie ma.

To przyjadę. Pogadać. Okej?

Zastanawiała się dłuższą chwilę, co zrobić. Chciała go zobaczyć, ale czy to nie za duże ryzyko? Ktoś z sąsiadów mógł skojarzyć jego samochód. Ale co z tego!?

Tylko zatrzymaj się gdzieś dalej.

Okej.

Odłożyła telefon na stół i drżącymi rękami zakryła twarz. To było szaleństwo, ale ona potrzebowała tego szaleństwa, żeby nie zwariować. Potrzebowała czegoś, co choć na kilka chwil przegoni samotność i trwogę.

Potrzebowała jego.

10



Zaparkowałam trochę dalej w zatoczce dla autobusów, nieopodal wielkiego rozłożystego kasztanowca. Wyciągnęłam plecak i zarzuciłam go na jedno ramię.

Dom stał na narożnej działce i od strony drugiej prostopadłej ulicy z nikim nie graniczył. Za posesją znajdowała się zwykła ścieżka prowadząca w jakieś chaszczce. Gdy byłam tu z Adamem, zauważyłam, że nie ma z tamtej strony latarni. Teraz, po zmroku, miałam pewność, że nie oświetla tego miejsca inne źródło światła. Włączyłam latarkę i omiotłam jasną smugą ogrodzenie z prostych prętów, które było prawie do połowy zarośnięte chwastami i krzakami. Zastanawiałam się właśnie, jak pokonać przeszkodę i wtedy strumień światła latarki padł na nieregularność w bramie. Dwa pręty rozszerzone tak, aby mógł się przez nie przecisnąć człowiek o niezbyt postawnej sylwetce.

– No proszę – szepnęłam do siebie. – Ktoś wyświadczył mi przysługę.

Rozsunęłam ręką krzak i pokrzywy, a potem wsunęłam się do otworu. Na ostatnim odcinku zahaczyłam o coś nogą i upadłam na ziemię. Po twarzy smagneła mnie gałąź.

– Kurwa! – syknęłam i natychmiast się podniosłam.

Marny ze mnie włamywacz, musiałam to przyznać. Otrzepałam wilgotne od mokrych liści spodnie i ruszyłam w stronę nawiedzonego domu. Dotarłam do starej huśtawki, która upiornie kołysała się na wietrze. W ciemnościach ten dom wydawał się jeszcze straszniejszy niż za dnia i nie tylko ze względu na los, jaki spotkał tę nieszczęsną rodzinę. Chodziło o wrażenie opuszczenia. Jakby dom wysyłał fale żalu. Za kimś? Za faktem, że został porzucony i nikt na długo się nim nie zajął? Trudno było powiedzieć, ale moja nadwrażliwość właśnie coś takiego odbierała, gdy stałam przed tym zaniedbanym budynkiem.

Minęłam huśtawkę, podeszłam pod sam dom, ominąwszy śmieci wywalające się z rozerwanego worka. Zeszłam po schodach prowadzących do drzwi

podpiwniczenia. Złapałam za klamkę – jak się spodziewałam, nie puściła. Ale to nic. Gdy byliśmy tu wcześniej, widziałam uchylone okienko piwniczne. Ktoś zapewne zostawił je tak jako wentylację, żeby domu nie przeżarł grzyb. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Obdzwoniłam kilka biur nieruchomości, nikt nic nie wiedział o tej lokalizacji. Czy to tajemnica państwowa, skoro nikt nie ma pojęcia, kto jest aktualnie właścicielem nieruchomości? Dlaczego Borkowscy się tu w ogóle znaleźli? Musiał być jakiś klucz do tej zagadki. Miałam nieodparte przeczucie, że gdy poznam tajemnicę tej rodziny, dowiem się, jak naprawdę wyglądał wypadek i uratuję honor Mata. Bo coś w tym wszystkim było nie tak. Znalezienie zastępstwa w szkole na dzień przed tragedią, jednocześnie brak wcześniejszej informacji o nieobecności dzieci na lekcjach i nagły wyjazd z domu! Wyglądało na to, że to Borkowski miał jakiś plan, o którym rodzina nic nie wiedziała.

Oczywiście, to tylko moje luźne wnioski, ale coś było na rzeczy. I uważam, że jedynym sposobem, żeby dowiedzieć się, co tutaj nie gra, jest wejście do tego budynku.

Przykucnęłam obok okna do piwnicy, które było zabezpieczone małym haczykiem. Bez trudu wsunęłam rękę przez sporą szparę i odblokowałam zapinkę.

Otwór był na tyle duży, że bez trudu mogłam się przez niego zmieścić. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, co zastanę po drugiej stronie. Co prawda udało mi się tam zajrzeć za dnia, ale okno było zakurzone. Nie miałam pewności, czy nie natknę się na przykład na sterczące do góry grabie albo komplet postawionych na sztorc noży kuchennych.

No cóż, nie mam innego wyjścia, jak tylko przekonać się osobiście. Skierowałam światło latarki do wnętrza. Jedna wielka graciarnia, westchnęłam w duchu. Na szczęście, obok okienka znajdował się mebel, dzięki któremu mogłam bezpiecznie wślizgnąć się do środka, nie ryzykując zwichnięcia kostki. Wybadałam stopą powierzchnię komody i gdy przekonałam się, że jest stabilna, stanęłam na nią całym ciężarem ciała, następnie usiadłam na niej, a potem zeskoczyłam na podłogę.

W tym samym momencie zgasła latarka i w piwnicy zapanowała totalna ciemność. Oczy aż mnie zabolowały od tej czerni, w której próbowałam coś wypatrzyć.

– Kurwa! – syknęłam.

W panice uderzałam dłonią w latarkę, żeby ją znowu ożywić. Udało mi się za drugim razem.

– Nie rób mi teraz takich rzeczy – mruknęłam z ulgą do latarki, żałując, że aby przyszczędzić, kupiłam jeden z najtańszych modeli.

Omiotłam snopem światła całe pomieszczenia. Nie różniło się tak bardzo od tego, co zastałam w domu dziadków. Pudła, stare meble, stare farby do malowania, worki z cementem, zwinięty w rulon dywan i milion innych rzeczy, których z jakichś powodów ludzie nie wyrzucają od razu, tylko je odkładają, żeby się ich pozbyć za kilka lat. Chyba pozostałość w genach po naszych przodkach.

Usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z góry... a może z piwnicy? Coś jakby chrobot. Natychmiast zamarłam, żeby się wsłuchać, ale łomot serca i szum krwi w uszach zagłuszały niemal wszystko.

Pewnie szczury, pomyślałam, ale to wcale mnie nie pocieszyło. Nie wiem, czy nie lepiej spotkać się z duchem niż z obrzydliwymi gryzoniami. Uśmiechnęłam się pod nosem i przełknęłam ciężko ślinę. Stare domy nigdy nie były całkowicie ciche. Podłogi trzeszczały, ściany pękały. Na dachu stukały dachówki...

Zauważyłam, że moje myśli zaczynały rozbiegać się w przeróżnych kierunkach, aby tylko nie dać się lękowi, który zaczynał załęgać się w trzewiach. Taki pierwotny strach przed ciemnością i niewiadomą, która czyhała w każdym kącie. Musiałam się skupić na każdej czynności i nie dać się mojej bujnej wyobraźni.

Ruszyłam ostrożnie przed siebie, oświetlając sobie wąską ścieżkę. Musiałam namierzyć schody na piętro i modliłam się, żeby drzwi prowadzące do wnętrza domu nie były zamknięte na klucz. Ludzie rzadko to robili, ale kto wie, co tu zastanę.

Wyminęłam trzy wory, zapewne z ubraniami, i wreszcie je zobaczyłam. Kilkanaście stopni, którymi mogłam się wydostać z tej zakurzonej i wilgotnej piwnicy. Przyspieszyłam i w tym momencie zahaczyłam nogą o jakiś próg, który pojawił się znikąd pod stopami. Runęłam na gołą posadzkę. Latarka wypadła mi z dłoni i potoczyła się gdzieś po podłodze, znowu gasnąc.

– Ja pierdolę, kurwa mać! – jęknęłam cicho, rozmasowując nadgarstek, który najbardziej ucierpiał, bo w ostatniej chwili podparłam się ręką.

Wokół mnie znowu była granatowa czerń, a ja mimo obolałego uda szybko się podniosłam. Cały czas miałam w pamięci chrobotanie gdzieś w pobliżu. Wzdrygnęłam się na samą myśl o szczurach. Boże, jak ja ich nienawidziłam.

Znowu usłyszałam dziwny dźwięk z drugiego końca pomieszczenia i kolejny raz zamarłam, nasłuchując, ale ten znowu ucichł. Sięgnęłam do saszetki-nerki, którą miałam przyczepioną do pasa, i wyciągnęłam telefon. Odblokowałam go i mocne światło ekranu uderzyło mnie po oczach. Włączyłam latarkę w aparacie i zaczęłam rozglądać się za tą, która podczas upadku wyskoczyła mi z rąk.

Oświetliłam też to, co podlażło mi pod nogi. Nie, to nie był żaden próg, jak mi się wydawało. To pudełko po butach, które musiałam zrzucić łokciem ze sterty innych gratów leżących po mojej prawej stronie. Opakowanie leżało obok, a jego zawartość rozsypała się po podłodze. Schyliłam się, żeby to wszystko pozbierać. Jakieś mydło w ozdobnym opakowaniu, butelka tanich perfum, cienki pasek, jakby od torebki, brelok z pomponem i łańcuszek z zawieszka w kształcie maleńkiej koniczyny. Podniosłam go do światła latarki. Miał na blaszce mały grawer, literkę „J”.

Pewnie skarby małej mieszkanki tego domu. Kinga. Tak miała na imię, przypominałam sobie i poczułam ukłucie żalu. Pamiętałam jej zdjęcie, które znalazłam w Internecie. Mysi kolor włosów, drobna, szczupła dziewczynka uśmiechająca się z rezerwą. Wyobraziłam ją sobie nad tym pudełkiem, jak pieczołowicie wkłada do niego swoje skarby, i ponownie ścisnęło mnie w środku. Ale mogłam się tego spodziewać. Im bardziej ich poznam, im więcej rzeczy po nich zobaczę, dotknę, poczuję, tym ich śmierć stanie się dla mnie czymś o wiele bardziej osobistym. Czy byłam na to gotowa? Nie miałam wyjścia. Za późno na takie rozmyślenia.

Zamknęłam pudełko i wstawiłam je na stertę, ale zanim zdołałam się ruszyć dalej, ono ponownie spadło mi pod nogi.

– Jezu – prychnęłam i znowu schyliłam się, żeby pozbierać zawartość.

Ha! Tym razem z pudła wypadło coś jeszcze. Coś, co spowodowało, że zaczęłam wątpić, że pudełko należało do małej dziewczynki.

Prezerwatywa.

Ponownie przejrzałam zawartość paczuszki i dopiero teraz coś mnie uderzyło. Czy ośmiolatka trzymałaby w swojej szkatułce skarbów perfumy i pasek? W zasadzie te rzeczy nie miały żadnego wspólnego mianownika, prócz faktu, że rzeczywiście mogły należeć do kobiet.

Nie, zdecydowałam, to nie mogło należeć do małej dziewczynki, która w tym wieku powinna zbierać piórka, kolorowe kamyki czy inne takie badziewie. Nie, żebym była ekspertką od małych dziewczynek, ale Felix ma siedmioletnią siostrzenicę, Lilith, z którą czasami spędzałam czas, gdy odwiedzała go w weekendy. Dziewczynki w tym wieku są jeszcze mocno dziecinne. Nie interesują się kosmetykami czy mydełkami zapachowymi. Bardziej kręcą je bajki i huśtawki. Tak przynajmniej wynikało z moich obserwacji.

Ale jakie to miało znaczenie, westchnęłam w myślach. Może zawartość należała do kogoś, kto mieszkał tu wcześniej? Jakaś dziewczyna o imieniu na literę „J”, jak zdradzał grawer na zawieszce.

Zebrałam wszystko z podłogi i ułożyłam w pudełku. Gdy je podniosłam z posadzki, zauważyłam jakiś biały skrawek papieru. Podniosłam go i rozłożyłam. Był wielkości kartki z zeszytu A5. I znajdował się na nim jakiś wierszyk. Skierowałam strumień światła latarki na zapisaną pismem drukowanym stronę.

ODDAJ TO NOCY.
UKRYJ PRZED DNIEM.
CO GORSZY OCZY,
ZAKOP NA DNIE.
ODDAJ TO NOCY.
CIEMNOŚCI TEŻ.
NIKT SIĘ NIE DOWIE,
NIE ZNAJDĄ CIĘ.

Trochę creepy ta grafomańska rymowanka, pomyślałam i złożyłam kartkę na cztery, a potem schowałam do pudła. Znalazłam pokrywkę leżącą nieopodal i zatrzasnęłam ją jak wieko tej przedziwnej prowizorycznej szkatułki.

Byłam już przy schodach na piętro, gdy kolejny raz dotarł do mnie niepokojący dźwięk. Tym razem bardzo łatwy do zidentyfikowania, a mianowicie trzaskanie drzwiami. Skamieniałam. Ktoś wszedł do domu frontowym wejściem? Przecież nikt tu nie mieszkał.

Nasłuchiwałam z przerażeniem dalszych dźwięków i bardzo szybko się ich doczekałam. Kroki. Usłyszałam kroki! Bardzo wyraźne. Instynktownie wyłączyłam latorkę i nastawiłam uszu. Cofnęłam się trochę, odsuwając się od schodów. Kroki ucichły, jakby ten, kto był na górze, nasłuchiwał, co się dzieje na dole.

Czy ktoś mnie słyszał? Niemożliwe. Zachowywałam się bardzo cicho. Chyba że ktoś zobaczył światło z ulicy, chociaż nie wiem, czy to możliwe. Gdyby tak było, wezwałyby policję, a ja nie słyszałam podjeżdżającego samochodu ani nie widziałam koguta.

Mój oddech przyspieszył, gdy odgłos kroków znowu dał się słyszeć nad moją głową. Na wszelki wypadek wycofałam się pod okienko piwniczne. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, a oddech maksymalnie przyspieszył. Powrócił strach, który poczułam nad Żabim Jeziorem. Tam jednak lęk przyszedł z zupełnie irracjonalnego powodu, tutaj powody były aż nazbyt realne.

Chciałam się wspiąć na komodę, która stała pod oknem, ale noga ześlizgnęła się z blatu i z całym impetem zeskoczyłam na podłogę. Miałam wrażenie, że po całym domu rozniosło się echo łupnięcia. Zamarłam. Kroki na górze przyspieszyły. Usłyszałam, jak ktoś zbiega ze schodów gdzieś w dalszej części domu, a potem nagle się zatrzymuje jak wężące zwierzę.

Chyba na moment przestałam oddychać. Kolejny dźwięk zmroził mi krew w żyłach. Odgłos majstrowania przy zamku. Tutaj. Przy drzwiach od piwnicy. Ten odgłos mnie otrzeźwił. W pośpiechu wdrapałam się na blat mebla, tym razem skutecznie, i podniosłam się na rękach. Dopiero za drugim razem udało mi się wygramolić z piwnicy. Akurat w momencie, w którym usłyszałam, jak coś za mną upada, a potem już nic nie słyszałam, bo puściłam się szaleńczym biegiem przez podwórko, do przejścia ukrytego w zaroślach. Sprintem dobiegłam do auta. Wygrzebałam z nerki klucze i odblokowałam zamek. W ułamku sekundy znalazłam się wewnątrz, odpaliłam silnik i odjechałam z piskiem opon.

Dopiero przy wyjeździe z miasta uspokoiłam się na tyle, żeby zwolnić i się obejrzeć. Nikogo nie było, bo i kto by mógł mnie śledzić?

Wzięłam kilka głębokich wdechów i opadłam plecami na siedzenie. Nigdy w życiu nie znalazłam się w podobnej sytuacji. I nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś tak durnego, jak włamanie się do cudzego domu. Co mi odbiło?

– Odpierdala mi – szepnęłam do siebie.

Gdy dotarłam do domu, dochodziła pierwsza. Ale nim weszłam do środka, musiałam zajarać. Obawiałam się, że nałóg, z którym walczyłam przez ostatni rok i tak dobrze mi szło, wróci szybciej, niż myślałam.

Wyciągnęłam fajki ze schowka i zapaliłam. Zaciągnęłam się mocno i chyba dopiero wtedy trochę zeszło ze mnie napięcie. Odetchnęłam głęboko.

Podwórze tonęło w ciemnościach i tylko co jakiś czas robiło się trochę widniej, gdy sierp księżycy wyłaniał się zza gęstych chmur. Mimo ciemności nie czułam się tu zagrożona. Praktycznie się tu wychowałam i z tym miejscem kojarzyłam najlepsze chwile. Przechadzałam się po podwórzu, bo musiałam „rozejść” stres, którego się nabawiłam w tej przeklętej piwnicy. Zaczęłam analizować to, co tam znalazłam, i rozgryzać niespodziewanego intruza. Jeśli ten ktoś nie miał nic do ukrycia, dlaczego przyjechał w środku nocy? Czemu nie pozapalał świateł?

Gdzieś w oddali zawył pies. Zgasłam papierosa w wilgotnej trawie, z myślą, że jutro to posprzątam, i weszłam do domu.

Nie sądziłam, że tej nocy zasnę, ale odpłynęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki.



Obudził mnie dźwięk samochodu, który wcześniej wmieszał się w mój sen, i poderwałam się przestraszona. Śniło mi się, że jestem w piwnicy i ktoś próbuje mnie złapać za nogę, a okno, przez które chciałam uciec, staje się coraz mniejsze, byłam pewna, że się przez nie nie przecisnę. Wtedy usłyszałam dźwięk silnika i na szczęście się obudziłam. Przetarłam dłońmi twarz i zerknęłam przez okno. Od razu rozpoznałam auto.

– Serio? Teraz? – jęknęłam, założyłam szlafrok i powlokłam się na dół.

Adam przywitał mnie szerokim uśmiechem i papierowym kubkiem z kawą. Trochę mnie tym udobruchał.

– Która godzina? – zapytałam, przyjmując od niego gorący napój.

– Dochodzi dziesiąta. – Poszedł za mną do kuchni.

– Co? – Stałam jak wryta i wzrokiem poszukałam zegara na ścianie, ale to był bezsensowny odruch, bo mechanizm od lat nie działał.

Aż tak długo spałam? Chyba po spadku adrenaliny po prostu mnie zmiotło.

– Zabalowałaś wczoraj? – Oparł się biodrem o blat kuchenny i patrzył na mnie sponad swojego kubka.

– Nie, musiałam popracować do późna – skłamałam, ale tylko połowicznie, bo przecież mój nieudolny włam był poniekąd pracą. Nie zamierzałam się tym jednak szczycić.

Adam na pewno nie pochwałałby tego, co zrobiłam, a poza tym im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej.

Usiedliśmy przy stole.

– Wpadłam wczoraj w sklepie na Marzenę – powiedziałam. – Zjadłyśmy razem obiad.

– Tak? – Uśmiechnął się półgębkiem. – Bardzo po mnie jeździła? – Podniósł brwi.

Zaśmiałam się.

– Możesz uwierzyć lub nie, ale miałyśmy ciekawsze rzeczy do obgadania niż jakiś tam facet – odparłam z przekąsem.

Tym razem on parsknął.

– Wyobraź sobie, że wierzę. – Rozparł się na krześle. – Od początku wiedziałem, że ja i Marzena to dobra zajawka na przyjaźń, a nie na wielkie love story, i nikt nie będzie po rozstaniu płakał.

– Czyli nie zerwaliście, bo poznałeś kogoś innego? – drążyłam.

Byłam jeszcze mocno zaspana, chociaż wpadające przez okno słońce napawało mnie nadzieją na szybkie rozbudzenie się. Całkowicie odganiało nocne koszmary. Te na jawie i te senne. Doszłam do wniosku, że gdybym raz jeszcze odważyła się udać do nawiedzonego domu, to tylko za dnia.

Adam spuścił wzrok, a potem spojrzał gdzieś w ścianę obok mnie.

– Nie – odezwał się po chwili. – Ale to tylko świadczyło o tym, że między mną i Marzenką nie było niczego prawdziwego.

– Dziwne – skomentowałam. – Marzena to taka fajna dziewczyna. I bardzo ładna – dodałam. Z niewiadomych przyczyn bardzo mnie nurtowała ta historia.

Adam westchnął i wyszczerzył się.

– Ja też byłem ładniejszy od Mateusza, a jednak to w nim się zabujałaś – powiedział z flirciarską nutą, ale wiedziałam, że po prostu się ze mną droczy, a nie naprawdę podrywa.

– No tak. Podsumowując: to jest bardziej skomplikowane – odparłam smutno.

Poczułam się głupio, że byłam taka ciekawska. To oczywiste, że zakochujemy się w kimś, kto ma dla nas to nieuchwytnie coś. Trudne do zdefiniowania, niezależne od wyglądu, pochodzenia czy rasy. Po prostu to ma i nic nie można poradzić.

– Jest – zgodził się i spojrzał w okno. – Widzę, że zaczęłaś tu trochę porządkować. – Podeszedł bliżej do szyby, żeby wyrzeć na podwórze.

– Tak, nie mogłam patrzeć na ten burdel. Babcia i dziadek bardzo dbali o to miejsce, a teraz wygląda jak dom Borkowskich. Chciałam jeszcze skosić trawę, ale nie mam czym. Może dzisiaj wypieleę trochę ogród. – Wzruszyłam ramionami. –

Muszę coś zrobić, żeby się tu nie zanudzić na śmierć. Poza tym jest taka ładna pogoda.

– Jadłaś już śniadanie? – zapytał niespodziewanie.

– Nie zdążyłam. – Ziewnęłam przeciągle. – Wyrwałeś mnie z łóżka z samego rana.

– Dziewczyno, jest już w pół do jedenastej. Gdyby nie ja, to przespałabyś ten piękny, rześki dzień. – Wylał resztkę kawy do zlewu i wyrzucił papierowy kubek do śmietnika. – Zjedz coś, a ja zabieram się do roboty. Dołączysz do mnie, jak się ogarniesz z tych betów – zażartował.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, o co mu chodzi. Myślałam, że jedzie do domu, ale on zrzucił kurtkę, podwinął rękawy i skierował się do wyjścia. Dopiero po kilku sekundach pojęłam, że zamierza mi pomóc w uprzątnięciu podwórka. Chciałam go zatrzymać i powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby, ale nie zdążyłam.

Żołądek upomniął się o swoje. Wyciągnęłam z szafki musli, zalałam zimnym mlekiem z lodówki i pochłonęłam w zawrotnym tempie. Piętnaście minut później, przebrana w dres i uzbrojona w okulary przeciwsłoneczne, wyłoniłam się z domu. Adam na mój widok pokręcił głową z udawaną dezaprobatą.

– Ech, miastowa – rzucił.

– No co? – Zsunęłam okulary na nos.

Wciągnęłam przyjemne, ciepłe powietrze pachnące zbutwiałymi liśćmi i trawą. I wsią. Prawdziwą polską wsią, za którą naprawdę się stęskniłam.

– Takie dobre ciuchy do roboty w polu – cmoknął.

– Panie, odczep się pan już. – Podeszłam do niego. – Nie idę na wykopki, tylko uprzątnąć ogródek. Co robisz? – zagadnęłam.

– Pomyślałem, że pozbieram żelastwo na jedną kupę, może będzie można to sprzedać na złomie. Pożyczę ci wózek, zapakuję na niego wszystko, a ty to sobie tam zawieszysz – odparł, a ja wybuchnęłam śmiechem, bo wyobraziłam sobie tę scenę rodem z filmu Barei.

– Ale ty jesteś od rana zabawny, kto by pomyślał – skomentowałam. – A tak w ogóle to nie musisz tego robić. Mam dużo czasu i mogę go spożytkować w ten sposób.

– Już ci mówiłem, że nie mam nic ciekawszego do roboty, więc jeśli nie przeszkadza ci moja osoba sama w sobie, to odpuść. – Zaczesał do góry włosy

i schylił się po motyczkę, która leżała pod jego stopami. – Swoją drogą, to dlaczego panuje tu taki bałagan? – Rozejrzył się.

– Myślę, że zanim moi rodzice zabrali do siebie babcię, próbowała sama tu urzędować, nawet po udarze. I po prostu nie dała rady. – Ruszyłam w stronę ogrodu, granice pomiędzy nim a podwórzem wyznaczał wielki dąb.

Ścisnęło mnie w gardle na myśl o schorowanej i samotnej babci, która musiała sobie dać radę z tym wszystkim. Dobrze, że miała dobrych sąsiadów, takich jak Walentyna, która codziennie jej doglądała.

Próbowałam odgonić smutek fizycznym wysiłkiem. Pracy było sporo, więc istniała duża szansa, że mi się to uda. Wyłączyłam umysł i wspomnienia z zeszłej nocy. W tej chwili chciałam się po prostu zmęczyć. Co jakiś czas wymieniałam z Adamem spojrzenia, ale nie rozmawialiśmy za dużo. Chyba zrozumiał, że muszę odreagować wzruszenie.

Dwie godziny później oboje przystanęliśmy przy dębie, z którego nieprzerwanie spadały jasnobrązowe liście. Pod samym drzewem usypał się spory kopiec, na którym przysiadłam, ale zaraz sobie przypomniałam, że w takich miejscach często chowały się jeże. Na szczęście tam, gdzie klapnęłam, ich nie było. Chyba bym to poczuła. Adam do mnie dołączył i oparł się plecami o gruby, sękaty pień.

Zadarłam do góry głowę.

– Gdy byłam mała, uwielbiałam się tu wspinać i udawać, że podróżuję statkiem po morzach i oceanach. – Uśmiechnęłam się do siebie.

To były cudownie beztrudne czasy. Jeszcze zanim poznałam smak pierwszej miłości w każdej jej formie. Nie martwiłam się o nic. Po prostu płynęłam na statku przed siebie, rozprawiając się z piratami i wysokimi falami.

Odwróciłam głowę w stronę kumpla, który patrzył na mnie w skupieniu. Zanim wykonał gest, od razu zrozumiałam, co chce teraz zrobić, ale nie zdążyłam się uchylić. A może nie chciałam.

Adam nachylił się i mnie pocałował. Zamarłam, czując jego miękkie, ciepłe usta. Pocałunek był powolny i delikatny. Podobał mi się, chociaż czułam, że to nie jest dobry pomysł. Mimo wszystko oddałam pocałunek. Chyba wydarzenia ostatnich dni, a nawet tygodni potrzebowały ujścia. Tym ujściem były usta dawnego kolegi.

Adam wsunął dłonie w moje rozsypujące się włosy i głośno westchnął. I to mnie właśnie otrzeźwiło. Nie powinniśmy byli tego robić. Delikatnie odsunęłam się od

jego ust i spojrzałam mu w oczy. Miał ciemne, przepastne tęczówki, w których łatwo było się zatracić, ale ja nie miałam już kilkunastu lat i takie sytuacje jak miłość od pierwszego wejrzenia mi nie groziły.

Adam wyglądał na zaskoczonego moim gestem. Przełknął ślinę i oblizał wilgotne usta. Miał rozgorączkowane spojrzenie i trochę rozczochrane włosy. Nie mogłam zaprzeczyć, że pocałunek mi się podobał, ale to było niewłaściwe. Z wielu różnych względów.

– Przepraszam – bąknął i się odsunął.

Oparł się znowu o pień i wziął głęboki wdech.

– Jest okej – szepnęłam i usiadłam w podobnej pozie.

Silny wiatr strząsnął z drzewa więcej liści, a te opadały na nas w powolnym tańcu. Było to w pewnym sensie bardzo terapeutyczne. Tak jak chodzenie boso po trawie albo brodzenie po wodzie i spacerowanie po plaży. Zaczęłam bawić się liśćmi, które pokrywały trawę coraz gęstszym kobiercem. Przeczesałam je palcami i wtedy coś przykuło mój wzrok. W tych ciepłych kolorach jesieni zauważyłam coś nienaturalnego. Barwa, która nie należała do tej gamy kolorystycznej. Niedaleko miejsca, gdzie siedzieliśmy, wśród liści, zamajaczył jasnoniebieski kolor. Odruchowo po niego sięgnęłam. To był skrawek jakiegoś ubrania, ale ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że był wkopany w ziemię.

– Co jest, do cholery – powiedziałam i na kolanach nachyliłam się nad znaleziskiem, żeby lepiej je zbadać.

Pociągnęłam za materiał upačkany ziemią z większą siłą i wtedy... wtedy zobaczyłam coś, co mnie zmroziło. Opadłam na plecy, podtrzymując się rękoma, i w tej pozycji gwałtownie odsunęłam się do tyłu. Głos uwiązł mi w gardle, a ciało zeszywniało.

– Co się stało? – Usłyszałam głos z oddali, ale nie byłam w stanie się odezwać.

Wskazałam ręką na skrawek materiału pod drzewem. Adam podszedł w tamto miejsce.

– O kurwa. O ja pierdolę. Jezu! – Cofnął się i omal się o mnie nie potknął.

Wymieniliśmy przerażone spojrzenia, a potem w idealnej synchronizacji przenieśliśmy wzrok na odcinającą się w czerni ziemi białą, drobną, kościstą dłoń.



Kolejne godziny wydawały mi się jakimś dziwnym surrealistycznym koszmarem. Kilka policyjnych jednostek, jeden ambulans, dziesiątki pytań, mnóstwo podejrzanych spojrzeń i tłum gapiów na ulicy. I kilkanaście wypalonych papierosów.

Piłam już trzecią melisę, ale tylko żeby coś zrobić, bo w niczym nie pomagała na moje roztrzęsienie. Dopiero tabletki hydroksyzyny, którą dostałam od ratownika medycznego, trochę mnie uspokoiła. Adam też był w szoku. W ogóle się do mnie nie odzywał. Zdołał jedynie zamienić kilka zdań z pracownikiem karetki i mundurowymi, którzy jako pierwsi zabezpieczyli teren wokół mojego dziecięcego statku pirackiego.

Powoli zapadał zmrok. Na podwórzu lampy halogenowe oświetlały miejsce, które skrywało ciało, a dokładnie płytki grób, z którego wydobyto szczątki biednego dziecka. Dziecka! Na naszym podwórzu, pod drzewem, które kiedyś było moim ulubionym miejscem zabaw! Chryste Panie!, jęknęłam po raz kolejny w duchu.

– Mówią, że to Piotrek – odezwał się po wielu godzinach milczenia Adam.

Drgnęłam na dźwięk jego głosu. Mimo że na zewnątrz był harmider, w domu panowała zadziwiająca cisza. Jak w oku cyklonu.

Musiał się tego dowiedzieć od ratownika z ambulansu.

– Mają pewność? – zapytałam szeptem, dostosowując się do atmosfery panującej w domu.

– Muszą potwierdzić badaniami DNA, ale jakie inne dziecko zaginęło w okolicy? To musi być on – wyjaśnił. – Ściągają rodziców do kostnicy, żeby rozpoznali ubrania – dodał ponurym tonem.

– Jezu – powiedziałam ze zgrozą. – Dlaczego... ktoś zakopał go właśnie tutaj?

Nie pytałam, dlaczego ktoś zrobił coś tak okropnego dziecku, bo to było niepojęte samo w sobie i nie było na to żadnej sensownej odpowiedzi. Psychopatów nie brakowało na tym świecie i chociaż nie chciałam na to zubożnąć, czasami po prostu natłok takich informacji człowieka emocjonalnie paraliżował. Do momentu, w którym nie zetknął się z tym osobiście. Tak jak ja teraz.

– Może ten morderca wiedział, że nikt tu nie mieszka od kilku lat. Idealna miejscówka.

Adam wstał od stołu. Zaczął się przechadzać od jednej ściany do drugiej. Ja zdrętwiałam i ledwo się ruszałam, on potrzebował rozchodzić stres. Nie mógł wrócić do domu, bo komisarz Ligocki chciał jeszcze z nami porozmawiać, chociaż nie bardzo wiedziałam o czym. Podejrzał nas o coś? Mnie nawet nie było w kraju, a Adam, gdyby był winny, przecież próbowałby mnie powstrzymać przed sprzątnięciem podwórza, a już na pewno przed siadaniem pod dębem. No i prawie na pewno zatrzymałby mnie, gdyby zauważył, jak zaczynam grzebać w ziemi. A może próbował? Ten pocałunek... Przecież mógł chcieć odwrócić moją uwagę.

A może właśnie zależało mu, żeby odkryto ciało Piotrka? Może potrzebował do tego świadka w postaci dawnej, nic niepodjętej koleżanki, która zapewni mu jakieś pokrętne alibi...

Zerknęłam na niego ukradkiem. Jego zdenerwowanie było autentyczne, nie mógłby tego udawać. Poza tym jaki miałby motyw, żeby zabijać małe dziecko!?

Chryste! Zakręciło mi się od tego wszystkiego w głowie. To nie był film kryminalny, tylko rzeczywistość.

– ...myślisz?

Znowu drgnęłam, gdy usłyszałam jego głos.

– Słucham?

– Pytam, co ty o tym wszystkim myślisz? – Podszedł do mnie i oboje zwróciliśmy się w stronę okna, za którym wciąż przemieszczało się mnóstwo ludzi. Z błysków fleszy, które docierały z przeciwnej strony, wnioskowałam, że dotarli tu także reporterzy i na pewno telewizja.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Nie mam pojęcia. Wciąż jestem w szoku i nie potrafię trzeźwo myśleć. Jak długo... tam leżał? Dowiedziałaś się czegoś?

– Trudno powiedzieć. Na razie niczego nie mogą potwierdzić. Zważywszy na to, że ziemia go trochę... zakonserwowała. – Oparł dłonie na parapecie i przybliżył się

do mnie tak, że otarł się przedramieniem o moje przedramię.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale do domu wszedł Ligocki i jakiś inny mężczyzna, którego wcześniej nie widziałam. Chyba pojawił się na miejscu dopiero przed chwilą.

– Sierżant Sachajko – przedstawił się.

Mężczyzna nie był wysoki, ale postawny i szeroki w barkach. T-shirt wystający spod skórzanej kurtki ciasno opinał jego pierś. Na nogach miał wojskowe buty. Jego włosy na skroniach przyprószyła już siwizna, ale nie mógł mieć więcej niż czterdzieści pięć lat.

– Sierżant Sachajko prowadził sprawę zaginięcia Piotrka – wyjaśnił Ligocki, na co miałam ochotę prychnąć i dodać, że raczej się nie spisał, ale powstrzymałam się, bo mimo wszystko byłoby to dość niesprawiedliwe.

Kto mógł się domyślić, gdzie znajdą tego biednego dzieciaka.

Adam i ja skinęliśmy głowami na przywitanie. Na tyle było nas stać w tej chwili.

– Chcielibyśmy z wami porozmawiać. Pojedynczo – powiedział Ligocki tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pani Linga, możemy skorzystać z pokoju? – Wskazał palcem na korytarz. – A pana zapraszamy na komendę.

– Tak, oczywiście – potwierdziłam i z herbatą w dłoniach poprowadziłam dwóch policjantów do dziennego pokoju.

Zapaliłam światło, ale zaraz zrezygnowałam z tego pomysłu. Żarówki były zbyt mocne, a do pomieszczenia wpadały promienie zachodzącego słońca, więc nie uznałam jeszcze za konieczne wspomaganie się sztucznym oświetleniem.

Stałam na środku pokoju.

– Może usiądziemy – zaproponował Ligocki, wskazując na starą kanapę o tapicerce przypominającej kolorem futro starego niedźwiedzia.

Zrobiłam, jak zaproponował. On sam zajął miejsce w jednym z foteli stojących naprzeciwko mnie. W drugim przysiadł komisarz Sachajko. Postawa obu mężczyzn, którzy nachylili się w moją stronę ze splecionymi rękoma, wskazywała w tej chwili na pełną wyrozumiałość i chęć wysłuchania biednej, zestresowanej kobiety.

– No więc, pani Olgo. Jak to się stało, że... natrafiliście z panem Adamem Anielewiczem na ciało dziecka? – zapytał Ligocki, który pewnie dostał śledztwo, a komisarz Sachajko został tu ściągnięty na okoliczność prowadzonej przez niego

sprawy, która mogła się z tym wszystkim jakoś łączyć, dlatego na razie oddał prowadzenie koledze.

Opowiedziałam tę historię. Łącznie z faktem, że kiedyś w dzieciństwie lubiłam bawić się w tym miejscu, co w pewien sposób wytłumaczyło, dlaczego akurat tam usiedliśmy, żeby wypocząć po pracy.

– Ma pani jakiś pomysł, dlaczego ktoś miałby zakopywać ciało na posesji pani dziadków? – zapytał.

– Poza tym, że ten ktoś musiał wiedzieć, że nikt tu nie mieszka, to żaden inny pomysł nie przychodzi mi do głowy.

– Czy po przyjeździe nie miała pani wrażenia, że w domu coś się zmieniło? – włączył się Sachajko.

– Co ma pan na myśli?

– Nie wiem, na przykład, że ktoś tu pomieszkiwał albo że coś zginęło?

– Nawet jeśli, to nie byłabym w stanie tego rozpoznać. Nie było mnie tu, gdy rodzice zabierali do siebie babcię. Na stałe mieszkam w Edynburgu. Rodzice chcą sprzedać dom i poprosili mnie, żebym zerknęła, co warto jeszcze stąd wziąć. Pamiątki, zdjęcia, sentymentalne drobiazgi. – Wzruszyłam ramionami. – A że akurat dostałam zlecenie napisania reportażu... – Spojrzałam na Ligockiego, któremu również sprzedawałam to kłamstwo. – Pomyślałam, że to będzie dobry pomysł. – Rozłożyłam ręce. – Nie mam zielonego pojęcia, kto mógł wpaść na ten makabryczny pomysł.

– Czy jeszcze ktoś posiada klucze do domu, do furtki? Ktoś z rodziny, znajomych?

– Nie mamy tu już bliskich krewnych, a jedyna osoba, która mogła się swobodnie poruszać po domu, to dawna przyjaciółka babci, pani Walentyna. Mieszka na drugim końcu wsi. Czasami coś posprząta, w zimie sprawdza, czy mróz nie rozsadził rur, i takie tam. Ale to poczciwa kobieta – dodałam na końcu, żeby nie daj Boże nie umiejscowili jej w kręgu podejrzanych.

No cóż, chyba mi się nie udało, bo mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Poda nam pani adres? – zapytał Ligocki i wyciągnął mały policyjny notes.

Przekazałam policjantom potrzebne informacje i gdy myślałam, że to koniec, Ligocki spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

– Jak dobrze zna pani Adama Anielewicza?

– To mój dawny kolega. Spędzaliśmy razem czas z grupką innych dzieciaków podczas wakacji. – Wzruszyłam ramionami. – Nie widzieliśmy się od wielu lat.

– Kto zainicjował ponowne spotkanie? – zapytał Sachajko, w którego głosie wyczułam wstrzymywane podniecenie, jakby już za chwilę miał znaleźć swojego zbrodniarza.

– Przypadek, a właściwie awaria pieca. – Próbowałam powstrzymać jego zapędy, bo ewidentnie chciał postawić kogoś w stan oskarżenia. – No może nie do końca awaria, ale moja nieumiejętność odblokowania tego urządzenia – wyjaśniłam. – Adam ma firmę wymieniającą i obsługującą nowe piece grzewcze. Nawet nie wiedziałam, że prowadzi taki serwis. Ostatni raz, gdy się widzieliśmy, mieliśmy chyba po dziewiętnaście lat – dodałam, podkreślając, że nie mógł przewidzieć, że wrócę i że na dzień dobry piec w domu babci odmówi posłuszeństwa.

Tak naprawdę nie wierzyłam, że Adam mógłby mieć z tym coś wspólnego.

– Czyli nie wiedział, że pani wraca? – dopytywał Sachajko, a z jego głosu wcale nie zniknęła ekscytacja, chociaż myślałam, że swoim wyjaśnieniem trochę ją ostudzę.

– Nie. Nie utrzymywaliśmy kontaktów. To była luźna znajomość nastolatków w czasie wakacji.

Ligocki sięgnął do swojego notesu i zaczął przewracać kartki.

– Czy Karczewski nie był przyjacielem Adama Anielewicza? – zapytał na pozór obojętnym głosem.

– Tak. Byli przyjaciółmi – potwierdziłam, bo taka była prawda i nie sądziłam, żeby ta informacja miała być okolicznością, która go obciąży, i na wszelki wypadek zapytałam: – Ale co to ma wspólnego ze znalezieniem ciała tego biednego dziecka?

– Nikt nie twierdzi, że ma, ale jego nazwisko, jako świadka, pojawiło się w tamtej sprawie, więc chcieliśmy to sprawdzić – powiedział niewinnie Ligocki.

Taa, jasne, pomyślałam.

W tym samym momencie ktoś zastukał w futrynę przy drzwiach. Zwróciliśmy się w tamtą stronę.

– Technicy pana proszą, panie komisarzu.

– Zaraz przyjdę – odparł Ligocki i tamten mężczyzna zniknął bezszelestnie.

Na dworze zapadła szarówka. Słońce już zniknęło na horyzoncie, a ja właśnie zdałam sobie sprawę, że siedzimy w półmroku. Miałam zapalić światło, ale Ligocki i Sachajko podnieśli się z foteli, które ciężko pod nimi zaskrzypiały.

– Ma się pani gdzie zatrzymać?

Popatrzyłam na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– No tutaj – odparłam. – A gdzie indziej miałabym iść?

– Zalecałbym udanie się do hotelu albo do znajomych, ponieważ cały teren będzie ogrodzony przez policję i nie można zadeptywać ślady.

– Jeśli byłoby coś do zadeptywania, to na pewno szkoda już się dokonała, bo trochę ogarniałam podwórze, żeby wyglądało lepiej dla potencjalnych kupców – wyjaśniłam.

– Za pani pozwoleniem, musimy rozejrzeć się po domu i niech wszystko pozostanie tak, jak jest.

Jęknęłam w duchu i przejechałam dłońmi po twarzy. Było mi niedobrze i z głodu ssało mnie w żołądku, ale nie wiedziałam, jak miałabym w ogóle coś zjeść. To, co zobaczyłam pod dębem, będzie mnie prześladowało do końca moich dni.

– Jak chcecie, ale tu raczej nikt się nie dostał. – Westchnęłam ciężko. – Nie było śladów włamania ani kradzieży. Nie wiem, co można by tu znaleźć.

– Jeszcze nie wiemy, ale tak czy siak, musimy się rozejrzeć – dodał Sachajko.

– Czy w mieście jest jakiś hotel? – zapytałam zrezygnowana.

– Nawet dwa. Jeśli pani chce, funkcjonariusz panią odwiezie. Proszę tylko się spakować. Jutro wieczorem dom będzie znowu do pani dyspozycji, ale nie wykluczamy, że na posesji wciąż będą pracowali technicy.

No cudownie!

– Poradzę sobie. Potrzebuję tylko paru minut na zabranie kilku rzeczy – wydukałam, czując, jak zmęczenie bierze nade mną górę. – A co z Adamem?

– Porozmawiamy z nim jutro na komisariacie – oświadczył Sachajko.

Nie zabrzmiało to dobrze, ale przynajmniej nie chcieli go zatrzymywać ani nic z tych rzeczy. Policjanci wyszli, a ich miejsce zajął jakiś posterunkowy, który wszedł do domu i stał w przedpokoju jak słup soli.

Poczłapałam do kuchni, gdzie wciąż był Adam. Wyglądał na równie zmarnowanego jak ja.

– Muszę się wynieść na noc do hotelu – oznajmiłam, a on podszedł do mnie.

– Chyba że chcesz jechać do mnie? Mam wolny pokój. Możesz się tam ulokować do czasu, gdy tutaj skończą – zaproponował, co mnie autentycznie wzruszyło.

Mimo wszystko wolałam tę noc spędzić w samotności. Czekał mnie jeszcze telefon do rodziców, a potem do Felixa. Poza tym Adam chyba mieszkał z rodzicami, więc to wszystko byłoby cholernie niezręczne.

– Dzięki, ale nie będę ci robić kłopotu. Tylko pokieruj mnie do najbliższego hotelu w mieście – poprosiłam.

– Jasne, ale wiedz, że dla mnie to nie byłby żaden kłopot – zapewnił, a ja się uśmiechnęłam błado.

– Pójdę po rzeczy i możemy jechać.

Adam skinął głową i ponownie wrócił do obserwowania okna, za którym wciąż pracowała ekipa techniczna. Kilkanaście minut później, zaopatrzona w małą torbę podróżną i laptop, wróciłam do kuchni.

– Możemy jechać, o ile ty również możesz już się stąd zabrać – dałam znać Adamowi.

– Mogę, jutro mam się pojawić na komisariacie, żeby złożyć zeznania – powiedział, gdy mijaliśmy mundurowego, który odsunął się, żeby wypuścić nas z domu.

Obserwował nas uważnie, jakbyśmy schowali gdzieś za pazuchą jeszcze brudny od ziemi szpadel. Podeszliśmy do swoich aut, które na szczęście były zaparkowane od strony podwórza i jeszcze nie zauważyli nas ani dziennikarze, ani gapie. Adam wbił w mojego GPS-a w telefonie adres hotelu i się pożegnaliśmy.

Ku mojemu zdziwieniu podjazd był już niemal pusty, tylko kilku wyrostków z rowerami stało w oddali i nagrywało coś telefonami. Wątpiłam, czy byliby w stanie coś zarejestrować z tej odległości, nawet policja się nimi nie zainteresowała.

Znak czasów, pomyślałam zmęczona i skręciłam z szutrowej drogi na szosę.

Zakop na dnie

Dochodziła dwudziesta druga, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiami wejściowymi na dole. Albo tak jej się tylko zdawało. Dzieci już dawno spały, ale ona nie mogła zmrużyć oka i była wrażliwa na wszelkie dźwięki dochodzące z domu. Andrzej od ósmej siedział w kuchni i poprawiał kartkówki. Przynajmniej tak jej powiedział, ale Ela przypuszczała, że to tylko wymówka. Odkąd przyjechali na Mazury, mijali się. W nocy, w ciągu dnia, w weekendy... Jakby Andrzej postanowił się wypisać z ich rodziny. Ela nie musiała już szukać naocznych dowodów jego zdrady, bo miał ją wypisaną w oczach i to wielkimi literami. Ale nie mogła go teraz o nic oskarżyć, bo też miała swoje grzechy. Również go zdradzała, chociaż to był wynik jego oziębłości i samotności, w którą ją wpędził, ale czy to ją tłumaczyło? Tylko przy tym nowo poznanym mężczyźnie nie czuła się taka bezwartościowa. Przy nim i przy dzieciach, które wciąż rozpaczały po stracie przyjaciół i znajomych.

I właśnie ten fakt pomógł jej ostatecznie podjąć decyzję, chociaż ta nie była wcale łatwa. Jednak w chwili, w której wreszcie Ela ją zaakceptowała, poczuła olbrzymią ulgę.

Do tego postanowienia przyczyniła się też sprawa Piotrusia, którego wciąż nie odnaleziono. Groza, jaką czuła na wspomnienie tamtych wydarzeń, trawiła ją od środka. Strach o dzieci ją pożerał. Kobieta czuła, jak z dnia na dzień coś ją osacza. Coś lepkiego jak pajęczna sieć albo smoła. Miała wrażenie, że wkrótce będzie jej trudno oddychać, dlatego musiała stąd uciec.

Podeszła do okna i rozsunała zasłony, spojrzała na pustą ulicę oświetloną słabym światłem latarni, na której co noc wyglądała zaginionego chłopca. To było silniejsze od niej. Po prostu nie mogła się pogodzić z faktem, że można ot tak zniknąć i nie pozostawić po sobie choćby skrawka czegokolwiek.

Westchnęła ciężko i oparła czoło o zimną szybę.

Musiała wrócić do domu. Zabrać dzieci i wrócić tam, gdzie ich miejsce. Ela przywiązywała się do ludzi, ale w równym stopniu też do miejsc i strasznie tęskniła za Kartuzami, w których się urodziła. Tęskniła za weekendami spędzonymi na plaży i spacerami brzegiem morza. Potrzebowała zachodów słońca nad Bałtykiem i zapachu sosnowego lasu rosnącego tuż przy plaży. To wszystko było jej prawdziwym domem, dlatego dwa dni temu zadzwoniła do adwokata, którego znalazła w sieci...

Nie widziała już szansy dla ich małżeństwa, a im bardziej starała się to wszystko podtrzymać, tym bardziej zaczynało się sypać. Liczne zdrady, plotki, niekończąca się

samotność i brak perspektyw. Nie mogła tak dalej żyć.

Wczoraj wieczorem, podczas nieobecności Andrzeja, poruszyła z Kingą i Arkiem temat powrotu, na co oboje zareagowali bardzo entuzjastycznie, napełniło ją to otuchą. Nie powiedziała jeszcze, kiedy do tego dojdzie, ale zapewniła ich, że wkrótce. Być może święta Bożego Narodzenia spędzą w Kartuzach, z babcią i dziadkiem, za którymi też bardzo tęsknili.

Ela chciała wrócić do pracy, przez co cały czas kłóciła się z Andrzejem. Z wykształcenia było geodetką i zanim zaszła w pierwszą ciążę, pracowała w zawodzie tylko trzy lata. Lubiła to, nie musiała bezpośrednio kontaktować się z ludźmi, co bardzo jej odpowiadało. Po urlopie macierzyńskim Andrzej jednak ją przekonał, żeby została w domu z Arkiem. Nie mógł znieść myśli, że dzieciak będzie musiał iść do żłobka. No więc została, chociaż wcale im się nie przelewało. Andrzej łapał fuchy, bo z pensji nauczyciela nie wystarczało na życie.

Gdy Arek skończył cztery lata, zamierzała zapisać synka do przedszkola i nareszcie wrócić do pracy, ale wtedy okazało się, że znowu jest w ciąży i historia się powtórzyła. Z perspektywy czasu Ela wiedziała, że popełniła błąd. Dała się zapędzić w miejsce, w którym nigdy nie chciała się znaleźć. Być może paradoksalnie potrzebowała niechcianej przeprowadzki na Mazury, by uświadomić sobie pewne kwestie. Może wreszcie miała się przebudzić?

Trzaśnięcie drzwiami wejściowymi powtórzyło się. Tym razem głośniejsze. Ela oderwała głowę od chłodnej szyby i przeszła boso do przeciwległej części domu, żeby wyrzeć na posesję od strony podwórza. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jej mąż znika w zaroślach obrastających bramę na tyłach podwórza. Kobieta, tknięta przecuciem, w pośpiechu zbiegła na dół. Założyła puchową kurtkę i adidasy. Wyszła na zewnątrz i zadrzała, gdy mroźny, listopadowy podmuch polizał jej gołe łydki. Minęła worki ze śmieciami, a potem kołyszącą się na wietrze huśtawkę. Wtedy usłyszała cichą, ale nerwową rozmowę. Jeden z głosów na pewno należał do jej męża.

Może właśnie teraz zyska dowód zdrady? Może to wszystko przyspieszy i przypieczętuje?

Prawie bezszelestnie ominęła największe zarośla i dotarła do obrośniętego ogrodu, w którym znajdowała się szpara. Znalazła ją kiedyś przypadkiem, gdy próbowała powycinać największe gałęzie.

Przykucnęła obok krzaka jeżyn i zastygła w bezruchu. Stąd mogła dostrzec Andrzeja i jakąś osobę znajdującą się po drugiej stronie ogrodzenia. Nie widziała jej dobrze, bo postać była niska i ledwie wystawała ponad chaszczę.

– ...nie mam zamiaru! – syknęła.

Serce waliło jej jak młot i bała się, że zdradzi jej położenie, mimo to tkwiła przy ogrodzeniu i słuchała. Nie rozumiała już nic.

– Czyli co? Wydasz mnie? – zapytał z rozbawionym powątpiewaniem jej mąż.

– To się wyda. Prędzej czy później. Nie da się wszystkiego tak po prostu zasypać ziemią – skwitowała kobieta, której głos brzmiał dość dojrzałe i gorzko.

Czyli to nie była nastolatka, jedna z dziewczyn, z którymi zadawał się jej mąż. Tak, te plotki docierały do niej. Nie od obcych, ale od jej przyjaciela.

– Wtedy to już nie będzie miało żadnego znaczenia – dodał Andrzej z zadowoleniem.

– Wyjeżdżasz? – zapytała z ulgą.

– Tak.

– Kiedy?

– Wkrótce – odparł cicho. – Muszę tylko pozałatwiać kilka spraw – dodał.

– A oni? – zapytała kobieta, na co Andrzej odwrócił się w stronę domu i westchnął.

– Pojadą ze mną. Jesteśmy rodziną – odpowiedział, wtedy Ela oprócz kompletnej dezorientacji poczuła też olbrzymią wściekłość.

Czy znowu planował wyprowadzkę, nawet nie wspominając jej o tym ani słowem? Jakby ona i dzieci byli domowymi sprzętami, które można sobie przynieść z jednego miejsca na drugie? I kim jest ta kobieta?

Miała ochotę wyskoczyć z krzaków i dowiedzieć się, o co tu chodzi, ale instynkt nakazał jej siedzieć cicho.

– A co z tamtym? – zapytała kobieta, a w jej głosie Ela usłyszała znużenie.

– Wszystko załatwione. Możesz spać spokojnie – zapewnił Andrzej.

– Taaa – zachnęła się nieznajoma. – Bo z tobą to kiedykolwiek można spać spokojnie – dodała z olbrzymim westchnieniem. – Wyjedź stąd. Jak najszybciej. A najlepiej sam. Zostaw ich. Zniknij i już nie wracaj – rzuciła, a potem Ela usłyszała oddalające się kroki.

Andrzej jeszcze chwilę stał w miejscu, ale zaraz zaszeleściły liście pod jego stopami. Ela wycofała się w gęste zarośla i ukryła w ich cieniu. Słyszała, że się zbliża, dlatego znieruchomiała i na moment przestała oddychać. Jej mąż zatrzymał się na wysokości krzaków, w których stała i zrobił krok w jej stronę. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Skojarzyło jej się to z drapieżnikiem, który próbuje wywęszyć swoją ofiarę.

Serce waliło jej jak oszalałe, a ręce zaczęły drżeć. Czy to był strach? Bała się własnego męża, z którym przeżyła kilkanaście lat? Przez ułamek sekundy pomyślała, że może powinna wyjść. A najlepiej wyskoczyć, zaśmiać się i powiedzieć, że chciała go tylko nastraszyć, ale dziwny niepokój chwytający ją za gardło jej na to nie pozwolił. Instynktownie czuła, że mąż nie powinien wiedzieć, że podsłuchiwała tę rozmowę.

Wreszcie Andrzej się wycofał i ruszył w stronę domu. Po jej karku popłynęła zimna kropla rosy, którą strąciła z liścia. Zadrżała. Odczekała kolejne sekundy i powoli wyłoniła się z kryjówki, a potem pospiesznie skierowała się do wejścia od strony piwnicy. Tam w kompletnych ciemnościach ruszyła do drzwi prowadzących na górę. Drogę знаła na pamięć, nie potrzebowała do tego światła.

Ominęła zdradziecki stopień, o który cały czas potykał się jej syn, i schodami dotarła na górę. Nasłuchiwała, czy ktoś jest w korytarzu, a gdy niczego nie usłyszała, otworzyła drzwi i wyjrzała zza nich. Korytarz oświetlała słaba poświata docierająca z kuchni. Na palcach dotarła do wiatrołapu i w pośpiechu zrzuciła z siebie puchówkę i buty. Właśnie się odwróciła, żeby przemknąć na górę do sypialni, kiedy z kuchni wyłonił się Andrzej. Na jej widok zmarszczył brwi.

– Co jest? – zapytał. – Wychodziłaś?

– Ja? Skąd? – odparła całkiem normalnym tonem, który przyszedł jej z olbrzymią trudnością.

Jej serce wciąż wściekle galopowało z nerwów i pośpiechu.

– Wydawało mi się, że słyszę trzaśnięcie drzwiami i chciałam to sprawdzić – wyjaśniła, obejmując się ramionami.

– Ach tak. Wynosiłem śmieci – wypluł z siebie kłamstwo, tak jakby to był jego chleb powszedni. – Idź na górę, bo zmarzniesz – dodał.

I wtedy zrozumiała... Tak, to był jego chleb powszedni. Andrzej był permanentnym kłamcą. Nie mogła mieć pewności, czy kiedy otwiera usta, to wylatuje z nich prawda

czy łgarstwo, a ona sama nie potrafiła już tego rozpoznać. On chyba już też tego nie odróżniał. Ta świadomość uderzyła w nią tak mocno, że Ela nie była w stanie wydusić z siebie słowa, dlatego weszła na schody i w ośpieniu powłokła się do sypialni, a właściwie pokoju niewiadomego przeznaczenia, do którego wstawili dwuosobowe łóżko.

Podeszła do okna i wyrzała na pustą ulicę, po której hulał wiatr. Mocne podmuchy wzbijały w powietrze liście. W jej sercu zakorzenił się strach i zaczął oplatać swoimi pnączami każdy zakątek klatki piersiowej.



Pokój hotelowy, w którym spędziłam noc, był całkiem schludny, a łóżko wygodne, ale zasnęłam dopiero nad ranem. O ile coś na krawędzi jawy i dziwnych majaków można nazwać snem. Zresztą trudno było się dziwić.

Rozmowa z mamą nie należała do łatwych. Rodzice nie byli w stanie uwierzyć, że w ogrodzie babci znaleziono zwłoki, które najprawdopodobniej były szczątkami zaginionego przed rokiem chłopca. Mama doznała szoku, słuchawkę przejął tata. Nakazał mi jak najszybszy powrót do Szkocji, a najlepiej przyjazd na kilka tygodni do nich, ale taktownie odmówiłam. Nie tylko ze względu na swoje śledztwo, nie mogłam jeszcze opuszczać tych okolic, bo musiałam być do dyspozycji policji.

Rozumiałam, że się martwili, ale byłam dorosła i musiałam stawić czoło sytuacji, nawet jeśli przyprawiała mnie o rozstrój emocjonalny.

Gdy się dobudziłam, jeszcze w piżamie, wybrałam numer Felixa. Musiałam z kimś o tym pogadać, a najlepszy przyjaciel wydawał się idealnym kandydatem. Felix po moich rewelacjach zaniemówił, co nie zdarzało mu się zbyt często i było najlepszym dowodem na to, jak jest wstrząśnięty. On również podjął próbę namówienia mnie do powrotu.

– Kochanie, co tam się odpierdala w tej twojej mieścinie? – zapytał z tym swoim charakterystycznym edynburskim akcentem, zrozumiałym jedynie dla tubylców.

Nawet mnie, mieszkającej w Edynburgu od kilkunastu lat, było czasami trudno go zrozumieć.

– Żebym to ja wiedziała. – Westchnęłam. – Wiem jedno, tu już nie chodzi tylko o Mateusza – dodałam.

– Jesteś pewna, że chcesz się mieszać w coś tak popierdolonego? Przecież tu chodzi o śmierć dziecka, na litość boską. Myślisz, że to w ogóle ma coś wspólnego z twoim byłym?

– Nie mam pojęcia, ale spójrz na ten dziwny splot – mówiąc to, wyciągnęłam z torebki moleskin. – Dom, w którym mieszkała nieżyjąca rodzina, sąsiaduje z domem rodziców zaginionego chłopca. – Narysowałam dwa budynki i oznaczyłam je numerami jeden i dwa. – To jest wspólny mianownik tych dwóch wydarzeń. Sąsiedztwo – powiedziałam, podkreślając moje prowizoryczne rysunki.

– Tak, to jest akurat dziwne, ale niewykluczone, że to czysty przypadek – stwierdził Felix.

– Okej, niech będzie, że tamto to zwykły przypadek, ale jak wytłumaczyć fakt, że ciało zaginionego chłopca, o ile oczywiście potwierdzą, że chodzi o Piotrka, znalazło się na działce moich nieżyjących dziadków?

– Nie mam pojęcia – stwierdził.

– A co jest wspólnym mianownikiem wczorajszego odkrycia i prośby Mateusza?

– Ty? – powiedział niepewnie Felix.

– Tak, ja – przyznałam szeptem.

– Ale co z tego wynika?

Narysowałam ludzika, który miał obrazować moją skromną osobę. Umieściłam siebie przy domu numer trzy, czyli przy gospodarstwie moich dziadków. Obok narysowałam nawet wielki dąb, pod którym jakiś psychol zakopał to nieszczęsne dziecko.

– Jeszcze nie wiem, ale to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Może ja jestem tu przypadkową zmienną – powiedziałam, umieszczając rysunkową postać w nawiasie – która stała się też łącznikiem tych wydarzeń. – Uderzałam długopisem w kartkę.

– To jest jakieś chore i martwię się o ciebie – skwitował Felix. – Przecież ktoś, kto zamordował tego dzieciaka, a potem zakopał w ziemi, może mieszkać gdzieś w pobliżu.

– Nie martw się. Jest okej – zapewniłam i zmieniłam temat. – Jak ma się mój kocur?

Upewniwszy się, że Aston czuje się dobrze, pożegnałam się z przyjacielem i weszłam pod prysznic. Wczoraj byłam zbyt zmęczona, żeby się zdobyć na taki wysiłek.

Przez myśli przemknął obraz Adama nachylającego się do pocałunku. Nad czym to zastanawiałam się wczoraj wieczorem? Nad odwróceniem uwagi. Zastygłam

w bezruchu. Woda lała mi się po plecach, a ja nie mogłam się poruszyć.

Przypomniałam sobie pytanie Ligockiego o moje i Adama pierwsze spotkanie po latach. Zapewniłam policjantów, że to był całkowity przypadek, ale czy na pewno? Przecież istniało duże prawdopodobieństwo, że to on zablokował coś w piecu, a że był jedynym serwisantem w mieście, mógł przewidzieć, że się do niego zgłoszę. Ba! Przecież to on mógł go mojej babci zakładać. Znał podwórko, mógł wiedzieć, gdzie znajdzie jakieś narzędzia, żeby wykopać dół... a na wieść o moim powrocie przestraszył się i postanowił mnie wy badać.

Szum wody z prysznicza klarował mi myśli. Porządkował je. Przypomniałam sobie naszą rozmowę w barze o jego abstynencji. Że nie pije od czasu wypadku Mateusza, ale może to nie wypadek przyjaciela sprawił, że przestał pić alkohol? Może zabił dzieciaka i wywiózł go samochodem, a potem...

Zakręciło mi się od tego wszystkiego w głowie.

Wyszłam z kabiny i owinęłam się dużym, białym ręcznikiem, usiadłam na łóżku i spojrzałam na schemat rysunkowy. Sięgnęłam po długopis i narysowałam jeszcze jedną postać, tym razem był to Adam.

Kolejny mianownik.

Po śniadaniu wsiadłam w samochód i pojechałam do domu. Musiałam sprawdzić, co się tam dzieje. W drodze zadzwonił telefon. Odebrałam na głośnomówiącym.

– Hej! – Usłyszałam głos Adama.

Tym razem na ten dźwięk nie poczułam przyjemnego zaciekawienia, tylko dziwny skurcz w żołądku. Odchrząknęłam i odpowiedziałam takim samym przywitaniem.

– Byłam na komisariacie – oznajmił, a mnie przyspieszyło serce.

– I o co cię pytali? – indagowałam zaintrygowana.

– O to, jak to się stało, że byłem tam z tobą. Skąd się znamy. Czy bywałem tu wcześniej. – Zaśmiał się nerwowo. – Czy w ostatnim czasie nie kopałem jakichś dołów na tej posesji i takie tam.

Mimo sytuacji i przejmującej mnie grozy na myśl o powrocie do domu, uśmiechnęłam się. Czarny humor zawsze był mi bliski.

– Standard – skwitował żartobliwie. – Muszę sobie przypomnieć alibi na czas zniknięcia Piotrka, ale to będzie trudne, bo minął ponad rok. – Westchnął. – Myślę, że szukają kozła ofiarnego albo przynajmniej tymczasowego podejrzanego, bo chcą się zrehabilitować za to, że zbagatelizowali jego zniknięcie w pierwszych godzinach, a potem za późno ściągnęli psy tropiące.

– Czyli to już pewne, że ten chłopiec to Piotrek? – zapytałam, gdy skręciłam w drogę prowadzącą na posesję dziadków.

Nie wychodziłam jednak z auta. Oparłam głowę o zagłówek fotela i zamknęłam oczy, ale to był błąd, bo natychmiast przed moimi oczami pojawiła się brudna, koścista dłoń.

Wzdrygnęłam się.

– Na badania genetyczne trzeba będzie poczekać, ale rodzice rozpoznali jego ubranie – powiedział zduszonym głosem. – Widziałem ich na komisariacie. Jezu, to dwa ludzkie wraki.

– Nie dziwię się – powiedziałam szeptem i westchnęłam ciężko.

Nie mogłam sobie wyobrazić nic gorszego od utraty dziecka, mimo że sama nie byłam matką. Po prostu świadomość, że nie potrafiło się ochronić tego małego człowieka, za którego było się całkowicie odpowiedzialnym, chyba by mnie zabiła.

Musiałam odsunąć uczucia, bo sprawa, która praktycznie wydawała się nie do wyjaśnienia, teraz skomplikowała się jeszcze bardziej.

– Jesteś tam? – zapytał Adam.

– Tak, jestem. Posłuchaj. – Ponownie odchrząknęłam. – Wiesz może, kto wymieniał piec u mojej babci?

Nie zabrzmiało to subtelnie, a Adam nie był idiotą, ale musiałam się tego dowiedzieć.

W słuchawce zapadła chwilowa cisza.

– Nie pamiętam, ale mogę sprawdzić. – Jego głos zabrzmiał normalnie, jakby nie domyślał się, do czego dążę.

– Byłabym wdzięczna.

– A dlaczego chcesz to wiedzieć? Chcesz wiedzieć, czy to byłem ja? – zapytał z udawanym rozbawieniem. – Czy byłem tu wcześniej i wiedziałem, jak zablokować podajnik, żebyś zadzwoniła po serwis? – dodał w tym samym tonie.

Nie odpowiedziałam. Wsiadłam z auta, bo potrzebowałam zaczerpnąć świeżego powietrza. I musiałam zapalić.

– Ty naprawdę tak myślisz?! – powiedział jakby do siebie. – Uważasz, że miałem coś wspólnego z zabiciem tego dziecka?

– Tego nie powiedziałam. – Sięgnęłam do schowka po paczkę papierosów, z której wyciągnęłam jednego i natychmiast przypaliłam. Końcówka rozjarzyła się pod wpływem pierwszego zaciągnięcia się.

– A co próbujesz powiedzieć? Że zjawiłem się u ciebie, ponieważ chciałem się dowiedzieć, jak się rozkładają zwłoki Piotrka? – rzucił.

– Przestań – szepnęłam i wypuściłam z ust kłęb dymu. – Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi. Ja po prostu próbuję to wszystko zrozumieć, bo w tej chwili nic się nie klei i nie wiem, jak mam działać w sprawie Mateusza, skoro na moim podwórku znaleziono ciało dziecka! – prawie krzyknęłam do słuchawki.

– Nic nikomu nie zrobiłem – powiedział po chwili zupełnie spokojnym głosem, jakby rozumiał, że moje wątpliwości są uzasadnione.

– Okej – odparłam, chociaż nie miałam pojęcia, co oznacza to „okej”.

Wierzę ci? Pogadamy o tym później? Muszę to sprawdzić?

– Muszę kończyć. – Usłyszałam i po chwili w telefonie zapadła cisza.

Ostatni raz zaciągnęłam się papierosem i zgasiłam niedopałek obcasem. Zerknęłam na paczkę fajek w rękach i skrzywiłam się. Była prawie pusta. Zostały dwa papierosy. Nie powinnam była jej w ogóle kupować. Zgniotłam opakowanie wraz z zawartością i wrzuciłam do schowka.

Przełknęłam ślinę i ruszyłam w stronę domu. Przy furtce stał mundurowy. Nie chciał mnie wpuścić.

– Mieszkam tu. – Wskazałam głową budynek, a gdy ten zrobił zdziwioną minę, dodałam: – Olga Linga. Dom należał do moich dziadków.

– Miejsce jest jeszcze pod nadzorem policji. Nie wolno tam wchodzić – powiedział wyuczonym tonem.

– Ale ja chciałabym zabrać trochę swoich rzeczy, bo musiałam się zatrzymać w hotelu i...

– Wpuść panią. – Dobiegło nas zza pleców policjanta.

Ten drgnął i zrobił krok w tył.

– Dziękuję – powiedziałam z satysfakcją i wyszłam na spotkanie Ligockiemu.

Komisarz był ubrany w skórzaną kurtkę, wąskie, ciemne dżinsy i wyglądał na wypoczętego. Najpewniej nie spędził nocy razem z technikami na miejscu znalezienia zwłok ani w jakimś hotelu, jak ja.

– Dzień dobry – przywitał mnie z lekkim, flirciarskim uśmiechem.

Musiałam przyznać, że Ligocki to całkiem przystojny mężczyzna. Do tego dość inteligentny, czego nie można powiedzieć o większości przedstawicieli prawa, z którymi miałam do tej pory do czynienia.

– Czy mogę wejść do środka? – zapytałam bez ceregieli.

Nie miałam ochoty na flirty i żadne półsłówka. Chciałam z powrotem znaleźć się w swoim pokoju. Czy będę mogła w nim zasnąć, wiedząc, że nieopodal ktoś zakopał ciało dziecka? Nie byłam pewna, ale nie mogłam pozwolić na to, żeby odebrano mi dobre wspomnienia i poczucie bezpieczeństwa, jakich zaznałam w tym małym domu.

– Najpewniej dzisiaj późnym popołudniem – odparł niezrażony moim tonem.

– Czy już potwierdzono tożsamość... dziecka? – Przystanąłam i spojrzałam w stronę otoczonego taśmą policyjną terenu wokół dębu.

– Nie mogę udzielać takich informacji.

Wywróciłam oczami.

– Chciałabym coś zabrać ze swojego pokoju – oświadczyłam i nie zamierzałam prosić o pozwolenie.

Ligocki zaprosił mnie do środka gestem ręki. W pośpiechu i stresie zapomniałam o ładowarce do laptopa, która wciąż tkwiła w gniazdku obok łóżka. Potrzebowałam jej na równi z ładowarką do telefonu. Rozglądałam się po pokoju pod czujnym okiem Ligockiego. Nie wiedział, że szukam listu od Mateusza, który od pewnego czasu zaczynałam traktować jak talizman. Wczoraj wieczorem zauważyłam jego brak. Wyciągnęłam pomiętą kartkę, żeby przed snem raz jeszcze przeczytać to wyznanie i zapomniałam o nim, gdy w pośpiechu pakowałam się do hotelu.

Nigdzie jej nie widziałam.

– Tego pani szuka? – zapytał komisarz, a ja odwróciłam się do niego gwałtownie.

W rękę trzymał mój talizman.

– Tak, tego – wyszczałam, podeszłam do niego szybko i wyciągnęłam w jego kierunku otwartą dłoń.

Mężczyzna położył na niej list, a ja natychmiast schowałam go do kieszeni. Byłam wściekła na siebie, że o nim zapomniałam. To moja tajemnica, a teraz wiedział o niej cały zastęp policji. Świetnie.

– Czyli chce pani udowodnić, że Karczewski był niewinny? – Podniósł znacząco brwi.

Na szczęście w jego tonie nie było kpiny, co tylko bardziej by mnie rozeźliło.

– Nie. Chcę się dowiedzieć, kto był faktycznym sprawcą tego wypadku – odparłam pewnym głosem.

– Czyli chce pani podważyć pracę policji?

– Praca policji polegała na orzeczeniu o winie Mateusza, bo jechał po dwóch piwach. Opinii publicznej też wystarczyło tylko tyle, ale czy ktoś przyjrzał się rodzinie Borkowskich? Czy ktokolwiek chociaż zastanowił się nad tym, co mówił Mateusz? – zapytałam, mrużąc oczy. – Co, jeśli miał rację? Co, jeśli to Borkowski z jakiegoś powodu próbował spowodować wypadek? Ale po co, przecież trzeba by wszcząć śledztwo, a to już kłopot – podniosłam głos.

Ligocki patrzył na mnie bez słowa, wreszcie westchnął i oderwał ramię od futryny, o którą się opierał.

– Borkowska złożyła pozew o rozwód – powiedział jakby nigdy nic. – Na dwa tygodnie przed wypadkiem.

– Co? – prawie pisnęłam.

– Zejdźmy na dół – stwierdził i ruszył w stronę schodów.

Dałam sobie chwilę, żeby ochłonać i przyswoić tę informację. Kiedy się uspokoiłam, zesłam na dół. Ligocki, który powiesił swoją kurtkę na oparciu krzesła, został w prostym, szarym T-shircie z długim rękawem. Zauważyłam, że czuł się w naszym domu jak u siebie.

– Mogę sobie zrobić kawy? – zapytał, podchodząc do czajnika.

Rozłożyłam ręce w geście łaskawego przyzwolenia. Od razu zabrał się do zaparzania.

– Pani się napije? – zapytał, odwracając do mnie głowę.

– Niech będzie – zgodziłam się i podjęłam temat, który zaczęliśmy na górze: – Wiedział pan o tym, że Aniela Borkowska złożyła pozew o rozwód?

– Dowiedziałem się o tym niedawno – odparł spokojnie.

– Jak to? – zdziwiłam się.

Nic nie rozumiałam. Dlaczego nikt nie sprawdził tego wcześniej? Przecież to mógł być powód, dla którego ojciec i mąż rodziny chciał doprowadzić do śmiertelnego wypadku. Takie przypadki się zdarzały? Nawet częściej, niż się spodziewamy. Wypowiedziałam te myśli na głos.

Mężczyzna zalewał właśnie wrzątkiem dwie kawy. Postawił je na stole.

– Mleka? Cukru? – zapytał.

Jego nonszalanckie zachowanie doprowadzało mnie do szału, ale nie chciałam dać tego po sobie poznać. Czułam, że bardzo by go to zadowoliło.

– To i to – odpowiedziałam, a on postawił przede mną cukiernicę i mleko, które znalazł w lodówce.

Naprawdę czułam się tu swobodnie, pomyślałam złośliwie.

– Po pani wizycie o czymś sobie przypomniałem, a że akurat miałem trochę czasu, przyjrzałem się pewnym sprawom ponownie. Niby zwyczajna, normalna rodzina, ale tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak zwyczajna, normalna rodzina. W każdej znajdziemy wstydlive tajemnice, skandale i tego typu ciekawostki. – Upił łyk kawy.

– I czego się pan dowiedział? – zapytałam, chociaż czułam pod skórą, że to nie będzie takie łatwe.

Tak jak sądziłam, nie wyrywał się do odpowiedzi. Ponownie się uśmiechnął.

– Wie pani, że nie mogę się z panią dzielić takimi informacjami – powiedział po chwili.

Jego ciemne oczy delikatnie się zwęziły.

– Aha. Ale rozumiem, że w świetle tych nowych informacji wznowicie śledztwo?

Uciekł ode mnie spojrzeniem.

– To nie jest zadanie dla nas. Wszystkie osoby tego dramatu nie żyją. Czy uważa pani, że wszczynanie śledztwa coś by im w tej chwili pomogło?

Prychnęłam pogardliwie.

– A po co tu przyjechałam? – rzuciłam, podnosząc się z krzesła. – Właśnie po to, żeby oczyścić imię tego, który już sam nie może się bronić.

– A co z imieniem rodziny Borkowskich? – zapytał.

– Raczej co z Andrzejem Borkowskim, bo jeśli był odpowiedzialny za ten wypadek, to winę ponosi tylko on. To on zamordował własną rodzinę i ludzie

powinni się o tym dowiedzieć! Przecież to jest właśnie ta sprawiedliwość, o której tak wszyscy trąbią na prawo i lewo.

– Szukanie sprawiedliwości jest przereklamowane – próbował mnie chyba rozbroić tą ironią, ale to nie pomogło, a wręcz przeciwnie, zadziałało na mnie jak płachta na byka i chyba to zauważył, więc zaraz dodał: – Nie mamy pewności, czy to był jakikolwiek katalizator, a może to w ogóle nie miało znaczenia.

– Aha. Czyli rodzinka tuż przed rozwodem wyjeżdża sobie na wspólną wycieczkę w środku tygodnia, w czasie roku szkolnego. Nagle. – Zaśmiałam się sztucznie. – Nic tu nie śmierdzi! Nic a nic!

– Nie twierdę, że tak jest. Po prostu nie mamy na to wystarczających dowodów. Nikt na tej podstawie nie podejmie na nowo śledztwa, nie mówiąc o przyznaniu na nie jakichś środków – powiedział i wyczułam, że będzie jakieś ale, i nie pomyliłam się. – Ale przekazałem tę sprawę do mojego znajomego z wydziału Archiwum X. Ma się temu przyjrzeć – zakończył.

Ta informacja mnie zaskoczyła. Oczywiście, wiedziałam, że nie zrobił tego dla mnie, ale dlatego że od początku coś mu tam nie pasowało. Nie mógł się tak oficjalnie przyznać do swojego zaniedbania, dlatego w ten sposób próbował zadośćuczynić w tej sprawie. Dla Mateusza to i tak za późno.

– Niczego nie obiecuję. Ja zresztą też nie mogę niczego obiecać, ale faktycznie, jest w tej sprawie jakieś drugie dno. Zważywszy na to, że o naszym facecie krążyły nieciekawe opowieści w poprzedniej jego pracy... co potwierdziła dyrektorka tamtej szkoły – powiedział.

Napiłam się kawy. Jej kwaskowaty smak sprawił, że omal się nie skrzywiłam. Cukier jednak pomógł.

– Ma pan na myśli brudy związane z romansowaniem z uczennicami?

Komisarz Ligocki podniósł wysoko brew.

– Wie pani o tym? – W jego głosie wybrzmiało najprawdziwsze zdziwienie.

– Też mam swoje źródła – odpowiedziałam z satysfakcją.

– Właśnie widzę. – Napił się kawy, nie odrywając ode mnie wzroku, co lekko mnie speszyło.

– Czy wiadomo już, co się stało z chłopcem? Jak zginął? – zapytałam, żeby przejść do następnej sprawy, która nie dawała mi zasnąć.

– Pani Olgo, po pierwsze to nie CSI, tylko prawdziwe życie i nie znamy wyników autopsji zaraz po znalezieniu zwłok. Po drugie, czy myśli pani, że zdradziłbym dziennikarce takie informacje?

Wywróciłam oczami.

– Rozumiem, że nie ma na razie sensu pytać, dlaczego ktoś zakopał go akurat na posesji moich nieżyjących dziadków?

Ligocki założył ręce na piersi z ciężkim westchnieniem.

– Trudno powiedzieć, ale wychodzi na to, że mógł wiedzieć, że nikt tu nie mieszka i dom stoi pusty. – Wzruszył ramionami. – Ale to jeszcze jest w toku.

– Czy nie dziwi pana ta zbieżność? – zapytałam i streściłam mu moje spostrzeżenia co do faktu, że chłopiec mieszkał w najbliższym sąsiedztwie Borkowskich.

– W tej chwili nie można stwierdzić, czy to zbieg tragicznych okoliczności, czy jest w tym coś więcej – odparł oględnie, jak na glinę przystało.

Doszłam do wniosku, że niczego więcej się od niego nie dowiem, dlatego wstałam, wylałam resztkę kawy do zlewu i umyłam kubek. Cały czas czułam na sobie czujny wzrok komisarza.

– Pani Olgo – zaczął łagodnie. – Radziłbym pani zaprzestać grzebania w przeszłości – powiedział. – Przynajmniej na razie, dopóki nie znajdziemy tego, kto to zrobił. Ten wariat może być w pobliżu.

Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Tak, zdawałam sobie z tego sprawę, ale czy mogłam się teraz zatrzymać?

Odwróciłam się, wycierając ręce w ściereczkę.

– A co, jeśli nigdy go nie znajdziecie? – zapytałam, jakby rzucając wyzwanie.

Przecież gros takich spraw pozostaje latami albo przez całą wieczność bez rozwiązania i bez sprawiedliwego wyroku. Czy miałam czekać całą wieczność?

– Znajdziemy – oświadczył z pewnością siebie, co ku mojemu zdziwieniu spodobało mi się, bo świadczyło o jego determinacji.

Tak powinien mówić gliniarz. Tak powinien myśleć i działać.

– Oby – powiedziałam, chwyciłam torebkę i wyszłam z domu, jakby ten nie należał do mojej rodziny, tylko do kogoś innego.

Ligocki poszedł za mną. Przystanął. Przez pół godziny, które spędziłam w środku, zrobiło się strasznie zimno. Słońce schowało się za szarą, kłębiastą chmurą, która ciągnęła się przez niebo kilometrami. Miałam wrażenie, że ktoś zamknął nas w bańce napełnionej grozą. I być może tak właśnie było. Spojrzałam na majaczący za budynkiem gospodarczym dąb, którego gałęzie tańczyły na porywistym wietrze. W tej chwili skojarzyły mi się ze szponami przeczesującymi powietrze w poszukiwaniu kogoś, kogo mogłyby pochwycić.

– Już go tam nie ma – powiedział przy mnie Ligocki.

– Wiem – odparłam. – Tylko zastanawiam się, jak mam tu wrócić. – Spojrzałam mu w oczy.

– Możemy tu kogoś zostawić na noc. Zresztą i tak mieliśmy obserwować miejsce, na wypadek gdyby sprawca chciał się tu pojawić.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie ma takiej potrzeby, ale nie mam nic przeciwko, jeśli uznacie za ważne, żeby ktoś tu był – stwierdziłam.

Byłam wdzięczna, że coś takiego zaproponował, ale nie mogłam liczyć na to, że obecność jakiegoś policjanta zniweluje strach, który się we mnie zalał i powoli osaczał moje dziecięce wspomnienia.

– Czy Adam Anielewicz jest o coś podejrzewany? – zapytałam.

Ligocki pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Na razie nie, ale śledztwo dopiero się rozpoczyna – stwierdził i dodał: – Niech pani będzie ostrożna. – Odwrócił się i odszedł w stronę zabudowań gospodarczych.



Walentyna obserwowała wczorajszy harmider, który zwabił prawie całą wieś pod dom Sokołowskich. Trup dziecka. Tak mówili ludzie, ale nikt nie wiedział, jak się tam znalazł i czyje to było dziecko. Dopiero w porannych wiadomościach podali, że może chodzić o zaginionego chłopca, którego szukali od zeszłego lata. Chłopca. Walentyna odetchnęła z ulgą na wieść o tym.

Niepewność sprawiła, że nie mogła wieczorem usnąć. Męczyła się strasznie, dlatego wstała w środku nocy i zaczęła piec. Jak zawsze, gdy coś ją dręczyło. To był najlepszy sposób na wszelkie troski. Upiekła spód do sernika, a potem kilkakrotnie przemielila twaróg ręczną maszynką. Nie ufała gotowym masom ze sklepu. Woląla sama zadbać o odpowiednią konsystencję sera, który był przecież najważniejszym składnikiem sernika.

Punkt trzecia nad ranem na stole znalazły się dwie blachy gotowego ciasta, którego waniliowy zapach roznosił się po całym domu. Potem kobieta zabrała się do sprzątnia.

Była bardzo zmęczona. Poczula łupanie w krzyżu i stawach, które zostało jej po dziecięcym reumatoidalnym zapaleniu stawów i odzywało się przy zmianach pogody. Ale dzięki pieczeniu trochę się uspokoiła. Mimo wczorajszych wiadomości coś jej jednak w tym wszystkim nie pasowało. Dlaczego u Sokołowskich? Sama bywała tam tak często i nic nie widziała.

Prychnęła pod nosem na swoją głupotę. Przecież trupy, gdy są porządnie zakopane, nie informują o swojej obecności, pomyślała z ironią. Po prostu sobie leżą i użyźniają glebę. Nikt się nigdy o nich nie dowie, jeśli nie ma się pojęcia, gdzie ich szukać.

Wróciła myślami do Sokołowskich. Czy widziała tam kogoś kręcącego się wokół gospodarstwa? Raczej nie. No może poza serwisantem od tego nieszczęsnego pieca,

który który cały czas się zawieszał. Ale przecież ona była wtedy z nim i to chyba przed zaginięciem tego dzieciaka, myślała. Tak, na pewno. To była wiosna. Miśkę zabrała córka wiosną, a ona miała uruchomić piec przed jesienią. Potem miała go co jakiś czas odpalać w zimie, żeby nic nie pozamarzało, kontynuowała układanie wydarzeń w kolejności chronologicznej.

Poczuła, że nareszcie dopada ją senność, ale nie zamierzała się jeszcze kłaść.

Zaczynało świtać, gdy włożyła jesionkę, wsunęła gumowce i wyszła do ogrodu przed domem. Uwielbiała to miejsce, które napawało ją prawdziwą dumą. W każdym zakątku poletka znajdowały się wielobarwne kwiaty, rozkwitające o różnych porach roku, tak żeby zawsze było kolorowo. Z wyjątkiem zimy, rzecz jasna. Najbardziej kochała róże. Miała ich kilkanaście rodzajów. Uwielbiała odmianę wielkokwiatową w bordowym kolorze, która kwitła do późnej jesieni, a jej barwa przypominała Walentynie krew. Nic dziwnego, pomyślała, w końcu wyrosła w miejscu, które nasiąkło krwią.

Musnęła palcami delikatny płatek kwiatu, który w dotyku był jak jedwab. Uśmiechnęła się. W tym miejscu zawsze kwitły róże. I zawsze będą kwitły. Muszą, żeby nie zapomnieć. Nie wolno zapominać o ludziach, bo inaczej oni przestają istnieć. Jak długo ona będzie żyła, tak długo w tym miejscu będzie zasadzony krzew róży. Chociaż tyle mogła zrobić.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała w dal, gdzie mgła osiadła nad jeziorem i okalającymi je łąkami. Znowu uśmiechnęła się na wspomnienie wnuczki Miśki, która uciekała w popłochu, gdy ją zauważyła na drugim końcu Żabiego Jeziora. Dziewczyna była strasznie płochliwa. Bardzo łatwo ją przestraszyć.

Kobieta zarechotała w głos, a potem, cały czas chichocząc pod nosem, wróciła do domu.



Zaparkowałam przy budynku, który stał trochę na uboczu. Szyld na ogrodzeniu potwierdzał, że trafiłam pod właściwy adres. Na podjeździe stał też mały dostawczak, z logo firmy Adama.

Podeszłam do furtki i nacisnęłam dzwonek. Trwało to bardzo długo, nim usłyszałam, że drzwi wejściowe się otwierają. Na mój widok Adam nieznacznie podniósł brwi. Po tym, jak zakończyliśmy ze sobą ostatnią rozmowę, nie dziwiłam mu się.

Wolnym krokiem pokonał drogę do ogrodzenia i otworzył mi furtkę. Ubrany był w stare dżinsy i rozciągnięty T-shirt. Miał podpuchnięte oczy i rozczochrane włosy. Pewnie niedawno wstał. Było bardzo wcześnie, ale musiałam z nim pogadać.

Kolejna noc wypełniona krótkimi drzemkami okraszonymi koszmarami wykończyła mnie. Postanowiłam spędzić też następną dobę w hotelu. Nie mogłam się ostatecznie zebrać, żeby wrócić do domu. Ale nie mogłam tego dłużej odkładać, dlatego zjadłam śniadanie w hotelowej restauracji, wypiliśmy dwie kawy, wymeldowałam się, a potem przyjechałam tutaj, bo uważałam, że Adamowi należą się przeprosiny albo przynajmniej rozmowa.

– Cześć – przywitałam się.

– Cześć – odparł z widoczną rezerwą.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam i że nie przeszkadzam twoim rodzicom.

– Nie. Mieszkam sam. Nie spałem. – Ruszył do drzwi. – Wejdiesz?

Skinęłam głową.

Zaprosił mnie do jednego z pokoi, ku mojemu zdziwieniu, urządzonego bardzo nowocześnie. Chyba już z przyzwyczajenia nastawiłam się na coś w rodzaju pufiastej, skórzanej kanapy, meblościanki i kredensu. Nic z tych rzeczy. W salonie,

jak oceniałam przeznaczenie pomieszczenia, stała beżowa kanapa o kubistycznym kształcie, przy niej okrągły stolik, dębowa komoda, na niej telewizor, a w oknach wisiały długie, mięsiste zasłony w kolorze miodu. Podobało mi się.

– Napijesz się czegoś?

– Herbaty – poprosiłam i zaraz dodałam: – Jeśli to nie problem.

– Żaden. Zaraz wracam – odpowiedział, a ja wciąż czułam bijący od niego chłód i rezerwę. Podejrzewałam, że to będzie ciężka rozmowa.

Chwilę później Adam wrócił z dwoma parującymi kubkami. Jeden postawił na stoliku, drugi zostawił sobie w dłoniach. Usiadł naprzeciwko mnie w fotelu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Co cię do mnie sprowadza? – zagadnął. – Nie boisz się, że cię zamorduję i zakopię w ogródku? – dodał prowokująco.

– Praca dziennikarki, a zarazem detektywa obarczona jest takim ryzykiem. – Sięgnęłam po kubek z herbatą. – Ale czym byłoby życie bez ryzyka?

Chciałam, żebyśmy znowu zaczęli normalnie rozmawiać, dlatego musiałam wejść w tę jego konwencję czarnego humoru.

– Posłuchaj... – zaczęłam, ale Adam mi przerwał.

– Dobra. Nie było sprawy. To ja zachowałem się jak jakiś pojeb i na ciebie naskoczyłem. Znalazłaś się w strasznej sytuacji, a ja dołożyłem swoje – powiedział skruszony, nachylając się w moją stronę. – Nie chciałem tego, ale w pierwszej chwili strasznie się wkurwiłem, potem jednak przemyślałem wszystko i doszedłem do wniosku, że miałaś do tego prawo. Miałaś prawo zadawać pytania. Nie widzieliśmy się dobrych kilka lat. Kto wie, jak zmieniają się ludzie – stwierdził i opadł z głośnym westchnieniem na oparcie fotela. – Przepraszam.

Poczułam ogromną ulgę, bo sprzeczka z Adamem, moim jedynym sprzymierzeńcem tutaj, bardzo mi doskwierała. Na wspomnienie wczorajszych rozważań na temat jego winy dopadły mnie wstyd i wyrzuty sumienia.

– Ja też przepraszam – powiedziałam. – To wszystko mnie przerosło – wyznałam. – Nie wiem teraz, w którą stronę się ruszyć ze sprawą Matiego, bo wciąż jestem w szoku. Nie mogę się skoncentrować, w ogóle nie sypiam.

– To widać. – Uśmiechnął się nieznacznie, odpowiedziałam mu tym samym.

Chwilę milczeliśmy. Powiodłam spojrzeniem po pokoju i zatrzymałam się na przeszklonym barku, gdzie stało kilka butelek z drogimi alkoholami. Przypomniałam

sobie o czymś.

– Czy Mateusz już wcześniej siadał za kółkiem, będąc na podwójnym gazie?

Sam fakt, że zrobił coś tak nieodpowiedzialnego, był dla mnie zaskoczeniem. Pamiętam imprezy, na których zawsze znalazł się jakiś pijany idiota wskakujący za kierownicę, a z nim dziewczyna i ziomki, i potem z piskiem opon ruszali gdzieś przed siebie. Mateusz nigdy taki nie był. Gdy zdał egzamin na prawko, był uradowany jak dziecko i raczej wolał przejść pięćdziesiąt kilometrów pieszo niż narazić się na jego utratę. Ale jak mówił Adam, ludzie się zmieniali. Owca

Chłopak westchnął.

– Zdarzało mu się. Nie jakoś często, ale się zdarzało.

– Miał problemy z alkoholem? – zapytałam.

To nie było do niego podobne, ale kto wie, co się z nim działo przez ostatnie lata.

– Nie wiem. Widywaliśmy się na piwie, rzadziej na wódce. Nie imprezowałem wtedy, a on też był zajęty. Od czasu do czasu pomagał mi w zleceniach. Nie odniosłem wrażenia, żeby pił jakoś dużo więcej, ale tak jak mówię, nie widywaliśmy się w tamtym okresie tak często jak kiedyś. – Wzruszył ramionami, jednak zaraz dodał: – Najbardziej zmienił się po twoim wyjeździe.

Nie wiem, czy to było oskarżenie, czy zwyczajne stwierdzenie faktu, ale sama ta świadomość naprawdę mnie przygnębiła.

– Ja też się zmieniłam – odpowiedziałam.

– Nie wątpię. Byliście w sobie tak zakochani, że aż wam zazdrościłem. – Uśmiechnął się krzywo. – Tak zdrowo zazdrościłem.

– I co nam z tego przyszło. – Rozłożyłam ręce.

Adam zmarszczył czoło.

– Nie chodzi o skutek. Chodzi o samo przeżycie tego wszystkiego. A potem o wspomnienia. – Wzruszył ramionami.

Uśmiechnęłam się i w tej chwili naprawdę rozluźniłam.

– To prawda. Wspomnienia mam piękne – odparłam z rozrzewnieniem, ale zaraz wróciłam do tematu: – Nie miał problemów w pracy? Nie rozstał się z kimś albo coś takiego?

– Raczej nie. Przynajmniej ja niczego nie zauważyłem, ale może dlatego, że sam miałem dużo na głowie. – Przeczesał włosy z westchnieniem. – Wiesz co?

– Co? – zaciekałam się.

Adam wyglądał, jakby sobie o czymś przypomniął.

– Ja przez ostatnie dwie noce też nie mogłem zasnąć, a w nocy mi się najlepiej myśli – zawiesił głos i z ekscytacji podniósł się z fotela, a potem podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

– I co wymyśliłeś? – zachęciłam go, żeby kontynuował.

– Jeśli Mateusz mówił prawdę. Że to nie on wjechał w tę rodzinę – zaczął zamyślony – to zastanów się... Borkowski wjeżdża w przypadkowy samochód. Z całą rodziną.

– Samobójstwo rozszerzone – powiedziałam. – Też wzięłam to pod uwagę.

– Tak, coś takiego, ale całą noc myślałem, jaki miałby powód. Marzena opowiadała, że to był pewny siebie i zadowolony z życia koleś. Może nawet za bardzo – mówił dalej z nutą ekscytacji.

– Ponoć kazali mu złożyć papiery, bo doszło do jakiegoś skandalu w kartuskim ogólniaku – dołożyłam. – Pewnie sypiał z uczennicami. Gdyby chodziło o molestowanie, gwałt albo coś takiego, poszedłby siedzieć, a już na pewno nie mógłby pracować w szkole. To nie parafia, do której można by go przenieść – dodałam z sarkazmem.

– No nie. Dlatego to pewnie chodziło o jakiś romans z nastolatką, ale za obopólną zgodą – powiedział Adam. – Jednak czy to jest powód do samobójstwa i zabijania całej rodziny? – zapytał z powątpiewaniem.

– Wydaje mi się, że nie, ale kto wie, kim tak naprawdę był Andrzej Borkowski – przypomniłam sobie to, co powiedział mi śledczy. – Ponoć jego żona chciała się z nim rozwieść.

Adam odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

– Skąd wiesz?

– Od komisarza Ligockiego. Wiedzieli o tym wcześniej, ale to nie był żaden powód dla śledztwa czy przyjrzenia się zeznaniom Mateusza. Po prostu odhaczyli ten news w kajetach – powiedziałam z niesmakiem. – Dodał tylko, że przekazał sprawę znajomemu z Archiwum X i że tamten przyjrzy się wszystkiemu. Taa, już to widzę – sapnęłam z frustracją.

Adam zmarszczył brwi.

- Widziałem, jak na ciebie patrzy – stwierdził z nieprzeniknioną miną.
- Kto? – zapytałam zdezorientowana.
- Ten glina. Wpadłaś mu w oko. – Uśmiechnął się kącikiem ust.
- Daj spokój. – Machnęłam ręką, chociaż miałam takie samo podejrzenie, ale nie zamierzałam się do tego przyznawać.

Tym bardziej w kontekście naszego pocałunku sprzed dwóch dni, który w tym momencie został zepchnięty gdzieś bardzo głęboko, ale nie zniknął. Cały czas tam był. Czułam go i pamiętałam.

– Nie zgrywaj się. Musiałaś to zauważyć. Nie wierzę, że mówiłby ci o takich rzeczach ot tak. Leci na ciebie – stwierdził.

– A jakie to ma znaczenie?

– Kluczowe – odparł z przekonaniem. – Skoro zdradził informację o rozwodzie, to dołoży coś jeszcze, do czego sami nie jesteśmy w stanie dojść. – Podniósł znacząco brwi.

Oczywiście, że miał rację, ale raczej przeceniał mój urok osobisty. Ligocki był służbistą i wątpiłam, że zdradził mi coś, czego nie powinien. Rzucił mi ochłap, żebym spojrzała na niego łaskawszym okiem. Podzieliłam się tym spostrzeżeniem z Adamem.

– Może tak, może nie – skwitował. – Nie zawadzi spróbować, a wracając do powodów, dla których Borkowski mógłby wpaść na pomysł, żeby zabić całą rodzinę...

– Hmm? – ponownie go zachęciłam, bo widziałam, że coś chodzi mu po głowie.

– Co, jeśli to on zabił tego chłopca? Nie celowo, tylko na przykład w wyniku nieszczęśliwego wypadku?

– Nie wiemy jeszcze, jak zginął – odparłam, ale jego pomysł miał sens.

– Na razie i tak tylko stawiam hipotetyczne pytanie. – Adam usiadł znów w fotelu i założył łydkę na udo. – Ale tak sobie myślałam... to niemożliwe, żeby te dwa tragiczne wydarzenia rozegrały się po sąsiedzku i nie były ze sobą jakoś powiązane.

Pomyślałam o moich szkicach w notesie.

– Miałoby to sens. Nieumyślnie zabił chłopaka i nie chciał wzywać policji, bo straciłby i tak już nadszarpniętą reputację nauczyciela. Może nawet poszedłby za to siedzieć. – Tym razem to ja się ożywiłam i podniosłam z kanapy. – Czyli mamy aż

dwa powody, dla których Borkowski mógłby spowodować wypadek – powiedziałam jakby do siebie. – Rozwód i Piotrek.

Jeden byłby bardzo dobry, ale dwa? To już coś, z czym można było pracować. Wygrzebałam z torby moleskin i zapisałam nowe założenia, tuż pod moim poglądowym rysunkiem.

– Tylko jak to się ma do grobu pod dębem u moich dziadków? – Ponownie usiadłam na miękkiej kanapie, która była tak wygodna, że zapragnęłam się na niej położyć i zdrzemnąć.

Chyba odzywało się moje wyczerpanie i bezsenność.

– Tego nie potrafię wyjaśnić – przyznał i przez chwilę mi się przyglądał. – Wyglądasz na wyczerpaną, Olga. Musisz się porządnie wyspać. – Uśmiechnął się słodko.

– Chyba powinieneś zastosować tę samą radę do siebie – odparowałam, a zmarszczki mimiczne wokół oczu Adama pogłębiły się, gdy jego twarz rozjaśnił szeroki, szczerzy uśmiech.

Musiałam przyznać, że czas nie zabrał nawet grama jego chłopięcego uroku, a wręcz uczynił go atrakcyjniejszym. I właśnie w tej wersji, niewyspanej, zmęczonej, sfatygowanej, w pomiętym T-shircie i znoszonych dżinsach, czyli najprawdziwszej, jakiej tylko się dało, Adam prezentował się najurokliwiej.

– Chyba już pójdę. – Podniosłam się niechętnie z wygodnego siedziska. – Faktycznie powinnam się przespać. Dzięki za herbatę. – Ruszyłam do wyjścia.

Słyszałam za sobą jego kroki.

Złapałam za kłamekę, ale wtedy Adam dotknął mojego ramienia.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym skrzywdzić dziecko, a potem je gdzieś zakopać i pozwolić jego rodzicom myśleć, że zaginęło? – zapytał ze zdziwieniem.

Spojrzałam mu odważnie w oczy. Mierzyliśmy się spojrzeniami przez kilka dobrych sekund i musiałam przyznać, że nie drgnęła mu nawet powieka.

– Nie. Myślę, że nie mógłbyś tego zrobić – stwierdziłam po chwili, zdając sobie sprawę, że naprawdę w to wierzę.

Adam wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze.

– To dobrze – stwierdził poważnie.

Gdyby mnie w tej chwili okłamywał, to albo byłby patologicznym i psychopatycznym łgarzem, albo... po prostu mówił prawdę. W pierwszą wersję nie mogłam uwierzyć, więc pozostawała mi druga.

Adama pamiętałam jako duszę towarzystwa i ulubieńca dziewczyn. Na każdej imprezie poznawał kogoś innego. Nie był notorycznym łamaczem serc, po prostu wiedział, że się dziewczynom podoba. Kto z nas nie popełnił podobnych grzechów w młodości. Nigdy nie okazał się okrutny ani brutalny. Nie przebywałam z nim cały czas, ale na pewno bym się o tym dowiedziała, bo ludzie nie są w stanie ukryć tej strony swojej natury.

Teraz, co prawda, nie wyglądał na tego ciemnowłosego chłopaka z szerokim, zaraźliwym uśmiechem, ale nie sądziłam, że mógł się zmienić aż tak. Wydoroślał jak my wszyscy. Straciliśmy trochę naiwności i dlatego wyglądaliśmy inaczej niż nasze młodsze wersje.

– Do zobaczenia – powiedziałam na odchodnym, a wtedy Adam chwycił mnie za dłoń i przyciągnął do siebie.

Zawahał się sekundę, a potem mnie pocałował. Nie desperacko czy zachłannie. Musnął moje usta delikatnie, ale stanowczo, jakby chciał tym potwierdzić, że wtedy pod dębem, na chwilę przed strasznym znaleziskiem, nie próbował żadnych sztuczek. Po prostu chciał mnie pocałować. Tak jak teraz.

Wiedziałam, że to błąd, bo przecież jestem tu tylko na chwilę. I miałam zadanie. A wokół mnie wszystko zaczęło przypominać chory koszmar. Mimo to oddałam pocałunek i ponownie poczułam, że był mi potrzebny. Jak haust zimnej wody w upalny dzień.

Gdy się od siebie odsunęliśmy, Adam się uśmiechał. Ja też.

– Jeśli nie chcesz spędzać nocy sama, to przyjedź do mnie albo ja przyjadę do ciebie – powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

– Jaka troska. – Wyszczrzyłam się.

Adam się zaśmiał.

– Ty i te twoje kosmate myśli – rzucił i zaraz spoważniał. – Ale nie, mówię całkiem serio. Jeśli poczujesz się nieswojo albo będziesz chciała z kimś pogadać, jestem tu – oświadczył, a ja skinęłam głową i ruszyłam do furki.

Adam obserwował, jak odjeżdżam, co wydało mi się bardzo słodkie. W zupełnie innym humorze niż zaraz po przebudzeniu ruszyłam w stronę domu.

Wtedy

– I tak po prostu wyjedziesz? – huknął z niedowierzaniem Mateusz, gdy zdradziłam mu moje plany na przyszłość.

Spotkaliśmy się nad Żabim Jeziorem, a Mat od kilku dobrych minut nie mógł ustać w miejscu, tylko chodził w jedną i drugą stronę, jakby nie był w stanie się zatrzymać.

– Nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy? Dostałam się na zagraniczne studia! – wrzasnęłam i poderwałam się z trawy, na której siedziałam.

– A co ze mną? Z nami? – Spojrzał na mnie zbolalym wzrokiem.

Miał zaczerwienie policzki i zmierzwił włosy, które co chwilę przeczesywał nerwowym gestem.

To spojrzenie ukłuło mnie boleśnie w serce. Nie chciałam z nim zrywać, nie po to tu przyjechałam. Kochałam Mateusza i nie chciałam z niego zrezygnować, ale nie chciałam też zrezygnować z tej wielkiej szansy, którą dostałam i na którą ciężko zapracowałam.

Zdawanie międzynarodowej matury kosztowało mnie wiele nieprzespanych nocy i rezygnację z kontaktów z przyjaciółmi. Tylko jedna rzecz była ważniejsza od ciągłego zakuwania. Spotkania z Mateuszem. Z tych nie mogłam zrezygnować.

– Przecież z tobą nie zrywam – wyjaśniłam spokojnie. – Po prostu będziemy musieli się przestawić na Skype’a – dodałam łagodnie. – Będę wracała tak często, jak to tylko możliwe. Ty też możesz przylecieć do mnie. Bilety są teraz naprawdę tanie – mówiłam bez ustanku, żeby wreszcie go przekonać.

Robiło się już chłodniej, bo mimo że w dzień potrafiło być dwadzieścia pięć stopni, nocami temperatura spadała do dziesięciu.

– To się nie uda – powiedział zrezygowany.

Spuścił ręce wzdłuż tułowia i patrzył w stronę jeziora.

– Dlaczego?

Tym razem to ja zaczęłam chodzić wte i wewte. Nie potrafiłam pojąć jego uporu i braku zrozumienia dla mojej sytuacji życiowej. Pojawiła się szansa. Na coś, co w przyszłości zaowocuje lepszą pracą, fajniejszym życiem. Myślałam o tym bez ustanku. Chciałam coś osiągnąć. Chciałam zostać dziennikarką albo pisarką.

Chciałam zwiedzać świat, poznawać nowych ludzi. Dlaczego on nie mógł tego zrozumieć?

– Dobrze wiesz, jak jest. Zaraz kogoś poznasz, zapomnisz o mnie. Tak to się skończy. – Machnął ręką i ku mojemu przerażeniu, w jego oczach zabłyśły łzy.

Podeszłam do niego i ujęłam jego twarz w dłonie.

– Czy myślisz, że jadę tam po to, żeby sobie kogoś szukać? Poza tym zapomniałeś o najważniejszym.

– Niby o czym?

– O tym, że jestem w tobie zakochana – szepnęłam przy jego ustach. – Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam.

Usta Mateusza drgnęły delikatnie, a w oczach pojawił się ten blask, który tak uwielbiałam. Pocałował mnie i przyciągnął do siebie. Potem oderwał swoje usta od moich i mocno do mnie przywarł. Wtulił twarz w moją szyję i tak zastygliśmy.

– Ja ciebie też kocham – szepnął mi do ucha.

Po plecach przebiegł mi przyjemny dreszcz.



Przebudziłam się lekko zdezorientowana. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem i jaka jest pora dnia. Po powrocie do domu niemal natychmiast usnęłam, co było dobre, bo nie musiałam analizować tego, co poczuje, gdy już wszyscy stąd odjadą i zostanę zupełnie sama.

Przetarłam dłońmi twarz, żeby odgonić senność, z której nie mogłam się w pełni wyzwolić. I ze snu, który cały czas przypominał mi o Mateuszu, a dokładnie o dniu, gdy powiedziałam mu o wyjeździe za granicę. Po burzliwej kłótni wydawało się, że Mat zaakceptował moją sytuację i że jakoś nam się ułoży, ale chyba już wtedy podjął decyzję, bo gdy wakacje dobiegły końca, zerwał ze mną. Powiedział, że nie może tak żyć: cały czas na mnie czekać. Złamał mi serce, ale wiem, że ja złamałam mu je wcześniej.

Czy swoim wyjazdem zapoczątkowałam to wszystko, co się teraz wydarzyło? Przewróciłam się na plecy i westchnęłam głośno.

Mój wyjazd do Londynu, bo tam na początku studiowałam, nie przyniósł mi sławy ani wielkich pieniędzy. Owszem, poznałam mnóstwo cudownych ludzi, ale wielu też pokreconych, o których wolałabym zapomnieć. Londyn po pewnym czasie zaczął mnie dusić, pochłaniać i wysysać ze mnie życie. To było do przewidzenia. Byłam dziewczyną z małego miasteczka, która nagle musiała odnaleźć się w wielkiej europejskiej metropolii. W pierwszej chwili zachłysnęłam się tym gwarem, różnorodnością i pędem życia. Po pewnym czasie ja, dwudziestodwulatka, zaczęłam kłaść się spać o ósmej wieczorem, brakowało mi sił na pozauczelniane zajęcia i wyjścia do pubu na piwo. Zorientowałam się, że po tych prawie trzech latach w Londynie staję się wrakiem. Stwierdziłam, że nie mogę dłużej zostać w stolicy i przeprowadziłam się do Szkocji. A stało się to z inspiracji Felixa, nowo poznanego kolegi, który pochodził z Edynburga i właśnie tam wracał po ukończeniu studiów.

Nigdy nie żałowałam tej decyzji. Edynburg jest zupełnie innym miejscem niż Londyn. Też potrafi być gwarny i hałaśliwy, ale w jakiś stonowany sposób. Wolniejszy i łatwiejszy do ujarznienia. Obiecywał wielkomięskie życie i jednocześnie pozwalał na ukojenie skołatanego serca dziewczyny z małego miasteczka. To mi wtedy bardzo odpowiadało.

Nie żałowałam wyjazdu, ale bardzo długo nie potrafiłam poradzić sobie z zerwaniem. Potem wszystko: natłok obowiązków, nauka i kontakty z innymi ludźmi – pomogło mi się pozbierać. To i Alexander, który od pierwszych dni na uczelni starał się mnie poderwać. Długo mu nie ulegałam, nie byłam gotowa na nowy związek. W zasadzie sądziłam, że już nigdy nie będę gotowa, ale jak to bywa, nawet złamane serce, tym bardziej to młode, da się poskładać do kupy i zaczyna znowu bić. Moje po długim czasie zabiło dla Alexa. Wcale to jednak nie znaczy, że zapomniałam o Mateuszu. Czy o pierwszej miłości da się w ogóle kiedykolwiek zapomnieć?

Usiadłam na łóżku i oparłam się plecami o ścianę. Spojrzałam w okno, na dworze już szarzało. Sięgnęłam po telefon, który zostawiłam na biurku. Minęła siedemnasta. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że przespałam ciągiem prawie osiem godzin. Naprawdę byłam padnięta. Zebrałam się w sobie i zeszłam na dół, a potem skierowałam się w stronę wiatrołapu. Otworzyłam drzwi wejściowe i bez zastanowienia ruszyłam ku miejscu, w którym odkryłam ciało chłopca.

Już z oddali zauważyłam falującą na wietrze taśmę policyjną, o której ktoś zapomniał. Podeszłam bliżej. Bardzo powoli. Liście szeleściły pod moimi stopami, tworząc muzyczne tło tej sceny.

Dół został zasypany, ale ślad po nim był wyraźny, chociaż został przykryty cienką warstwą liści. Miałam wrażenie, że już zawsze tak będzie i nigdy nie wyzbędę się wspomnienia tej wystającej z ziemi kupki kości, która kiedyś była dłonią.

Wzdrygnęłam się, ale nie uciekłam. Musiałam zostać i oswoić się ze świadomością, że jeszcze przed dwoma dniami to miejsce było prowizorycznym grobem. Przełknęłam ciężko ślinę.

– Tak mi przykro – powiedziałam do dziecka, któremu ktoś odebrał życie, a ciało zakopał w bezimiennym grobie. – Mam nadzieję, że moje drzewo opiekowało się tobą dobrze – głos mi zadrżał i z oczu poleciały łzy.

Uklękłam, żeby uczcić jego odejście. W dłonie nabrałam szeleszczących liści.

– Dlaczego tutaj? – szepnęłam do siebie.

Powoli się podniosłam. Spojrzałam w niebo, a potem zrobiłam kilka kroków w tył, żeby z perspektywy spojrzeć na drzewo, tego niemego świadka.

– Ktoś musiał wiedzieć, że dom stoi pusty – kontynuowałam swój monolog.

Mówienie na głos pomagało mi uporządkować fakty, ale też dodawało otuchy.

– Pewnie każdy, kto tutaj mieszka, albo jest skoligacony, albo jest znajomym, a jak nie, to chociaż zaprzyjaźnionym weterynarzem... – prychnęłam i podrapałam się po głowie. – Tak do niczego nie dojdę. – Westchnęłam i raz jeszcze spojrzałam na moje drzewo.

Nie miałam pewności, czy teraz będę w stanie patrzeć na nie z sentymentem, który mnie ogarniał za każdym razem, gdy tu wracałam.

Wspięliśmy się na nie razem z Mateuszem. W środku nocy, na sam szczyt, na gruby konar, tak mocny, że był w stanie unieść nas dwoje. Patrzyliśmy na rozgwieżdżone niebo. To był cudowny widok. Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się w kosmosie, a wokół nas lśnił miliony gwiazd. To był jeden z najbardziej romantycznych momentów w moim życiu. Obserwowanie nieba z chłopakiem, w którym byłam niebywale zakochana.

Uśmiechnęłam się pod nosem i owinęłam szczelniej swetrem. Wreszcie wróciłam do domu. Przygotowałam sobie kolację, chociaż „kolacja” to może za dużo powiedziane. Po prostu zrobiłam dwie kanapki z twarogiem i dżemem. Zaparzyłam herbatę. Tak zaopatrzona usiadłam przy stole i otworzyłam laptop.

Wciąż uważałam, że rozwiązanie zagadki tkwi gdzieś w historii Borkowskich. Bogatsza o informacje uzyskane od komisarza, stwierdziłam, że najlepiej po prostu wygooglować dane nauczyciela w połączeniu ze szkołą w Kartuzach, w której uczył, na co do tej pory nie znalazłam czasu. Może gdzieś ktoś lokalnie napisał o romansie nauczyciela z uczennicą.

Wpisałam w wyszukiwarkę dane Borkowskiego i hasło *szkoła w Kartuzach*. Przejrzałam kilka stron, ale nie natrafiłam na nic, co przybliżyłoby mnie do rozwiązania zagadki. Wyświetliły mi się profile społecznościowe facetów i chłopców o tym imieniu i nazwisku, ale żaden z nich nie należał do interesującego mnie nauczyciela. Hm, a czy gdybym zadzwoniła do szkoły, w której pracował i podała się za policjantkę, to ktoś odpowiedziałby na moje pytania? Ligockiemu się udało, pomyślałam.

Wgryzłam się w kanapkę, zastanawiając się, czy nie powinnam tam po prostu pojechać osobiście i popytać współpracowników, a może nawet samych uczniów? Dzieciaki lubią gadać. Nikt ich nigdy nie słucha, a one mają sporo do powiedzenia.

Popiłam kanapkę herbatą i ponownie pochyliłam się nad laptopem. Próbowałam kilku haseł, ale nie uzyskałam żadnych sensownych rezultatów. Od niechcienia wbiłam w wyszukiwarkę słowa: *nastolatki*, *Kartuzy*, *skandal*. Ku mojemu zdziwieniu wyskoczyło zdjęcie dziewczyny. Młodej, bardzo ładnej dziewczyny o długich blond włosach i szczerym uśmiechu.

Serce zabiło mi mocniej. Odsunęłam na bok talerz z kanapką, przełknęłam kęs, który miałam w ustach, i w pośpiechu kliknęłam w zdjęcie. Natychmiast przekierowało mnie do artykułu lokalnego portalu newsowego z Kaszub. Szybko przebiegłam tekst wzrokiem. Dotyczył zaginięcia szesnastoletniej Marty, uczennicy pierwszej klasy liceum, która zniknęła pewnego wiosennego dnia, gdy wracała z zajęć sportowych.

O wpół do siódmej powinna zjawić się w domu, ale nigdy tam nie dotarła. Sprawa pozostaje nierozwiązana.

Smutna historia, ale chyba nie miała nic wspólnego z tym, czego szukałam. Westchnęłam zawiedziona. I nagle zauważyłam na stronie odnośnik do kolejnego artykułu, którego tytuł mnie zaintrygował: SERIA ZAGINIĘĆ NASTOLATEK W POWIECIE KARTUSKIM.

Kliknęłam w link, który przekierował mnie do całego tekstu. Autorem był niejaki Marek Zaręba.

Asia 17, Marta 16, Klaudyna 17, Justyna 15. Co łączy te wszystkie nastoletnie dziewczyny? Ich uśmiechnięte twarze widnieją w bazie osób zaginionych. Niektóre już od kilku lat, inne od paru miesięcy. Wszystkie były szczęśliwymi i pełnymi życia dziewczynami, które miały przed sobą piękną przyszłość. Każda zniknęła w okolicy szkoły albo domu. Policja nie potwierdza, aby sprawy zaginięć się łączyły. Ale czy słusznie?

Ta zajawka była wstępem do fragmentu, w którym wypunktowano podobieństwa okoliczności zaginięć dziewcząt. Było tego naprawdę sporo, co mnie trochę

zszokowało. Dwie z nich chodziły nawet do tego samego liceum. Co prawda nie do równoległych klas, ale w pewnym momencie musiały uczęszczać w tym samym czasie do tej samej szkoły.

I policja uznała, że te przypadki się nie łączą?

– Serio? – jęknęłam pod nosem.

Miałam właśnie przejrzeć zdjęcia w galerii, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Wzdrygnęłam się. Wyjrzałam przez kuchenne okno, ale na dworze panował już mrok i nie widziałam, co się dzieje na podwórzu.

Stukanie do drzwi się powtórzyło. Tym razem było głośniejsze.

– Kogo tam, do cholery, niesie – sapnęłam pod nosem i ruszyłam do wiatrołapu.

Sięgnęłam do zamka, żeby go odblokować, ale w ostatniej chwili postanowiłam zerknąć przez wizjer. Spodziewałam się zobaczyć przedstawiciela władzy albo Adama, ale za drzwiami nikogo nie było.

– Co jest, do cholery? – powiedziałam do siebie.

Na pewno się nie przesłyszałam, ale nie zamierzałam tego sprawdzać. Zamierzałam wrócić do kuchni, kiedy znowu rozległo się walenie do drzwi, jakby ktoś uderzał w nie pięścią.

Zamarłam. Serce wskoczyło na szybsze obroty, a ciało całe się napięło.

Normalnie pomyślałabym, że to wygłup gówniarzy, chociażby tych, którzy nagrywali telefonami policjantów, ale wydarzenia ostatnich dni nadszarpnęły moje nerwy i reagowałam na takie zagrania niemal histerycznie.

Na palcach zbliżyłam się do drzwi, ręką sięgnęłam do wyłącznika światła i zgasłam je w przedsionku. Bardzo ostrożnie wyjrzałam przez judasz. Pusto. Błede światło małej żarówki zamontowanej nad zewnętrznym daszkiem oświetlało pustą ścieżkę. Tym razem nie zamierzałam odchodzić od drzwi. Postanowiłam przy nich czatować tak długo, aż odkryję, kto się tak wygłupia. I jak go dorwę, to powyrywam mu nogi z dupy, myślałam wkurzona i przestraszona jednocześnie.

Nigdy nie byłam strachliwa, ale ostatnie wydarzenia zmieniły moje postrzeganie rzeczywistości. Ktoś zabił dziecko. I zakopał je pod drzewem jak psa. Czy taka osoba nie zawahałaby się zrobić krzywdy i mnie?

Nagle światło pod zadaszeniem zgasło. Zapanowały egipskie ciemności. Usłyszałam tylko dźwięk pękającego szkła. Odskoczyłam od drzwi, ale zaraz znowu

przytknęłam oko do dziurki. Nic. Ciemność. Ktoś rozbił żarówkę. Kolejne walenie wstrząsnęło drzwiami i mną. Odsunęłam się od drzwi.

– Wzywam policję! – krzyknęłam i nasłuchiwałam.

Usłyszałam, jak na zewnątrz o blaszany dach stukają krople deszczu. Zaczęło padać.

– Może to was przegoni, głupi gówniarze – powiedziałam na głos i wycofałam się do korytarza.

Odczekałam kilka minut i wróciłam do kuchni. Podeszłam do okna i zaciągnęłam krótkie, kraciaste zasłony. Wzięłam kilka głębszych oddechów i zamierzałam wrócić do komputera i mojej porzuconej kanapki, gdy ponownie ktoś zaczął się do mnie dobijać, tym razem dzwoniąc dzwonkiem.

Miałam tego dość. Ruszyłam do wiatrołapu, w locie łapiąc długi parasol stojący w kącie. Podniosłam go do góry, odblokowałam zamek i szarpnęłam mocno drzwi, jednocześnie zamierzając się nim na intruza.

Adam w ostatniej chwili uchylił się przed grubą rączką parasola, a nawet zdołał ją złapać, co sprawiło, że straciłam równowagę i wywróciłam się na kolana.

– Kuuurwa! – jęknęłam, gdy poczułam ból.

– Chryste – syknął Adam i przykucnął przy mnie. – Wszystko dobrze?

Usiadłam na łydkach i zaczęłam głośno oddychać. Dotknęłam kolana i skrzywiłam się z bólu. Jeszcze tego brakowało.

– Dobrze. – Podniosłam na niego oczy. – Czy to ty pukałeś do drzwi i zbiłeś żarówkę? – Wskazałam ręką na zadaszanie.

– Co? – Podniósł wysoko brwi. – Przyjechałem dosłownie przed minutą. Nie słyszałaś mnie?

– Nie.

Tak mnie wkurzyła gówniarzeria, która urządzała sobie żarty, że nie byłam w stanie zauważyć niczego.

– Wejźmy do domu. Cała zmokniesz. – Pomógł mi się podnieść.

Dopiero teraz poczułam, że mam mokry kark i włosy. Kulejąc, weszłam do wiatrołapu i zamknęłam za nami drzwi, a potem przekręciłam klucz.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju, klapnęłam ciężko na kanapie.

– Masz jakiś opatrunek i coś do dezynfekcji? – zapytał, zrzucając kurtkę.

Kiwnęłam głową, a z włosów spłynęły krople deszczu.

– W torebce powinnam mieć plastry. Jest w kuchni.

Adam zniknął, a ja próbowałam się przyrzuć kolanu, na którym pod rozdartymi dżinsami widniała plama krwi. Piekło niemiłosiernie.

– Jaka ze mnie łamaga – mruknęłam pod nosem. – I ja chcę rozwiązywać sprawy kryminalne – prychnęłam i roześmiałam się w głos.

– Olga, zaczynam się martwić o twoją poczytalność. Sama ze sobą rozmawiasz i do tego śmiejesz się z własnych żartów. – Adam wrócił z wacikami i plastrem.

Przykucnął obok mnie i uśmiechnął się pod nosem.

– Ja też się o nią martwię – przyznałam.

– Opowiesz, o co chodziło? – Wskazał na korytarz. – Dlaczego chciałaś mnie pobić babcinym parasolem?

Zaśmiałam się, zakrywając dłońmi twarz na wspomnienie mojego żenującego upadku. Opowiedziałam, co się stało. Zasugerowałam, że to na pewno robota gówniarzy, którym się nudzi w jesienny wieczór. Adam nikogo nie widział, ale kto wie, którądy mogli uciec.

– Napędzili ci stracha? – zapytał i ukucnął obok mnie.

– Nie wiem, ale chyba trochę tak – przyznałam. – Wiesz, to wszystko zaczyna mnie przytłaczać. – Westchnęłam.

– Nie ma się co dziwić. Ściągnij spodnie – powiedział na jednym wydechu, a ja otworzyłam ze zdziwienia usta.

Adam wywrócił oczami.

– Chcę ci opatrzyć kolano. Nie wiem, co ty sobie pomyślałaś.

Podniosłam się z westchnieniem, opuściłam oversizową bluzę do połowy ud i ściągnęłam dżinsy.

– Dzięki Bogu za dzisiejszą modę. – Podniosłam nogawkę do góry, żeby się jej przyrzuć. – O, nie będę musiała cerować. Tak wygląda nawet lepiej. – Uśmiechnęłam się i położyłam spodnie obok.

Adam tymczasem przetarł moje kolano wacikiem nasączonym jakimś alkoholem. Strasznie mnie zapiekło.

– Co to!?! – syknęłam.

– Mam nadzieję, że mnie nie zabijesz. – Skrzywił się – Użyłem kropli twoich perfum, żeby móc zdezynfekować ranę.

– Tylko nie to! Już wolę zakażenie – powiedziałam, jedynie trochę żartując. – Kosztowały mnie ponad sto funtów.

– Cholera – powiedział tuż przy moim kolanie, a jego oddech musnął skórę, aż zadrżałam. – Z czego są zrobione? Ze złota?

Ostrożnie nakleił na ranie plaster i uniósł głowę. W jego ciemnych oczach zobaczyłam pożądanie. Mój oddech przyspieszył, jego stał się krótki. Dłonią wrócił na moją nogę i delikatnie, bardzo delikatnie powędrował nią na udo. Zadrżałam, ale nie zrobiłam żadnego ruchu. Zamarłam w oczekiwaniu na to, co się stanie. Adam nachylił się i pocałował moje kolano w miejscu, w którym zaaplikował plaster.

Serce próbowało przebić się przez moją klatkę piersiową na zewnątrz, ale trwałam w tym odrętwieniu, jakby ktoś przyspawał mnie do kanapy. Chciałam wiedzieć, jak daleko Adam się posunie. Co zrobi? Co powie? To oczekiwanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Tymczasem jego usta musnęły skórę moich ud. Popatrzył na mnie, nie odrywając warg od mojej nogi. W jego wzroku było pytanie, a ja odpowiedziałam na nie, rozchylając uda. Patrzenie na niego w takiej pozie, klęczącego pomiędzy moimi nogami, usłużnie, w oczekiwaniu, strasznie mnie podniecało. Chwyciłam go za kark i przyciągnęłam do pocałunku. Zaborczego i kompletnie bez kontroli, na który Adam natychmiast odpowiedział.

Nie wiem, jak pozbyliśmy się ubrań. To było kompletne szaleństwo, którego chyba jeszcze nigdy w życiu nie zaznałam. Oprzytomniałam dopiero, gdy Adam we mnie wszedł. Niemal brutalnie. Nasz wspólny jęk odbił się od ścian. Na ułamek sekundy zastygliśmy w bezruchu, próbując zrozumieć, co się właśnie dzieje. Jego oddech pieścił moją twarz, a kosmyki włosów muskały moje czoło. Uśmiechnął się kącikiem ust, a potem znowu zaatakował mnie pocałunkiem. Oplotłam go ciasno nogami w pasie i szybko znaleźliśmy wspólny rytm.



Wyczerpani oboje padliśmy na kanapę, żadne z nas nie kwapiło się do rozmowy. Miałam w głowie cudowną pustkę. Nie myślałam o moim zadaniu, o morderstwie dziecka ani o tym, że może seks z Adamem to był błąd. Po prostu cieszyłam się ze spełnienia i próbowałam jak najdłużej zatrzymać to wrażenie. Wiem, że taki moment zawieszenia trwa bardzo krótko, ale nie chcę go psuć, póki jest... Rzeczywistość upomniała się o nas jakieś dziesięć minut później.

Z kuchni dochodził do nas dźwięk mojego telefonu. Wciągnęłam na siebie T-shirt, założyłam majtki i pod czujnym spojrzeniem Adama poszłam do kuchni, żeby odebrać. Nie zdążyłam. Sprawdziłam kontakt. Tato.

Oddzwoniłam. Jak się spodziewałam, rodzice chcieli wiedzieć, jakie są postępy w śledztwie, a przede wszystkim upewnić się, że jestem bezpieczna. Tata w ostatnich słowach prosił mnie, żebym przyjechała do nich jak najszybciej. Nie mogłam mu powiedzieć, że złożyłam komuś obietnicę i musiałam jej dotrzymać.

W drzwiach kuchni pojawił się Adam. Już ubrany, ale nie do końca wyglądający nienagannie. Musiałam jednak przyznać, że z potarganymi włosami i leniwym uśmiechem było mu naprawdę do twarzy. Chyba też jeszcze fruwał na haju orgazmu. Pomyślałam, że jest bardzo atrakcyjny, i dziwiłam się, że wciąż jest samotny. Pewnie z wyboru, ale zawsze. Może właśnie po to, żeby móc korzystać z podobnych okazji? To chyba lepsze niż zdradzanie partnerki.

– Coś ważnego? – Wskazał na mój telefon.

– Rodzice. Martwią się.

– Trudno im się dziwić – skwitował i podszedł do mnie bliżej.

Na szczęście, nie próbował mnie przytulać ani całować. Seks to seks, ale na te wszystkie czułe gesty nie byłam teraz gotowa.

– Jesteś głodny? – zapytałam, żeby na wszelki wypadek zapobiec czułościom.

– W sumie to tak.

– Zrobię spaghetti, bo tylko to mam. – Uśmiechnęłam się przeprasząco.

– Uwielbiam spaghetti. Pomogę ci – zaoferował i podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. – Nad czym teraz pracowałaś? – zagadnął, gestem głowy wskazując laptop.

– Nad tym, po co tu przyjechałam – powiedziałam, wyciągając z szafki paczkę makaronu i słoik gotowego sosu.

– I udało ci się na coś wpaść.

– Nic, jeśli chodzi o moją sprawę, ale zaczęłam czytać artykuł o zaginięciach na Kaszubach. Młode dziewczyny, które zniknęły prawie spod domu.

– Jak Piotrek – powiedział Adam. – I wszystkie te sprawy kojarzą się z jedną osobą – dodał.

Skinęłam głową.

– Nie wiem tylko, czy możemy to wszystko ze sobą łączyć – zastanowiłam się. – Mało tego, przeczytałam, że nawet gliny nie chcą łączyć ze sobą tamtych zniknięć, chociaż wydarzyły się w tym samym powiecie i w podobnych okolicznościach.

Wrzuciłam do gotującej się wody dwie garści nitek makaronowych.

– Tyle spraw nie zostało do tej pory rozwiązanych – prychnął. – Aż dziw, że niektóre udało się rozwikłać, ale chyba gliniarze musieli się o jakieś dowody po prostu potknąć...

Zaśmiałam się.

– Coś w tym jest, chociaż Ligocki wygląda na konkretnego – przyznałam. – Nie wiem, jak ten drugi, ale Ligockiemu muszę oddać sprawiedliwość. Nikt nie mógł się spodziewać, gdzie jest dziecko.

Zamilkliśmy.

– Biedny chłopak – stwierdził Adam. – Myślę, że Borkowski miał z tym coś wspólnego.

Na pewno był elementem łączącym te wszystkie zdarzenia w okolicy, ale nie potrafiłam rozgryźć, w jaki sposób.

– Też tak uważam. – Pomieszałam makaron drewnianą łyżką. – Fakt, że niedługo po zaginięciu Piotrka doszło do wypadku, nie może być zbiegiem okoliczności. Myślę, że powinniśmy powiedzieć o tym Ligockiemu.

– Już to zrobiłem – odparł i skrzywił się nieznacznie. – Ale chyba to olał. Wiesz, wielki pan komisarz nie będzie się pochylał nad teorią jakiegoś typu od pieców – dodał z gorzką nutą.

Zdziwiłam się. Nie odniosłam wrażenia, że Ligocki jest takim facetem, ale może to było przed weryfikacją alibi Adama? Wtedy na pewno nie daliby mu odczuć, że biorą jego pomysły poważnie, potraktowaliby je jako próbę wybielenia się. Myślę jednak, że na pewno ktoś sprawdzi wersję, którą policji podpowiedział Adam. Oby.

– Prędzej czy później będą musieli. Nawet oni zobaczą, że coś tu nie gra. – Zerknęłam na zegar w telefonie.

Dochodziła ósma. Nie było jeszcze późno i miałam nadzieję, że nie będę przeszkadzać.

– Mam pomysł. – Wybrałam numer Marzeny.

Odebrała po trzech sygnałach.

– Hej, Olga. Jak się czujesz po tym.. wszystkim? – zapytała, delikatnie zawieszając głos przed ostatnim wyrazem.

– Cały czas jestem w szoku, ale trzymam się – odparłam i dopiero w tej sekundzie zdałam sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazłam.

Wplątałam się w jakiś trójkąt uczuciowy. Zrobiło mi się głupio. Przecież domyślałam się, że Marzena wciąż coś czuje do Adama.

– Jakby coś, dzwoni do mnie – zaoferowała, co było bardzo miłe i wywołało kolejną falę wyrzutów sumienia.

Adam siedział z założonymi na piersi rękoma i patrzył na mnie zmrużonymi oczami.

– Chciałabym cię o coś zapytać, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Wał – rzuciła krótko i usłyszałam, że zapala papierosa.

– Wiem, że już cię o to pytałam, ale może jednak coś ci się przypomniało. Czy na pewno na kilka dni czy nawet tygodni przed śmiercią nie zauważyłaś, żeby Andrzej Borkowski zachowywał się... jakoś inaczej?

Powstrzymałam się przed powiedzeniem „dziwnie”, żeby nie sugerować jej odpowiedzi. Nie byłam pewna, czy Marzena nie ulega łatwo podobnym sugestiom. Tacy ludzie po tragedii zawsze wiedzieli, że do niej dojdzie, bo zauważali przeróżne „dziwne” zachowania u sąsiada czy krewnego.

Marzena zamruczała do słuchawki, zastanawiając się.

Makaron wydawał się idealny. Przytrzymując telefon ramieniem, wlałam zawartość garnka do cedzaka. Adam w tym czasie włożył do mniejszego garnka ciemnoczerwony sos ze słoika.

– Raczej nie. Nie wydaje mi się – powiedziała powoli, jakby wciąż próbowała coś wyłowić z pamięci.

Po takim czasie na pewno nie było to łatwe zadanie.

– Rozumiem – odparłam zawiedziona.

Zawsze byłby to jakiś trop, jakieś potwierdzenie naszej teorii. Przecież Borkowski nie mógł być koszmarnym psychopata, który zabił dziecko, a potem, jakby nigdy nic, żył sobie swoim życiem idealnej głowy rodziny i idealnego pedagoga. No, może nie takiego idealnego, skoro żona złożyła pozew o rozwód, a z poprzedniej szkoły odszedł w oparach skandalu.

– Chyba ci to nie pasuje do teorii? – zapytała rozbawiona.

– Trochę nie – prychnęłam. – Mimo wszystko dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy.

Pożegnałyśmy się i odłożyłam telefon na bok.

Czy to możliwe, żeby Borkowski zabił dwunastoletniego dzieciaka i nie przejawiał żadnego zdenerwowania, nie miał wyrzutów sumienia, rozstroju emocjonalnego? A może odpowiedź była inna. Po prostu nie miał z tym nic wspólnego.

– Nie wiedziałem, że takie z was psiapsie – zagadnął Adam, wyrywając mnie z rozmyślań.

Spojrzałam na niego i wzruszyłam ramionami.

– Marzena to fajna babka i bardzo mi pomaga – wyjaśniłam. – I nie, to nie ma z tobą nic wspólnego – dodałam.

– Nawet tak nie pomyślałem – odparł chyba szczerze.

Sos zaczął wściekle bulgotać. Adam wyłączył ogień i chwilę mieszał zawartość garnka. Patrzyłam, jak krząta się po kuchni, jakby bywał w niej częściej. Bez wahania sięgnął po talerze, które stały w szafce nad kuchenką. Z szuflady obok wyciągnął sztucce. Nawet w kuchni moich rodziców nie mogłam się nigdy odnaleźć, a bywałam tam setki razy, tymczasem on zachowywał się, jak gdyby był u siebie.

– Byłeś tu wcześniej? – zapytałam wprost.

Nie chciałam kolejnych nieudów, zważywszy na to, co przed chwilą między nami zaszło.

Spojrzał na mnie ni to zaskoczony, ni to zdziwiony, a potem uśmiechnął się i skinął głową.

– Czyżbyś znowu zaczynała mnie podejrzewać? – zapytał żartobliwym tonem, ale w jego wzroku czaiło się coś więcej.

Nie potrafiłam tego rozszyfrować. Nie znaliśmy się aż tak dobrze, a lata temu byłam tak szaleńczo zakochana w Matim, że nie zwracałam uwagi na nikogo innego. Jak to nastolatka, dodałam na swoją obronę.

– Po prostu pytam – powiedziałam spokojnie i wlałam sos do nitek.

Adam westchnął i oparł się biodrem o blat, tuż obok mnie.

– Tak. Bywałem tu częściej – stwierdził. – Ja i Mateusz – dodał.

Zastygłam z drewnianą łyżką w ręku.

– Po co? – zwróciłam się w jego stronę.

Założył ręce na piersi.

– Twoja babcia potrzebowała pomocy z takimi rzeczami, jak zakupy, coś przywieźć, coś zawieźć. Jeszcze zanim dostała udaru. Raz ja, raz on, robiliśmy jej cotygodniowe zakupy i podrzucaliśmy tu, do domu. Niekiedy pomagałem jej rozpakowywać artykuły, a ona wciskała we mnie ciasto rabarbarowe. – Uśmiechnął się z rozrzewnieniem, ja też się uśmiechnęłam.

– To bardzo miłe z waszej strony – powiedziałam wzruszona. – Babcia mi nigdy o tym nie wspominała.

– Mateusz ją o to poprosił. Nie chciał, żebyś myślała, że robi to, aby ci się przypodobać. – Wzruszył ramionami. – Po prostu lubiliśmy twoją babcie.

To by wszystko wyjaśniało. To dziwne, że nikt mi nigdy o tym nie wspomniał. Ale babcia potrafiła dotrzymać obietnic. Jeśli Mateusz tak zastrzegł, to ona na pewno to uszanowała. Zawsze go lubiła, chociaż na samym początku próbowała trochę nas stopować. Mawiała, że nastoletnia miłość potrafi ogłupić i kompletnie przysłonić świat. Miała, oczywiście, rację. Ogłupiła mnie, ale nie potrafiła mi przysłonić całego świata, ponieważ ten mnie wzywał i ja odpowiedziałam na wezwanie. Kosztem mojego ponaddwuletniego związku z Mateuszem.

Często się zastanawiałam: czy gdybym wtedy nie wyjechała, bylibyśmy wciąż razem? Wątpiłam w to, ale to pytanie do mnie wracało.

– Dziękuję w imieniu mojej mamy i swoim oczywiście – powiedziałam szczerze, jednocześnie miałam wyrzuty sumienia, że babcia musiała prosić obce osoby o pomoc.

Była uparta. Po śmierci dziadka nie wyobrażała sobie wyprowadzki. A już na pewno nie do innego kraju. Po udarze – nie miała wyjścia.

– A Walentyna Ostrowska? Bywała u babci w tamtym czasie? – zagadnęłam, stawiając na stole dwie szklanki z wodą mineralną.

– Tak, od czasu do czasu ją widywałam – odparł, siadając do stołu.

– Może chcesz się napić wina? – zapytałam. – Kupiłam, jak tylko wyjechałam z hotelu. – Uśmiechnęłam się krzywo.

To był produkt pierwszej potrzeby, gdy wracało się w miejsce znalezienia zwłok.

– Jeśli będę mógł zostać na noc, to jasne. W przeciwnym razie zadowolę się wodą.

Nie miałam pewności, czy ta odpowiedź to flirt, czy zwykłe stwierdzenie faktu, ale Adam zaraz rozwiązał moje wątpliwości.

– Po tym wszystkim, co stało się z Mateuszem, nigdy nie piję przed nawet najkrótszą podróżą – powtórzył to, co powiedział mi już w barze.

– Mateusz był zazartym przeciwnikiem prowadzenia po alkoholu – przypomniałam, otwierając butelkę.

Wyciągnęłam dwa kieliszki. Nie chciałam być tej nocy sama. Wlałam wino i podałam kieliszek Adamowi.

– Tak było, ale w jego życiu wydarzyło się kilka trudnych spraw, w tym śmierć matki. – Westchnął i upił wina.

– Tak, wiem – zniżyłam głos. – Musiało mu być ciężko.

Matka była jego jedyną rodziną. Ojciec odszedł, gdy Mateusz miał pięć lat. Nigdy więcej nie pojawił się we wsi i nikt nie wiedział, co się z nim działo. Podobno założył nową rodzinę. Mat go nienawidził. Nigdy mu nie wybaczył i nie mogłam go za to winić.

– Nie miał nikogo? Mam na myśli: dziewczyny? Narzeczonej? – zapytałam bez żadnej zazdrości.

Chciałam, żeby mu się ułożyło. I żeby nie był samotny, tak jak ja byłam po naszym rozstaniu.

Adam nadział na widelec sporą porcję makaronu z sosem i zanim wsunął ją sobie do ust, powiedział:

– Miewał dziewczyny, jasne. Ale nie był z nikim na stałe. Nie wiem nawet, czy chciał się ustatkować.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Nie wiem. Po prostu takie odnosiłem wrażenie. – Nawinął na widelec kolejną porcję nitek. – Raz, gdy widzieliśmy się w barze, jakaś dziewczyna próbowała go podrywać. Mateusz kompletnie ją złał, chociaż była bardzo atrakcyjna. Może uważał, że kobieta to komplikacja. – Wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia.

Ja również zabrałam się do posiłku, ale już z mniejszym apetytem. Żałowałam, że nie wznowiłam z Mateuszem kontaktu po osiedleniu się w Londynie. Miałam szczerzy zamiar, bo wierzyłam, że jeszcze się dogadamy. Zabierałam się do tego milion razy, ale w końcu rezygnowałam. Chciałam przeczekać jego złość, rozgoryczenie, ale im dłużej czekałam, tym bardziej bałam się, że on mi nie wybaczy. Wpadłam w błędne koło i w ogóle zaniechałam kontaktu. Dałam się porwać życiu dużego miasta, jednocześnie tłumacząc sobie swoją decyzję tym, że to Mateusz ze mną zerwał i on powinien wykonać pierwszy ruch.

Gówniarskie przepychanki, które doprowadziły do ostatecznego zerwania naszych więzi.

Jedliśmy w milczeniu, popijając posiłek winem. Gdy opróżniliśmy kieliszki, ponownie je napełniłam.

Adam zmywał talerze, a ja przystanęłam przy oknie. Odsłoniłam zasłonki. Ciemność otaczała podwórko, a z nieba ogromnymi strugami spływał deszcz.

– Myślisz, że to okej? – zapytałam, wpatrując się w deszcz.

– Co takiego?

Adam podszedł do mnie. Stał tak blisko, że czułam ciepło jego ciała, ale mnie nie dotykał.

– Że sobie tu siedzimy, śmiejemy się i pijemy wino, a tam... niedaleko leżał... Piotrek. – Skinęłam głową w stronę dębu.

– Nie uważam, żebyśmy robili coś złego. Po prostu... żyjemy – powiedział cicho.

Popatrzyłam mu w oczy, które teraz wydawały się o wiele ciemniejsze niż za dnia. Jego lekko potargane włosy opadały na czoło. Był bardzo atrakcyjny i ta wiedza z każdą godziną coraz bardziej wwiercała się w moją świadomość.

– Kiedyś słuchałam podcastu policjanta, który zajmuje się tak zwanymi cold case.
– Wróciłam spojrzeniem do okna. – Powiedział coś, co mnie bardzo zaintrygowało.
– Upiłam spory łyk wina.

Alkohol mnie rozluźnił. No i seks. Ale to były tylko chwilowe niwelatory napięcia. Ono za jakiś czas wróci.

– Co takiego powiedział?

– Że fakt znalezienia zwłok jest równie ważny jak miejsce, w którym je odkryto – wyjaśniłam. – I to ważne, żeby najpierw zająć się właśnie tym tropem, bo jest znaczący w kwestii odkrycia sprawcy. – Próbowałam się przedrzeć wzrokiem przez grubą warstwę deszczu i ciemności, ale to było niemożliwe. – Jak myślisz? Co to oznacza w tym przypadku?

– Szczerze? Nie mam pojęcia. – Westchnął. – Ale mam nadzieję, że to się wyjaśni, bo wiem, że uwielbiałaś dziadków i ten dom – dodał łagodnie.

Skinęłam głowę na zgodę, wyminęłam go i podeszłam do stołu.

– Chyba powinnam wrócić do moich poszukiwań. – Otworzyłam laptop, który leżał na drugim końcu stołu.

– Mogę się przyłączyć?

– Jasne. – Komputer wybudził się z uśpienia.

Adam przysunął sobie krzesło i usiadł tuż obok mnie, a ja od razu wprowadziłam go w temat.

– No powiem ci, że zajebracie tam pracują w tych Kartuzach – skomentował informacje o niełączeniu spraw dziewczyn. – Przecież one wszystkie były prawie w tym samym wieku i zagięły w podobnych okolicznościach.

– Prawda? Aż nie chce mi się wierzyć, że uznali to za przypadek. No chyba że do wiadomości publicznej nie podano wszystkich faktów. – Mówiąc to kliknęłam w link, gdzie dziennikarz Marek Zaręba przedstawia sylwetki dziewczyn i zarys sprawy każdej zaginionej.

Jasnowłosa Asia o miłym uśmiechu i okularach z dużymi oprawkami. Klaudyna, szatynka o dużych, ciemnych oczach w kształcie migdałów. Marta, dziewczyna o kręconych czarnych puklach, szczupła, wysoka. No i Justyna z okrągłą twarzą

i masą piegów. Aż coś mnie zakłuło w piersi na myśl, że te dziewczyny, w sumie dzieci, tak po prostu rozplynęły się w powietrzu.

– Wiesz, co je łączy? – zapytał Adam.

– Oprócz oczywistego?

– Wszystkie są bardzo ładne. Nie tylko ładne czy zwyczajnie miłe dla oka i wyglądają na miłe. Wszystkie są bardzo atrakcyjne – skomentował w zamyśleniu. – Jakby ten, kto się nimi zainteresował, szukał właśnie takich dziewczyn.

– To prawda – przyznałam.

Żadna z nich nie była taka sobie zwyczajna. Na pewno zwracały uwagę i to okazało się dla nich tragiczne. Raz jeszcze przeszłam przez galerię zdjęć.

– Chyba muszę pogadać z tym Markiem. – Wskazałam palcem na autora artykułu.

– Może będzie wiedział... – zawiesiłam głos, bo coś przykuło moją uwagę.

Jedno ze zdjęć. Justyny. A dokładniej to, co miała na szyi.

Złoty wisiołek w kształcie koniczyny. Dokładnie taki, jaki widziałam w piwnicy Borkowskich. Zawieszka z literką „J”.



– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Adam, gdy zesliśmy ze ścieżki w mokre zarośla.

Deszcz siekł niemiłosiernie, ale nie mogłam czekać, aż przestanie. Nie mogłam też czekać do nastania nowego dnia. Musiałam zyskać pewność, a tylko ponowna wizyta w nawiedzonym domu, a właściwie nawiedzonej piwnicy, mogła mi w tym pomóc.

Musiałam przyznać się do mojego pseudowłamania i wyjaśnić, skąd ta nagła decyzja o wyprawie w środku nocy do domu Borkowskich. Najpierw się temu mocno sprzeciwiał, ale nie mógł mnie powstrzymać. Nie, kiedy wreszcie na coś wpadłam. Jeszcze nie wiedziałam, czy to ma jakieś znaczenie, ale to była kolejna rzecz, która wplatała się w dziwny, na pozór nielogiczny splot. Może dzisiaj uda się wpleść w ten warkocz trochę logiki.

– Tutaj jest tak jakby wejście – powiedziałam, docierając do wygiętych szczebli w ogrodzeniu.

– Tak jakby? – zapytał ironicznie.

– Ja na pewno się zmieszczę, nie wiem, jak będzie z tobą – próbowałam szeptem przebić się przez szum deszczu.

Wątpiłam, czy w taką pogodę i o tej porze ktoś mógłby się przechadzać po okolicy, ale musieliśmy zachować ostrożność.

– O, supernews – sarknął Adam.

Prawie się uśmiechnęłam.

Bez trudu wcisnęłam się przez otwór w ogrodzeniu i zatrzymałam się po drugiej stronie. Adam pokręcił głową, ale wsunął do środka najpierw głowę.

– O, jak zmieściła się głowa, to reszta też przejdzie – skomentowałam ze śmiechem.

– Wiesz, że to mit? – wystękał i z trudem przecisnął się przez otwór, bo faktycznie dla jego postury był ciut za ciasny. – Łatwiej byłoby mi nad nim przeskoczyć – psioczył, gdy zaczęliśmy się przedzierać przez kolejne chaszczce.

– Cicho – szepnęłam, gdy znaleźliśmy się przy okienku piwnicznym.

– Tędy? – nachylił się nade mną.

– Tak. – Sprawdziłam zatrask, ale był zamknięty na dobre. – Cholera.

Czy to stało się wtedy, gdy wkradłam się tu pierwszy raz? Ktoś usłyszał mnie na dole i zszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje, a potem zamknął okno?

– Wracamy? – zapytał z nadzieją.

– Nie.

Wzmógł się deszcz. Mimo kurtek przeciwdeszczowych byliśmy przemoknięci do granic możliwości, ale i to nie mogło mnie powstrzymać.

– Jeśli chcesz, zaczekaj w samochodzie – powiedziałam, wyciągając z plecaka nóż stołowy, którym zaczęłam gmerać w ramie okienka.

Była spróchniała i napęczniała od wilgoci, więc nie powinna trzymać zbyt mocno.

– O, proszę. Posiadasz kolejny fach w rękach. Profesjonalne włamy nocami – skwitował. – Może się przydać, gdy będziesz w potrzebie.

– Adam – syknęłam. – Nie rozpraszaaj mnie. – W tym samym momencie zamknięcie okna puściło, a ja pisnęłam z zadowolenia.

– Ciii – tym razem to Adam upomniał mnie.

– Pod oknem powinna stać taka komoda, dzięki której łatwo zejść – poinstruowałam, a Adam znowu pokręcił głową, ale uśmiechnął się pod nosem.

– Jesteś niemożliwa – skomentował i zajrzał do środka, omiatając piwnicę światłem latarki. – A tak poza tym tu nie ma żadnej komody pod oknem.

Wsadziłam tam głowę i uruchomiłam latarkę w telefonie. Rzeczywiście. Ktoś ją odsunął.

– Skurwiel – syknęłam pod nosem.

– Okej. Zejdę pierwszy, a potem ci pomogę – zarządził Adam.

Dał mi do przytrzymania latarkę i wsunął się przez okienko. Najpierw nogi, potem reszta ciała. Z łatwością zeskoczył na podłogę i wyciągnął do mnie rękę.

– Teraz ty – zawołał, żeby przekrzywić deszcz.

Poszłam w jego ślady i gdy zawisłam przez chwilę na ramie okiennej, poczułam, jak jego ręce łapią mnie w pasie i bezpiecznie stawiają na podłodze.

– Dzięki. – Otrzeptałam się i zrzuciłam z głowy kaptur.

Adam rozglądał się po wnętrzu.

– Ale graciarnia – powiedział do siebie.

– Założę się, że u ciebie w piwnicy wszystko stoi w równym rzędku w podpisanych pudełkach i nie ma na nich śladu kurzu – zażartowałam z niego, żeby trochę rozluźnić atmosferę, ponieważ znowu zaczynałam odczuwać niepokój.

– I cóż w tym złego? – zapytał z rozbawieniem.

– Nic, Adaś. Nic – odparłam nieobecnym głosem, bo docierałam właśnie do stosu, na którym znalazłam pudełko po butach, a w nim osobliwe fanty.

Przez moment bałam się, że ktoś, kto odstawił spod okna komodę i zamknął okno, zabrała też pudełko. Serce zabiło mi mocniej, gdy nie znalazłam go na stosie z innymi gratami. Stanęłam na palcach i próbowałam coś dojrzeć ponad kartonami, a wtedy podszedł do mnie Adam i sięgnął głębiej.

– Tego szukałaś? – Podał mi znajome pudełko po butach.

– Tak – szepnęłam, uklękłam na podłodze i delikatnie podniosłam wieko.

– Może po prostu zajrzyj, czy wszystko jest, i zabierzmy je ze sobą. To miejsce przyprawia mnie o ciarki – powiedział.

– Czy ty mnie namawiasz do kradzieży? – zakpiłam.

– Tak, w tym momencie tak – przyznał bez cienia zawahania. – Zabierajmy się stąd.

Szczerze, to korciło mnie, żeby zajrzeć na górę. Byłam pewna, że gdy poczuję atmosferę ich codziennego życia, to wpadnę na coś więcej, ale w tej chwili nie miało to sensu. Plus fakt, że ktoś w domu bywał i nie mieliśmy pewności, czy za chwilę się nie pojawi.

– Dobra. – Zajrzałam pospiesznie do pudła.

Wydawało się, że niczego nie brakowało i w tej jednej sekundzie kolejny puzzel wskoczył na właściwe miejsce.

– Adam – mój głos zabrzmiał bardzo słabo – ...zawartość... – zdołałam wydukać, bo doznałam olśnienia.

– Co?

– Potem – szepnęłam, schowałam pudełko do plecaka i w pośpiechu zaczęłam się rozglądać za jakimś meblem, na który mogłabym wejść i wspiać się do okna.

– Podsadzę cię – zaoferował i nastawił złączone dłonie. – Szybko – ponaglił.

Nagle coś nakazało nam pośpiech. Jakbyśmy byli ścigani, chociaż z wnętrza domu nie dochodziły żadne odgłosy. A może ich nie słyszeliśmy przez łomoczący deszcz?

Ledwie postawiłam stopę w złączonych dłoniach Adama, a już gramoliłam się przez okno na zewnątrz. Chłopak zaraz znalazł się tuż za mną. On po prostu doskoczył do ramy i się na niej podniósł. Gdyby nie nagłący pośpiech i sprawa, z którą tu przyszliśmy, byłabym pod wrażeniem.

W strugach deszczu puściliśmy się biegiem w stronę przejścia. Tym razem Adam nie bawił się w przeciskanie się przez dziurę, tylko sprawnie przesadził ogrodzenie. Już na ścieżce zwolniliśmy i sapiąc z wysiłku, pomaszerowaliśmy do zaparkowanego ulicę dalej samochodu.

Wsiedliśmy do auta i na moment zastygliśmy w bezruchu. Tylko nasze oddechy i klatki piersiowe się poruszały.

– Jedziemy? – zapytał Adam, który siedział na miejscu pasażera.

Nie chciałam mu pozwolić na złamanie postanowienia dotyczącego niesiadania za kierownicą po kieliszku, dlatego pojechaliśmy moim autem.

– Jedziemy – odparłam i odłożyłam na tylne siedzenie plecak, który ścisnęłam mocno w ramionach.

Kilkanaście minut później zaparkowaliśmy pod domem. Ku mojemu zaskoczeniu, na podjeździe stał radiowóz. Wymieniliśmy z Adamem spłoszone spojrzenia. Czyżby ktoś nas zobaczył i na nas doniósł?

– Myślisz, że to po nas? – zapytał rozbawionym, ale też zdenerwowanym głosem Adam.

– Nie sędzę – odparłam niepewnie, chwyciłam za klamkę i pociągnęłam ją.

Zapobiegawczo zostawiłam plecak w aucie. Pomyślałam, że najpierw zorientujemy się, o co chodzi.

Ulewa zelżała i przynajmniej poprawiła się widoczność. Z radiowozu wyszła para policjantów w mundurach. I wtedy przypomniałam sobie o informacji od Ligockiego, że kogoś przyśle do obserwowania domu.

– Starsza posterunkowa Lisiecka – przedstawiła się kobieta.

– Starszy posterunkowy Warzocha – zawtórował mężczyzna, zerkając na Adama. – Jesteśmy tu z polecenia komisarza Ligockiego. Będziemy obserwować teren do rana.

Skinęłam głową na znak zrozumienia i już miałam im opowiadać o tym, co się zdarzyło, nim przyszedł Adam, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam. Mimo że trochę się wtedy przestraszyłam, teraz byłam przekonana, że dzieciaki z okolicznych wsi zobaczyły światło w domu i po prostu postanowiły się powygłupiać. Radiowóz przed bramą wjazdową powinien je skutecznie odstraszyć.

Kobieta wylegitymowała Adama, a potem wręczyła mi swój numer telefonu i zapewniła, że gdyby coś się działo, mam do niej dzwonić. Z wyrazu jej twarzy i malującej się na niej nadziei wywnioskowałam, że bardzo by chciała, aby się coś stało, inaczej padnie z nudów. Trochę mnie to rozbawiło, bo nie bardzo się z nią w tej chwili utożsamiałam – sama siedziałam jak na szpilkach, cały czas myśląc o zawartości pudełka.

Otworzyłam bramę wjazdową i znowu wsiedliśmy do samochodu. Oboje odetchnęliśmy głośno.

– No dobra. Tym razem nam się upiekło – sapnął Adam.

– Mnie już dwa razy – zauważyłam z rozbawieniem, żeby rozładować atmosferę.

Zaparkowaliśmy obok budynku gospodarczego. Droga do domu wydała mi się nieskończenie długa, gdy ściszałam w rękę pasek plecaka, a pod nogami chlupała woda. Zaczęłam drzeć. Trochę z zimna, a w dużej mierze z ekscytacji.

Weszliśmy do domu i zrzuciliśmy kurtki. Mieliśmy przemoczone stopy i mokre włosy. Przyniosłam nam po suchym ręczniku i oboje jako tako doprowadziliśmy się do porządku. Adam zabrał się do zaparzania herbaty, a ja z łomocącym głośno sercem usiadłam do laptopa. Wybudzał się jakoś wyjątkowo długo, a może to dla mnie czas w tej chwili zwolnił. Adam postawił na stole dwa parujące kubki...

– I co? – zapytał.

Podniosłam wieko pudła po butach i odłożyłam je ostrożnie na bok.

– Zobacz – powiedziałam cicho, zanim sięgnęłam po wisiołek w kształcie koniczyny. – Jak myślisz, co wszystkie te rzeczy ze sobą łączy? – Spojrzałam mu w oczy.

Adam zaczął powoli wyciągać fanty i wykladać je na haftowany obrus.

Moneta – stara, zaśniedziała kopiejka z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

Brelok od kluczy w kształcie zielonego pompona. Adam położył go obok monety.

Flakonik perfum wypełniony w jednej czwartej. Chłopak powąchał go i odstawił na stół.

Cienki, czarny pasek. Nie miał szlufek ani zapięcia. Najpewniej pochodził od torebki.

Różowe mydélko zapachowe w kształcie serca. Bardzo intensywnie pachniało. Trafiło tuż obok paska.

Pojedyncza prezerwatywa. Adam podniósł jedną brew, ale nie skomentował.

Łańcuszek z zawieszka w kształcie koniczyny z wygrawerowaną literką „J” na jednej stronie.

Moje serce uderzało milion razy na minutę.

– To wszystko musiało należeć do... młodych dziewczyn – powiedział przyciszonym głosem Adam, któremu też musiała się udzielić podniosłość tej chwili.
– Tylko moneta i gumka mi nie pasują.

– Nieprawda. Moneta może być pamiątką, a gumka po prostu zabezpieczeniem. Nie bądź seksistą, kobiety też dbają o bezpieczeństwo i nie chodzi tylko o pigułki.

– Nie jestem. Po prostu gumka kojarzy mi się z facetem. – Wzruszył ramionami. – Ale faktycznie, mogła należeć do młodej kobiety. Czemu nie – zgodził się.

Wzięłam ze stołu łańcuszek z zawieszka i położyłam go delikatnie na dłoni, a potem spojrzałam Adamowi prosto w oczy i kliknęłam w zdjęcie zaginionej Justyny, która pewnego wiosennego dnia przed ponad dwoma laty nie wróciła do domu. Z artykułu dowiedzieliśmy się, że z przyjaciółką widziała się tylko przez dwadzieścia minut, a potem udała się w niewiadomym kierunku. Przy czym rodzicom powiedziała, że idzie się do koleżanki uczyć i najpewniej wróci za trzy godziny.

Powiększyłam zdjęcie, które było bardzo słabej jakości. Pochodziło zapewne z jakiegoś portalu społecznościowego. Selfie, na którym dziewczyna się szeroko uśmiecha, eksponując ładne zęby. Mimo kiepskiej rozdzielczości udało nam się przybliżyć wisior na jej szyi.

Czterolistna koniczynka z rozmazanym grawerem. Niewyraźnym, ale bez wątplenia przedstawiającym dużą literę „J”.

– Chryste – szepnął Adam. – To chyba było naprawdę jej – dodał tak samo cicho.

Wtedy do głosu doszła moja racjonalna strona, tak bardzo potrzebna aspirującej do roli dziennikarki śledczej.

– Poczekaj. Będziemy mieć pewność, gdy dowiemy się, czy miała go na sobie w tamten feralny dzień, bo może się okazać, że wcale nie zaginął razem z nią, a to tylko dziwny zbieg okoliczności.

– Tak. Można też skontaktować się z rodzinami pozostałych dziewcząt i pokazać im te rzeczy. – Wskazał na stół. – Ale jak dotrzeć do tych ludzi. Musielibyśmy tam pojechać i... – zapalił się, ale mu przerwałam.

– ...albo powiedzieć o tym Ligockiemu i on sam odwali za nas tę robotę – powiedziałam.

– I oddasz mu całe zasługi? – zdziwił się.

Westchnęłam ciężko. Adam nic nie rozumiał.

– Nie chodzi o zasługi. Kto będzie pamiętał o naszym udziale? Na końcu i tak wszystko przejmą gliniarze i to oni będą się pławić w chwale. – Wstałam od stołu i zaczęłam się przechadzać po kuchni. – Zresztą nie zależy mi. Mnie chodzi o to, by dociec, co się wtedy na drodze naprawdę wydarzyło! I co łączyło Borkowskich z zaginionymi dziewczynami!

– Myślisz, że on naprawdę przyczynił się do ich zniknięcia? I... że zamordował Piotrka?

– Twórca krakowskiego Archiwum X jest autorem teorii o śladzie na duszy sprawcy zbrodni – zaczęłam. – Twierdzi, że jeśli ktoś nie jest psychopata, to fakt dokonania morderstwa zostawia w jego psychice olbrzymią wyrwę. I jeśli nie ma dookoła żadnych podejrzanych, to warto przyjrzeć się zachowaniu osób znaczących dla ofiary od momentu, w którym dana osoba zaginęła czy zginęła – mówiłam. – Dlatego zadzwoniłam do Marzeny. Chciałam wiedzieć, czy Andrzej Borkowski zmienił się po tamtym zdarzeniu.

– To, że Marzena tego nie zauważyła, nie oznacza, że tak nie było – stwierdził Adam z przekonaniem. – Zresztą nie lubiła go. Nie gadała z nim zbyt często i raczej by tego nie wyłapała.

– Być może – zastanawiałam się na głos. – Ale skoro mamy hipotezę, że mógłby być seryjnym mordercą... – zabrzmiało to bardzo niewiarygodnie, ale takie rzeczy przecież się zdarzały – ...to na pewno jest też psychopata i żaden ślad na jego duszy

nie powstał, gdyby to on naprawdę zabił dzieciaka. I nikt by nic nie zauważył – dodałam.

Adam wstał od stołu, oparł się o blat kuchenny i niecierpliwie wystukiwał rytm palcami o szafkę.

– I myślisz, że naprawdę wpadłeś na trop seryjnego mordercy? – zapytał ze zdziwieniem pomieszanym ze zgrozą.

– Nie mam pojęcia, ale gdyby to okazało się prawdą... – Spojrzałam na niego krzywo. – ...to wraz ze śmiercią Borkowskiego odeszły szanse na poznanie szczegółów tych zniknięć. I jeśli wszystkie te dziewczyny nie żyją, a myślę, że tak właśnie jest, rodziny nastolatek nigdy się nie dowiedzą, gdzie są ich ciała.

– Niekoniecznie – stwierdził. – Jeśli policji uda się wgryźć w życie tej rodziny, to może uda się też odnaleźć ciała dziewczyn. Może Borkowscy mają działkę albo mieszkali obok lasu... cokolwiek. – Przejechał palcami po włosach.

Adam chyba naoglądał się amerykańskich filmów. Z drugiej jednak strony, nie można było wykluczyć żadnej opcji.

Podeszłam do stołu i pogłodziłam zawieszkę w kształcie czterolistnej koniczyny. Jaka ironia, że coś, co miało przynosić szczęście, kompletnie zawiodło. A może nie?

Wyciągnęłam z torebki moleskin i przyjrzałam się informacjom, które zapisałam w trakcie całego śledztwa. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się jednym wielkim chaosem, zbiorem niepowiązanych ze sobą osób i zdarzeń. Ale zaczynałam już łączyć te wątki ze sobą.

Mateusz wydawał się po prostu przypadkową ofiarą tych wszystkich zdarzeń. Bardzo pechową. Tragiczną.

Pamiętam jak dziś jego ogorzałą od słońca twarz, kasztanowe włosy i świdrujące niebieskie oczy, które prawie zawsze się śmiały... Z wyjątkiem tych wakacji, gdy mu wyznałam, że wyjeżdżam na studia za granicę. Wtedy zniknął blask, a pojawiła się pustka. Do dziś to spojrzenie sprawia mi ból i żałuję, że właśnie takiego widziałam go po raz ostatni.

– Zauważyłem coś – odezwał się Adam, podchodząc do stołu. – W artykule mowa jest o czterech dziewczynach, a fantów jest pięć.

Miał rację.

– Może jedna z tych rzeczy nie należy do żadnej z nich – powiedziałam.

– Jeśli miałbym obstawiać, to wskazałbym na monetę. – Chciał ją podnieść, ale w ostatniej chwili zrezygnował. – I tak w ogóle chyba nie powinniśmy tego dotykać, przecież pozacieramy ślady. – Podniósł do góry ręce.

– Myślę, że już i tak pozacieraliśmy. – Skrzywiłam się. – Ale skąd mogłam wiedzieć, że włamując się do piwnicy, znajdę pudło pełne dowodów na zbrodniczą działalność mieszkańca domu – usprawiedliwiałam się.

– Nie mogłaś. – Uśmiechnął się pobłaźliwie i zaraz spoważniał: – I co teraz?



Siedziałam z wieczkiem pudełka na kolanach i patrzyłam, jak Ligocki zagląda do wnętrza kartonu, który wynieśliśmy z nawiedzonego domu. Po mojej tyradzie komisarz zamilkł na długo. Przed mężczyzną leżały na biurku wydruki artykułów o zaginięciach i zdjęcia każdej z dziewcząt.

Cały ranek przygotowaliśmy się z Adamem do tej rozmowy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy ponieść konsekwencje włamania i kradzieży, ale mimo to zdecydowaliśmy się podzielić naszymi podejrzeniami z policją.

W nocy nie mogłam zasnąć, Adam chyba też, bo słyszałam, jak chodzi po kuchni i włącza czajnik. Nie mogłam go za to winić i złapałam się na tym, że przyzywam go do siebie myślami. Chciałam, żeby mnie przytulił. Wszystko zaczynało mnie przytłaczać. Noce zawsze przynosiły kryzys. Rano wszystko wracało na swoje tory, a ja czułam nowy zapach.

– Zdajecie sobie sprawę, jak to wszystko brzmi? – zapytał, opadając ciężko na fotel Ligocki.

– Niewiarygodnie? – odpowiedziałam z sarkazmem.

– Mówiąc oględnie – odparł, podnosząc znacząco brwi.

Za każdym razem, gdy na mnie patrzył, zauważałam w jego oczach dziwny błysk. Adam chyba miał rację. On na mnie leci, pomyślałam. Może powinnam to wykorzystać dla sprawy?

– Ojciec rodziny, nauczyciel, który nigdy nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości? – dodał, ale zabrzmiało to równie niewiarygodnie jak nasza teoria.

– A co z romansowaniem z uczennicami? Przecież został wywalony ze szkoły – wtrącił się Adam. – Miał ewidentną słabość do nastolatków.

Ligocki niechętnie przeniósł na niego spojrzenie.

– Nie było oficjalnego oskarżenia, a Borkowski sam złożył wypowiedzenie. – Policjant rozłożył ręce. – Poza tym dziewczyna była pełnoletnia.

– Czyli co? – Adam nachylił się w jego stronę i oparł łokcie na blacie. – Nie zamierza pan nic z tym robić? Doskonale pan wie, że wystarczy pokazać rodzinie dziewczyny wisiołek. Nic więcej – podniósł nieznacznie głos.

Komisarz oderwał plecy od skórzanego oparcia.

– A co, jeśli to tylko tragiczna pomyłka, a my narobimy im bezsensownej nadziei? – zapytał Adama.

Ten prychnął i uśmiechnął się z pogardą.

– A pan myśli, że jak komuś zaginie dziecko, to cokolwiek innego może mu jeszcze zaszkodzić? – wyszczał. – A kiedy trzeba było wszcząć poszukiwania Piotrka, to rodzina sama musiała je zorganizować – kontynuował, a jego twarz wykrzywiła się w nieukrywanej nienawiści. – Gdzie wtedy byliście wy?! A dziecko gniło w ziemi!

Położyłam mu rękę na kolanie, ale to go nie powstrzymało. Wstał, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Ligocki nie próbował go nawet zatrzymać. Chciałam za nim pobiec, ale nie mogłam zostawić znalezionych przedmiotów w rękach Ligockiego. Kto wie, czy po naszym wyjściu to wszystko nie trafiłoby zwyczajnie pod klucz do szafy.

– Pani Olgo, ja naprawdę mam dużo cierpliwości, ale pani kolega posuwa się zdecydowanie za daleko – powiedział i wstał z fotela.

Obszedł biurko i przysiadł na jego krawędzi. Wystarczająco daleko ode mnie, żeby to nie wyglądało nieprzyzwoicie. Na szczęście dla niego, pomyślałam.

– Ma prawo być wzburzony – stanęłam w jego obronie. – Przecież podejrzewaliście go o zabójstwo Piotrka.

– Podejrzewalibyśmy i panią, gdyby nie miała pani żelaznego alibi – odparł. – To jest właśnie nasza praca. Czasami stoją nam na drodze procedury, ale bez nich zapanowałby chaos. – Podrapał się po karku.

– Może pan zdradzić, jak zginął Piotrek? – zapytałam. – Nie napiszę o tym artykułu. Mam gdzieś artykuły. Nie chciałam pisać o wypadkach. Chciałam tylko wyjaśnić, co tak naprawdę zaszło tamtego dnia... dla przyjaciela, który nie może się już sam obronić – dodałam cicho. – A jestem niemal pewna, że mówił prawdę. Coś

musiało skłonić Borkowskiego do uderzenia w nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. – Teraz ja wstałam. – Może żona domyśliła się, co się działo w Kartuzach? Może dlatego złożyła pozew o rozwód? – Zaczęłam niespokojnie dreptać w miejscu. – Może chciał popełnić rozszerzone samobójstwo?

– Seryjni mordercy zwykle nie targają się na swoje życie – przerwał mi. – Poza tym zawsze idą według schematu. Młode dziewczyny. Zazwyczaj chodzi o motyw seksualny. Najczęściej pochodzą z patologicznego domu, mają zaburzoną relację z matką. Nie muszą mieć problemów z płcią przeciwną. Miewają żony, partnerki, a nawet dzieci. Prawie nie zdarza się, żeby zmieniali swoje przyzwyczajenia związane z mordowaniem. Jeśli gustują w ładnych dziewczynach, nie przerzucą się na chłopców, chyba że od początku płeć nie miała znaczenia, tylko na przykład młodość – stwierdził z ciężkim westchnieniem.

– A gdyby mały coś odkrył? Wiem, że przyjaźnił się z synem Borkowskich.

– Co niby taki dzieciak mógł odkryć? – zapytał z kpina. – Te dzieciaki nie wystawiają nosa poza TikToka i YouTube’a – skwitował. – Mam syna w podobnym wieku i wiem, co mówię. – Pokręcił głową. – Zresztą podczas wywiadu z rodziną matka potwierdziła, że był jak każdy jego rówieśnik. Piłka nożna, gry na konsoli, youtuberzy. Owszem, rodzice nigdy nie są wiarygodnymi informatorami, jeśli chodzi o nastoletnie dziecko, ale jego starsza o trzy lata siostra to potwierdziła. Rodzeństwo zawsze wie o sobie więcej niż wiedzą rodzice o dzieciach.

Hm, nie pomyślałam o tym, sama byłam jedynaczką, ale nie miałam powodów, by nie wierzyć.

– A jak zginął Piotrek? – powtórzyłam pytanie, na które wciąż nie dostałam odpowiedzi.

Ligocki sięgnął do szuflady biurka. Wyciągnął szarobrązową teczkę, a potem rzucił ją na blat. Sięgnęłam po teczkę, ale mężczyzna przytrzymał moją dłoń.

– Gdyby ktoś się dowiedział, że ją pani pokazuję, miałbym duże kłopoty – powiedział i pozwolił mi zabrać dokumenty z blatu.

Nie znałam się na lekarskim żargonie, ale na podstawie tego, co udało mi się rozszyfrować, mogłam stwierdzić, że chłopiec doznał rozległych urazów organów wewnętrznych i mózgu, świadczących o udziale w jakimś komunikacyjnym wypadku. Skrzywiłam się, przeglądając dokumenty.

– Może po prostu go potrącił samochodem? – stwierdziłam. – Albo zrzucił z dużej wysokości?

– Czyste spekulacje. – Podszedł do mnie, wyciągnął mi teczkę z rąk i schował ją do szuflady. – I pozwólcie nam robić swoją robotę bez wsadzania w nią swoich nosów. – Podniósł znacząco brwi. – I jak niby chcecie, żeby wytłumaczyć fakt znalezienia tych rzeczy? Same do mnie przyszły? – zapytał.

– Niech pan powie prawdę. Że zakradłam się tam, żeby poszperać trochę o rodzinie, i natrafiłam na takie dziwne znalezisko. – Wzruszyłam ramionami. – Co mi mogą za to zrobić? Wsadzić do więzienia? – prychnęłam, ale nie byłam tak do końca pewna, czy aby to się właśnie tak dla mnie nie skończy. – Zrobi pan z tym coś? Jeśli nie, to chcę to zabrać i pojechać z tym do Kartuz – oświadczyłam z pewnością siebie.

Taki miałam zamiar, mimo braku czasu.

– Proszę to zostawić. Wyślę tam kogoś.

– Tylko kogoś kompetentnego.

Ligocki zaśmiał się w głos.

Miał miły, głęboki śmiech. Cały był miły dla oka i ewidentnie ze mną flirtował. Uśmiechnęłam się.

– Proszę mi dać znać, jeśli czegoś się pan dowie – poprosiłam. – I przepraszam za przyjaciela. Bardzo to wszystko przeżywa – wytłumaczyłam. – Mateusz był jego najlepszym kumplem.

Ligocki tylko skinął głową i przeszył mnie spojrzeniem, jakby chciał mnie przejrzeć. Spuściłam wzrok, odwróciłam się i wyszłam na korytarz. Wypuściłam głośno powietrze z płuc i zastanawiałam się, co teraz. Czy ktoś się zainteresuje tym odkryciem? A może Ligocki wepchnie pudło do swojej szuflady i tyle go będziemy widzieć. Dobrze, że obfotografowaliśmy z Adamem każdą rzecz. Na wypadek, gdyby jednak olano te poszlaki.

Poczułam się zupełnie wyzuta z sił. Potrzebowałam kawy. Podwójnej.

Wyszłam na zewnątrz. Na ławce w pobliżu komisariatu siedział Adam. W rękach trzymał dwa wielkie kubki kawy. Podniosłam ze zdziwienia brwi i uśmiechnęłam się szeroko.

– Mam nadzieję, że jeden jest dla mnie. – Wyciągnęłam rękę po aromatyczny napój.

– Skąd? Lubię mieć dwa, na wypadek gdybym przez przypadek jeden wylał na siebie. – Uśmiechnął się krzywo, wstał i podał mi papierowy kubek z ochraniaczem.

Ruszyliśmy w stronę parku. Pogoda dopisywała, było ciepło, ale wciąż czuło się zapach wilgotnej ziemi po nocnej ulewie.

– Coś z tym zrobi? – zapytał Adam.

– Obiecał, że tak.

Niespiesznie posuwaliśmy się alejką w głąb parku. Drzewa szumiały, ruch uliczny cichł. W mojej głowie też panował coraz większy spokój. Zwolniłam. Wokół było niewiele osób. No tak, to godziny pracy. Kilkoro dzieciaków biegało w oddali wokół fontanny, a znudzeni rodzice wpatrywali się w smartfony.

– Wierzysz mu? – kontynuował, a w jego głosie wyczułam tłumioną wrogość.

Nie byłam pewna, czy chodziło o fakt, że Ligocki wytypował go jako podejrzanego, czy może o to, że był o niego zazdrosny. Nie, nie miałam tak wielkiego poczucia własnej wartości, by myśleć, że każdy miejscowy facet będzie się na mnie rzucał. Tutaj chodziło o efekt nowości.

– Nie wiem. Mam nadzieję. W końcu to może pozwoli mu się wykazać. Gdyby okazało się, że to prawda, miałby szansę na przykład na awans, a na pewno dostałby pochwałę – powiedziałam z goryczą i upiłam łyk kawy.

Była zaskakująco smaczna, a może moje kubki smakowe zaczynały się przyzwyczajać do lokalnych specjałów.

– Usiądziemy? – Adam wskazał najbliższą ławkę.

Sprawdziłam dłonią, czy nie jest mokra. Usiedliśmy i trwaliśmy w milczeniu. Adam oparł przedramiona na kolanach i patrzył przed siebie.

– Pogadamy o tym, co wydarzyło się wczoraj? – zapytał wreszcie.

Wiedziałałam, że właśnie to wisiało w powietrzu. Seks. Chwila słabości czy może bardziej rozładowanie napięcia?

– A jest o czym gadać? – spróbowałam zasugerować, że przecież niczego sobie nie obiecywaliśmy.

– Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy? – zapytał znienacka.

Oczywiście, że pamiętałam. Wtedy poznałam też Mateusza. Wiejska dyskoteka w niewielkiej remizie. Miałam szesnaście lat, wyciągnęła mnie na nią o dwa lata starsza kuzynka Aga, która też przyjechała do dziadków. Lubiłam ją, ale

widywałyśmy się zbyt rzadko, żeby nawiązać bliską przyjaźń. Nic wielkiego, muzyka z domowych głośników, młodzież z okolicznych wiosek, no i alkohol w nielimitowanych ilościach.

– Jasne, że tak – odparłam bez wahania.

– Mateusz był szybszy – powiedział.

– Co?

Adam zaśmiał się pod nosem.

– To ja zauważyłem cię pierwszy i chciałem od razu do ciebie podejść, ale Mati był po prostu szybszy – wyjaśnił. – Mieliśmy taki niepisany kodeks, że jak któraś dziewczyna obu wpadnie nam w oko, to żeby sobie nie wchodzić w drogę, mieliśmy sondować, na którego bardziej leci. – Zaśmiał się w głos. – Ale on miał w dupie ten nasz kodeks i od razu do ciebie zarwał, jakby miało nie być jutra. Zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Słyszając to, na moment znowu stałam się szesnastoletnią dziewczyną, która po niespodziewanym spotkaniu na wiejskiej dyskotecie fruwała kilka centymetrów nad ziemią.

– Byłem wtedy na niego wściekły, bo przecież mieliśmy swoje zasady, ale on powiedział, że właśnie poznał matkę swoich dzieci i ma w dupie zasady – dodał cicho.

Z oczu popłynęły mi łzy. Próbowałam je ukryć, ale one nieproszone się pchały. Odruchowo pociągnęłam nosem. Gdyby Adam miał wątpliwości, czy jego opowieść coś we mnie poruszyła, właśnie w tym momencie zyskał pewność.

– Musiał bardzo cierpieć, kiedy wyjechałam... – szepnęłam, czując, jak wraca dobrze mi znane poczucie winy. – Ja tylko chciałam... – Wytarłam dłonią policzki.

– Nie musisz się nikomu tłumaczyć. Miałaś osiemnaście lat. Miałaś prawo – stwierdził. – Mateusz to rozumiał. Może nie od razu, ale z czasem się z tym pogodził. – Zwrócił się w moją stronę, a ja próbowałam powstrzymać wzruszenie.

– Nie chciałam z nim zrywać – zaszlochałam i schowałam twarz w dłoniach.

Wydarzenia od czasu przyjazdu po prostu mnie rozbroiły. Byłam jedną wielką emocjonalną bombą, która kiedyś musiała wybuchnąć. Czemu nie teraz, na ławce w parku. Adam objął mnie delikatnie, a ja wcisnęłam twarz w zagłębienie na jego szyi. Jego zapach sprawił, że natychmiast się uspokoiłam. Adam działał na mnie

kojąco. Ta prawda zaskoczyła mnie i jednocześnie przestraszyła. Odsunęłam się od niego, a on wypuścił mnie z ramion.

– Sorry, po prostu... jest tego wszystkiego za dużo – próbowałam się tłumaczyć.

Nie znosiłam płakać przy ludziach, ale teraz sytuacja mnie przerosła, nagromadziło się we mnie mnóstwo emocji.

– Przestań się tłumaczyć – powiedział łagodnie. – Dziwiłbym się, gdybyś po tym wszystkim się nie rozkleiła. – Uśmiechnął się krzywo.

Patrzyłam w jego przepastne, ciemne oczy i po raz kolejny dziwiłam się, jak to się stało, że uchwycił się w tym mieście bez obrączki. Może wcale nie chciał się żenić? Niektórzy faceci wolą tak żyć.

– Muszę jechać do domu przebrać się, a potem zabrać się do zleceń. – Przetarłam dłonią twarz. – Chociaż dzisiaj wolałbym wałnąć się na wyro.

– Słyszałam, że też nie mogłeś zasnąć. – Przypomniałam sobie odgłosy dochodzące z kuchni.

– Po tej nocy? Kto mógłby zasnąć. – Uśmiechnął się słabo i miałam wrażenie, że nie mówi o włamaniu, tylko o tym, co między nami zaszło.

Chyba się zaczerwieniłam, poczułam gorąco na policzku. Adam na mnie działał. Zawsze uważałam, że jest atrakcyjny, ale w mózgu zakochanej nastolatki nie było miejsca dla pozostałych chłopaków. Teraz zobaczyłam go z zupełnie innej perspektywy i z każdym dniem podobał mi się bardziej, co nie wróżyło nic dobrego. Niedługo znowu będę musiała wyjechać. I czułam, że już tu nie wrócę. Nie chciałam się angażować uczuciowo. Nie mogłam popełnić tego samego błędu.

– Racja. – Skinęłam głową i oderwałam wzrok od jego ciemnych oczu.

Podnieśliśmy się jednocześnie. Chciałam go przytulić na pożegnanie i nachyliłam się, a wtedy Adam delikatnie musnął moje usta. Dosłownie jakby moich warg dotknęły skrzydła motyla. To było bardzo słodkie. Uśmiechnęłam się mimowolnie. On też. Pierwsza ruszyłam z miejsca i powolnym krokiem poczłapałam do auta zaparkowanego na policyjnym parkingu.

Ciemności też

Od jakiegoś czasu Andrzej bacznie ją obserwował, gdy myślał, że tego nie widzi.

Ela go unikała, co nie było trudne, ponieważ wychodził z domu wcześniej rano i wracał, gdy dzieci były już w łóżkach. Ona też. Nawet jeśli nie była jeszcze śpiąca. Po prostu nie chciała się z nim konfrontować. Jeszcze nie. Musiała najpierw wszystko dobrze zaplanować.

Rozmawiała już ze swoimi rodzicami. Obiecali pomóc jej w przeprowadzce. Właściwie ucieszyli się z tej decyzji. Wiedzieli, jaka była nieszczęśliwa, gdy dowiedziała się o wyjeździe i to dlaczego? Bo Andrzej wdał się w chory romans z uczennicą. Tak. Bardzo dobrze знаła powód nagłej zmiany pracy. Nie dostałby już etatu w najbliższej okolicy, bo takie newsy roznosiły się jak zaraza. Dotarły i do niej. Całkiem przypadkiem kilka dni przed wyjazdem podsłuchiwała rozmowę przekupek w osiedlowym warzywniaku. Nie wiedziały, kim jest, więc się nie hamowały. Z każdym kolejnym zdaniem wszystko w niej cierpło...

Wszystko było już spakowane, zaaranżowane, mieszkanie prawie uprzątnięte. Nie miała wyjścia, musiała wsiąść w samochód i opuścić dom, który tak kochała. I dlaczego? Bo jej mąż ją notorycznie zdradzał i narobił sobie kłopotów.

Ale właśnie wtedy powiedziała: dość! Złożyła sama sobie obietnicę, że to ostatni raz, że nigdy więcej nie pozwoli Andrzejowi sterować jej życiem w ten sposób. Tak bardzo go kiedyś kochała, teraz jej uczucia do niego były jak szary suchy popiół w wystygłym palenisku. Nic się w nim nie żarzyło. Nie było miejsca nawet na nienawiść, bo wymagałaby od niej zaangażowania, a ona już nie chciała poświęcać czasu Andrzejowi. Chciała wrócić do domu i nareszcie choć trochę zająć się sobą. Wrócić do pracy, żyć nie tylko rodziną: dziećmi i mężem.

Mąż obiecał, że do niej przyjedzie. Nie wierzyła mu. Zauważyła tylko, że zachowywał się inaczej niż zwykle. Był zamyślony, nieobecny, mocno spięty. Mówił, że przez pracę. Być może tak właśnie było, a może zwyczajnie próbował się wywinąć od spotkań. Nawet jeśli, to trudno. Mimo wszystko w tym mrocznym domu zaznała trochę innych emocji niż rozczarowanie – i pomyśleć, że to wszystko dzięki niemu.

Andrzej nie domyślał się, że miała romans, tak bardzo był skupiony na sobie, na własnych sprawach. Żona go niewiele obchodziła. Ta gorzka prawda nie była aż tak trudna do przełknięcia. To ewidentny znak, że powinna się z nim rozstać. Już nadszedł czas.

Dzieci też były podekscytowane powrotem. Właściwie Andrzej nie spędzał z nimi już w ogóle czasu. Jakby chciał się od nich wszystkich odciąć. A może znał już plany

rozwodowe żony? Jej prawnik zapewnił, że pozew rozwodowy wysłę z końcem listopada. Może już do tego doszło? Ale przecież to ona całymi dniami siedziała w domu i gdyby przyszła poczta, wiedziałyby o niej pierwsza.

Nie, nie mógł jeszcze wiedzieć.

Z rozmyślań wyrwało ją trzaśnięcie drzwiami od samochodu. Przez okno sypialni wyjrzała na ulicę. Ich samochód stał na podjeździe i właśnie wyskakowali z niego Arek i Kinga. Wypełnione książkami plecaki zwisały smętnie ze szczupłych ramion dzieci. Andrzej powiedział coś do Kingi, dziewczynka skinęła głową i sięgnęła po coś do auta. Po chwili trzymała już w rękach jakiś przedmiot. Ela z tej strony nie widziała, co to jest.

Wyszła z sypialni i zbiegła ze schodów.

– Cześć, mamó. – Usłyszała w korytarzu głos syna.

– Cześć, synku – odparła. – Jak ci minął dzień? – Podeszła do niego i cmoknęła go w skroń.

Andrzej i Kinga zrzucali właśnie kurtki w wiatrołapie.

– Dobrze. Wiesz co? – zagadnął ją raźnie.

– Co? – Weszli razem do kuchni.

– Tata powiedział, że jutro nie musimy iść do szkoły, bo zabiera nas na wycieczkę. – Zajrzał do lodówki.

Ela ze zdziwienia otworzyła usta. Na wycieczkę? W taką pogodę? Chciała go wypytać o szczegóły, ale do kuchni weszli już Andrzej i Kinga.

– Cześć, mamus. – Córka machnęła jej ręką na powitanie.

– Cześć, słonko.

– Hej, hej – rzucił Andrzej, nie patrząc na nią.

– Co to za wycieczka, o której mówi Arek? – zapytała, wyciągając talerze z szafki.

W garnku czekał na wszystkich makaron z sosem carbonara, który uwielbiali.

Andrzej uśmiechnął się szeroko. Wokół jego oczu wyrzeźbiły się mimiczne zmarszczki, które tylko dodawały mu uroku. Jak to dobrze, że już nie działał na nią urok męża. Jego uśmiech, błysk oczu – zawsze ją rozczulały. Ale to było kiedyś. Dawno temu.

– Pomyślałem sobie, że może byśmy jutro pojechali do lasu na grzyby, a potem coś zjedli na mieście. – Szeroko się uśmiechnął, gdy dzieciaki przytaknęły zgodnie.

– W środku tygodnia? A co ze szkołą? Przecież Arek ma chyba jutro sprawdzian z matematyki. – Zwróciła się spojrzeniem do syna, który tylko wzruszył ramionami.

– Napisze w innym terminie, co za problem – skwitował Andrzej, ignorując fakt, że wcale nie uważała tego za dobry pomysł.

Kto chodzi na grzyby w taką paskudną pogodę? Cały tydzień miało padać. Pomijając pogodę, nie uśmiechało jej się spędzanie kilku godzin w towarzystwie Andrzeja. Przecież lada dzień miał przyjść do niego pozew rozwodowy.

Ela zaczęła nakładać na talerze makaron, ale robiła to mechanicznie. Czowała jakiś dziwny niepokój. W pewnym momencie z rąk wyslizgnęła jej się łyżka i zawartość rozbryznięła się po całej podłodze.

– Nie, myślę, że przełożymy to na inny termin – zdecydowała, a wtedy poczuła na ramieniu ciężką rękę Andrzeja.

Dotyk był niby delikatny, ale ciężar dotyku niemal przygniótł ją do podłogi.

– Ja to zrobię – powiedział cicho. – A ty się przebierz, bo się pobrudziłaś.

Zerknęła na bluzkę. Faktycznie była brudna. Ale w ogóle jej to nie ruszyło. To jego głos, który ścisnął wszystkie jej wnętrzności, sprawił, że pobiegła do sypialni, ciężko oddychając.

Co on kombinuje? Myślała gorączkowo. Co to za głupi pomysł z tym wyjazdem? Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej nową bluzkę.

– On wie – szepnęła, gdy spojrzała na siebie w lustrze, umieszczonym na skrzydle drzwiowym szafy.

Musiał wiedzieć, ale próbuje to ukryć. Od kilku dni już wie. Powinna zadzwonić do mecenasa Stelmaszczyka i upewnić się, że wysłał pozew. Sięgnęła do kieszeni, w której trzymała telefon, ale ta okazała się pusta. Komórka została na blacie kuchennym.

– Kurwa! – syknęła.

Okej, okej, zrobię to później, myślała nieprzytomnie. A na jutro zapowiadali duży deszcz, więc rano oświadczę dzieciom, że nigdzie nie jedziemy, bo pogoda brzydka. Pozwolę im zostać w domu. Andrzej natomiast będzie musiał iść do pracy.

Tak, tak zrobię.

Nareszcie trochę się uspokoiła.



Nie mogłam tak dłużej stać pod szkołą i patrzeć na wychodzących uczniów. Za moment ochroniarz albo woźna przegonią mnie, jak jakiegoś podglądacza, uśmiechnęłam się pod nosem. Tego by jeszcze brakowało.

Nie chciałam wracać do domu. Nie czułam się już tam dobrze. Miałam wrażenie, że tęsknię już za Adamem, a przecież rozstaliśmy się zaledwie pół godziny temu.

W końcu tylko ze sobą spaliśmy, nie powinnam się do niego przywiązywać. A może chodziło o samotność? Odczuwałam w tym domu dojmującą samotność. Brak babci i dziadka, brak ukochanego przyjaciela, mnóstwo sentymentalnych podróży w przeszłość, które zawsze kończyły się w ten sam sposób – bolesny powrót do rzeczywistości z obrażeniami na sercu.

Powiodłam spojrzeniem po fali wypływającej ze szkoły po dzwonku na przerwę. Czekałam i czekałam, ale nic się nie działo, ponieważ problem polegał na tym, że nie wiedziałam, na kogo czekam. Zastanawiałam się po prostu, kogo zaczepić, żeby porozmawiać o Borkowskim. Oczywiście, najlepiej byłoby wytypować jakieś dziewczyny, bo przecież to nimi interesował się ten obmierzły typ, ale może lepiej zaczepić jednak chłopaka?

Moją uwagę zwróciło trzech dryblasów, którzy równie dobrze mogli mieć czternaście, jak i dziewiętnaście lat. Stali pod olbrzymim kasztanowcem, który rzucał stopy liści. Chłopaki kitrali się za konarem tuż za ogrodzeniem szkoły i palili fajki. Podeszłam do nich.

– Cześć – zagaiłam przyjaźnie, a ci odruchowo schowali dłonie za plecy.

Opanowałam parsknięcie i przyjrzałam im się pospiesznie.

Jednemu z nich szpecił twarz silny trądzik, drugiemu sypnął się już wąs, a trzeci miał zadatki na dość przystojnego. Oczywiście, wszystko mogło się jeszcze zmienić na korzyść dwóch pierwszych.

– No cześć – odpowiedział ten z zadatkami na przystojnego i uśmiechnął się, wypuszczając kłęb dymu.

– Mogę was o coś zapytać? – powiedziałam i nie dając im dojść do słowa, kontynuowałam. – Jestem dziennikarką, nazywam się Olga Linga. Piszę reportaż o wypadkach drogowych z udziałem pijanych kierowców – zawiesiłam głos.

– Ale my jeszcze nie mamy prawka – zaśmiał się ten z wąsem i zabrzmiało to tak, jakby chciał dodać, że jeszcze nie jeździli po pijaku, chociaż pewnie do tego dojdzie.

– Tak, wiem. Ale chciałabym zapytać was o nauczyciela, który zginął w wypadku prawie rok temu. Znaliście Andrzeja Borkowskiego, prawda?

Chłopcy spojrzeli po sobie w znaczący sposób. Bingo, pomyślałam zadowolona.

– Zналиśmy, a co? – zapytał trochę defensywnym tonem ten z zadatkami na urodę.

– Mam zamiar napisać o nim i o tym tragicznym wypadku jego rodziny – oświadczyłam. – Możecie mi coś o nim powiedzieć? Wiecie, jakieś dobre słówko od uczniów – podpuściłam ich.

Ten z trądzikiem parsknął głośno.

– Zły adres, proszę pani. – Zgasił peta o rant stojącego nieopodal śmietnika.

– Tak? Nie lubiliście go? – zdziwiłam się. – Słyszałam, że to był fajny nauczyciel.
– Udałam naiwną.

– Taaa – zakpił ten z wąsem. – Moja siostra może opowiedzieć, jaki to on był fajny – rzucił z odrazą.

– A ty możesz powiedzieć coś więcej? – zapytałam łagodnie, ale serce waliło mi jak szalone.

– Kolo został wyjebany z poprzedniej szkoły za macanie się z uczennicami. Wszyscy to wiedzieli – powiedział ten przystojny. – Niech sobie pani doda dwa do dwóch. – Wypuścił kłęb dymu z ust i przymknął oczy.

– Może to pomówienia. – Dalej odgrywałam naiwną reporterkę.

– Taa, pomówienia. To jebany zbok – stwierdził z obrzydzeniem wąsaty. – Jego siostrę – wskazał na tego z trądzikiem – zapraszał na „korepetycje” po godzinach i to w jakiejś knajpie za miastem. I nie tylko ją zresztą. Niektóre laski się skusiły – dodał z niesmakiem.

– I nikt na to nie zareagował? Nie widział tego? Nikt się nie poskarżył? – zdziwiłam się, tym razem autentycznie.

Jak to było możliwe, skoro tylu ludzi wiedziało, że Borkowski miał ciągoty do uczennic.

– Bo co niby? Nikogo do niczego nie zmuszał, nie? – stwierdził z trądzikiem. – Ani nie molestował. Po prostu je podrywał. – Wzruszył ramionami.

– No ale przecież za to powinno być dyscyplinarne zwolnienie i prokurator – stwierdziłam coraz bardziej zszokowana.

A może naprawdę naiwna? Przecież nie od dziś wiadomo, że najciemniej pod latarnią, a życie szkoły z perspektywy uczniów i nauczycieli to dwa zupełnie inne światy.

– Gównu by mu zrobili – zbagatelizował młodziak z wąsem. – Dobrze, że się rozjechał na tej drodze, chociaż tych jego dzieciaków szkoda. I starej – dodał.

– Myślicie, że mógł celowo spowodować wypadek? – pociągnęłam temat.

Wszyscy trzej wzruszyli ramionami.

– Niby po co? Wyglądał na zadowolonego z siebie, miał młode dupy pod ręką, po co miałby zaliczać zgoną? – powiedział któryś z nich i w tym momencie zadzwonił dzwonek na lekcje.

– Spadamy – powiedział ten z zadatkami.

– Tak, jasne. Dzięki, chłopaki, za rozmowę. – Uśmiechnęłam się. – Gdybyście chcieli się jeszcze czymś podzielić, to można się ze mną skontaktować pod tym numerem telefonu. – Wręczyłam im wizytówkę z logo edynburskiego portalu newsowego, na której napisałam mój polski numer telefonu.

– Jasne – krzyknął któryś.

Niedbale powlokli się do głównego wejścia, gdzie nastąpiła fala zwrotna do szkoły, ale już wolniejsza, mniej entuzjastyczna niż kwadrans temu. Korciło mnie, żeby zadzwonić do Marzeny i zamienić z nią kilka słów na temat tego, co usłyszałam od chłopaków, ale stwierdziłam, że skoro jest w pracy, nie będzie miała czasu na pogaduchy.

Wracając do samochodu, zastanawiałam się, czy rzeczywiście nikt z grona pedagogicznego nie próbował interweniować u dyrekcji w sprawie takiego śliskiego nauczyciela, jakim był Borkowski. Z tego, co mówiła Marzena, ktoś coś dopiero zaczynał podejrzewać.

Dotarłam do auta, wyciągnęłam z niego laptop i ruszyłam do najbliższej knajpki, gdzie będę mogła chwilę popracować. W małych miastach rzadko natrafiało się na tego typu miejscówki, a już tym bardziej otwarte o dziesiątej rano. Trochę pospacerowałam, aż natrafiłam na najprawdziwszą kawiarnię o nazwie Babeczka. Uśmiechnęłam się do siebie, bo zarówno nazwa z różowym napisem i rysunkową słodkością, jak i bardzo przyjazny, jasny wystrój tchnęły we mnie nowe siły.

U miłej dziewczyny zamówiłam sobie americano z mlekiem i dwie babeczki, jedną z jagodami, drugą z czekoladą. Za moich czasów nie było tu takich fajnych miejsc, pomyślałam, odbierając zamówienie w różowej, zdobionej zastawie. Poczulałam się jak Alicja w Krainie Czarów, która nagle z ciemnego i mrocznego miejsca przeniosła się do świata, w którym królowały wszystkie kolory tęczy.

Usiadłam przy oknie i wyjęłam laptop. Zanim upiłam łyk kawy, sprzęt był już gotowy do pracy. W wyszukiwarce wklepałam hasło *zaginięcie* i nazwę powiatu. Co było oczywiste, na pierwszy plan wyskoczył artykuł o zaginięciu biednego Piotrka, ale już z aktualizacją o odnalezieniu jego zwłok. Mimo przyjaznego otoczenia kawiarni, w której się znalazłam, znowu owionął mnie zimny podmuch tego mrocznego miejsca, z którego próbowałam się na moment uwolnić.

W oczy rzuciło mi się zdjęcie rodziców Piotrka. Zamarłam na widok dwojga zniszczonych tą tragedią ludzi. Nagle straciłam apetyt, a kolory wokół zaczęły blednąć.

Nie mogłam jednak przestać. Niestety, kolejne wyniki wyszukiwania nie przynosiły niczego nowego. W tych okolicach nie doszło do tajemniczych zaginięć ani morderstw młodych dziewcząt. Pocieszałam się, że to dobra informacja, tylko nic nie wносиła do mojej sprawy.

A może myliliśmy się z Adamem co do Andrzeja Borkowskiego? Może był zwykłym obmierzłym typem, który lubił młode dziewczyny, ale nikogo nie zamordował? A może po prostu nie zdążył nikogo zabić albo był na tyle ostrożny, że chciał wybrać odpowiedni moment. Może zapewnił sobie alibi?

Boże, jęknęłam w myślach. To wszystko to były czyste spekulacje. Na czymś takim nie dam rady oprzeć wiarygodnej obrony Mateusza. Chyba że uda się powiązać nauczyciela z zaginięciami dziewczyn z Pomorza, wtedy można by wysnuć wniosek, że przytłoczony rozwodem, złą sławą i dziwną atmosferą w pracy, jaka zaczęła wokół niego się tworzyć wśród nauczycieli, mógł się po prostu załamać i dokonać rozszerzonego samobójstwa, żeby się zemścić na żonie. Tylko to przeczy

teoriom o osobowości psychopatycznej. Jest nacechowana olbrzymią megalomanią i egoizmem. Psychopaci nie myślą o odebraniu sobie życia, bo dla nich ich własna egzystencja i dobrostan są najważniejsze na świecie. Raczej nie targają się na swoje życie, gdy coś nie idzie po ich myśli. Do końca chcą się ratować z opresji.

Wyciągnęłam notes i otworzyłam go na stronie z prowizorycznym rysunkiem trzech domów. Wciąż nie mogłam połączyć tych wszystkich elementów. Obok budynku, który reprezentował dom dziadków, naszkicowałam duże drzewo. Mój dąb. Czy powinniśmy łączyć śmierć chłopca z tym, o co podejrzewamy Borkowskiego? Przecież fakt, że chłopiec, który zniknął, mieszkał w pobliżu Borkowskich, musi o czymś świadczyć. To nie mógł być przypadek.

Dopiłam kawę i postanowiłam ponownie kogoś odwiedzić. Babeczki zapakowałam na wynos i wróciłam pospiesznie do samochodu. Zegar wskazywał jedenastą przed południem. Idealna pora na rozmowę.

Pięć minut później zaparkowałam nieopodal nawiedzonego domu, który z zewnątrz wydawał się zupełnie zwyczajny, ale po przekroczeniu progu człowiek dostawał gęsiej skórki. I nie chodziło o moją projekcję o mieszkańcach czy o świadomość, że ci, którzy zajmowali ten dom, nie żyją. Było w tym coś zupełnie innego. Jakby zła energia tego domu próbowała się wydostać na zewnątrz.

I wtedy pomyślałam o creepy wierszyku na skrawku papieru, który znalazłam w piwnicy z pozostałymi fantami. Przypomniałam sobie, że kiedy w domu otworzyłam pudło, nie było go tam. Musiał wypaść w trakcie ucieczki w deszczu. Nie miałam pewności, że to coś znaczyło, ale powinnam tam jednak wrócić i obejrzeć podwórko... a może sprawdzić, czy drzwi prowadzące z piwnicy na górę są otwarte?

Ale to potem, przekonywałam siebie. Najpierw musiałam porozmawiać z sąsiadką.

Miałam szczęście, kobieta właśnie wracała z zakupów, objuczona torbami. Podbiegłam do niej.

– Pomogę pani?

Kobieta spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jakbym zapytała, czy nie jest daleką krewną Elvisa. Najwyraźniej coś takiego jej się nie przydarzało, niestety.

– Pamięta mnie pani? Byłam kilka dni temu w sprawie wynajęcia domu – przypomniałam.

– Ach tak. I jak? Udało się? – Od razu się rozluźniła. Wielkie płócienne torby postawiła na chodniku przed posesją i zaczęła machać ścierpniętymi rękami, po czym zanurkowała do torebki przewieszanej na ramieniu i wyciągnęła plik kluczy spiętych na smyczy.

– Będę szczerą – zaczęłam. – Nie wynajmuję tego domu.

– Nie? – zdziwiła się.

Właśnie odmykała furtkę, więc chyba mnie nie słuchała.

– Jestem dziennikarką i piszę artykuł o wypadku rodziny Borkowskich.

To ją dopiero zainteresowało, bo spojrzała na mnie zaintrygowana.

– O wypadku? Ale po co? Przecież wjechał w nich pijany kierowca. O czym tu pisać?

No tak. Prosto, zwięźle i nieprawdziwie.

– Hm, może się okazać, że niekoniecznie tak właśnie było – stwierdziłam. – Ma pani chwilkę?

Spodziewałam się, że kobieta zacznie się bronić, że nic nie wie i nie chce rozmawiać z dziennikarzami, ale, ku mojemu zaskoczeniu, westchnęła ciężko i zaprosiła mnie na posesję. Poderwałam z chodnika jedną z jej toreb i razem ruszyliśmy w stronę domu. Wewnątrz panował rozgardiasz. W przedpokoju walały się różnej wielkości buty. Od maleńkich po olbrzymie w rozmiarze chyba czterdzieści pięć. Kobieta kilkoma kopnięciami zgarnęła je pod ścianę.

Uśmiechnęłam się na ten widok.

Gdy znalazłyśmy się w dużej, widnej kuchni, gospodyni zapytała, czy nie będzie mi przeszkadzać, jak zajmie się najpierw mrożonkami.

– Proszę się mną nie przejmować – zapewniłam z uśmiechem i przysiadłam na jednym z krzeseł przy stole.

Obserwowałam, jak mimo zmęczenia kobieta sprawnie zamaszystymi ruchami rozpakowuje zakupy. Kiedy do lodówki włożyła już te rzeczy, które w pokojowej temperaturze mogłyby się rozmrozić, zwróciła się do mnie:

– Może kawy? – zaproponowała.

– Jeśli można, to poproszę herbatę.

Byłam już odpowiednio nasycona kofeiną. Gospodyni skinęła głową i nastawiła czajnik.

– Tak w ogóle to jestem Irena. – Wyciągnęła do mnie rękę.

– Olga – przypomniałam i uścisnęłam jej dłoń.

Czajnik zagwizdał, a Irena zabrała się do przygotowania mojego napoju. Gdy był już na stole przede mną, zapytała:

– Co pani chce wiedzieć?

Wróciła do rozpakowywania reszty zakupów.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć na temat tej rodziny. – Głową kiwnęłam w kierunku domu, który kiedyś zajmowali Borkowscy. – Czy uważa pani, że istnieje cień szansy, że ten wypadek zaistniał z ich winy? A dokładniej z winy Andrzeja Borkowskiego?

– Pyta pani, czy miał powód, żeby się zabić i to z całą rodziną? – sprecyzowała bardzo rzeczowo.

Skinęłam głową.

Zatrzymała się z siatką pomarańczy w rękach i oparła dłońmi o stół.

– A czy ktokolwiek wie, co naprawdę dzieje się w domach? – odpowiedziała pytaniem. – Nie trzeba szukać daleko. – Rozerwała siatkę i umieściła owoce w koszu na stole. – Moja znajoma z pracy. Nie widziałyśmy się kilka lat. Zawsze roześmiana, rozgadana i pełna życia. Niedawno dowiedziałam się, że się zabiła. Tabletkami – powiedziała zmęczonym głosem. – Potem ludzie zaczęli gadać, że w domu miała piekło. Mąż przemocowicie wykańczał ją psychicznie. I nie, że od niedawna. Od lat, pewnie nawet od zawsze. Nikt nic nie podejrzewał, bo skąd. – Pokręciła głową. – Nawet jak u Borkowskich działo się coś nie tak, to ja o tym nie wiedziałam, bo na zewnątrz nie widać, a oni nie udzielali się sąsiedzko, ale... – zawahała się.

– Coś jednak panią zaintrygowało? – podsunęłam delikatnie.

Nie chciałam jej dociskać, jednak właśnie tego typu „ale” potrafi sporo powiedzieć o sąsiadach.

– Borkowska się chyba z kimś spotykała – powiedziała, wzruszając ramionami. – Przynajmniej tak mi się wydawało. Wie pani, siłą rzeczy widzi się niektóre sytuacje i nie żebym się interesowała plotkami. Nic z tych rzeczy – zastrzegła. – Po prostu czasem widziałam, że jak mąż poszedł do pracy, to za niedługo ktoś do niej przychodził. Mężczyzna.

– Może krewny? Kuzyn? – zapytałam, przyjmując naiwny ton.

Wzruszyła ramionami i do chlebaka wrzuciła pieczywo.

– Pewności nie mam, ale mnie to wyglądało na schadzkę, a nie na kuzyna. Wie pani, tam za ich domem jest zarośnięta ścieżka. – Podeszła do okna i wskazała ręką kierunek. – Czasem idę tamtędy na skróty do przystanku. I widywałam ich właśnie tam, przy ich ogrodzeniu.

Moje serce przyspieszyło z ekscytacji, bo to zaczynało układać się w jakiś schemat.

– Widziała pani tego mężczyznę z bliska!? Jak wyglądał?

– Z bliska nie, ale... raczej młody, a na pewno młodszy od niej – powiedziała. – I wysoki, ale był za daleko, żebym mogła coś więcej powiedzieć.

Skinęłam głową, mocno zaskoczona tym, czego się dowiedziałam. Hm... Czyli kolejny powód do zbiorowego samobójstwa. Borkowski nie wytrzymał i zabił żonę? Ale nie tak to się zazwyczaj odbywa, skonstatowałam. Żeby żona dostała nauczkę, zabrałby jej dzieci, a ją pozostawił przy życiu.

– Myśli pani, że to mógł być powód do... do spowodowania wypadku? – zapytała Irena i przysiadła się do stołu. – To chyba nie ten typ – dodała, krzywiąc się.

– Co pani ma na myśli?

– Wydaje mi się, że on nie był człowiekiem, co się zabija, bo go żona zdradzała – wyjaśniła. – Taki ktoś albo zabija żonę, a potem siebie, albo zabija dzieci, żeby się na niej zemścić. – Upiła łyk kawy.

Podniosłam ze zdziwienia brwi.

– Słucham podcastów kryminalnych – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Wie pani, jak sprzątam albo gotuję. Romanse mnie nudzą, thrillery wymagają skupienia i śledzenia tego, co się dzieje, a takie podcasty są idealne.

– Mam tak samo. – Uśmiechnęłam się. – I również nie uważam, że rozwód był powodem samobójczej śmierci.

– Czyli nie wierzy pani w tę teorię? – zagadała.

– No właśnie nic już nie wiem. – Podparłam dłonią podbródek i przygryzłam wnętrze policzka. – No nic. Nie będę już pani zawracała głowy.

– Ale spokojnie, widzi pani, jaka jestem zajęta. – Ręką zatoczyła koło po pomieszczeniu i się zaśmiała. – Czasami fajnie tak pogłównkować i rozwiązywać zagadki kryminalne z własnego podwórka.

Tym razem to ja się uśmiechnęłam. Chyba nieświadomie trafiłam na bratnią duszę.

– Gdyby przypomniała sobie pani coś, to byłabym wdzięczna za telefon. – W drodze do drzwi wyciągnęłam wizytówkę i podałam ją kobiecie.

Byłam już na zewnątrz, gdy mnie zatrzymała.

– Jeszcze jedna rzecz w sprawie tego mężczyzny, z którym chyba romansowała Borkowska – zaczęła. – Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale chyba pracował w jakiejś firmie montażowej.

– Tak? – zainteresowałam się.

– Raz przyjechał samochodem z logo firmy. Fotowoltaika, a może wymiana pieców, jakaś ekologia. Dokładnie już nie pamiętam. – Wzruszyła ramionami. – Coś takiego.

W gardle poczułam gulę, która niemal uniemożliwiła mi przełknięcie śliny.

– Nie pamięta pani firmy? – wykrztusiłam z trudem.

– No nie, ale logo było żółto-czerwone.

Na miękkich nogach ruszyłam do samochodu. Zerwał się gwałtowny wiatr i momentalnie zrobiło się bardzo zimno. Nogi same poniosły mnie w stronę zarośniętej ścieżki, którą dostałam się już dwukrotnie na posesję nawiedzzonego domu. I najwyraźniej nie tylko ja.

Zaczęłam składać wszystkie fakty w jedną całość i czułam coraz większy zawrót głowy. Tylko dzięki zapachowi mokrej od deszczu ziemi i krzakom trzymałam się jeszcze na nogach.

Musiałam się skupić.

Marzena powiedziała, że Adam zerwał z nią, bo chyba poznał kogoś innego. Kiedy to było? Próbowałam sobie to wszystko poukładać po kolei w logiczną całość. Przeszłam przez kratę, a mokre gałęzie chlasnęły mnie po policzku. Potarłam twarz ramieniem i ruszyłam w stronę drewnianej huśtawki. Jej siedzisko było wilgotne, ale w ogóle mi to teraz nie przeszkadzało. Usiadłam ostrożnie i zaczęłam się delikatnie bujać. Ten hipnotyczny ruch i skrzywienie gałęzi, jak uderzenie metronomu, uspokajały mnie i pozwoliły skupić myśli.

Adam poznał Anielę Borkowską, gdy wymieniał albo serwisował jej piec. A może przy zupełnie innej okazji? Wpadli sobie w oko i nawiązali romansować. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy fakty zaczęły się układać jak idealnie dopasowane puzzle w całość, która miała gorzki smak.

A więc Adam od początku mnie oszukiwał! Nasze spotkanie musiało być częścią jego planu.

Pustym wzrokiem patrzyłam na dom, który bujał się razem ze mną.

Adam pałał do Borkowskiego olbrzymią niechęcią i od razu obarczał go winą za wszystko, nawet śmierć Piotrka mu przypisał. A może próbował kogoś chronić? No tak! Może chodziło o zapewnienie ochrony kochance? A jeśli to ona zabiła Piotrka!? Adam pomógł jej zakopać ciało, a potem urządził spektakl, w który mnie wmieszał?

Pokręciłam głową, dziwiąc się własnej naiwności. Byłam wściekła, ale też jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby połączyć wszystkie elementy w całość.

Co wiedziałam o Anieli Borkowskiej? Nic. Zupełnie nic. Matka, żona, a reszta to całkowita niewiadoma. Musiałam wejść do tego domu raz jeszcze. Tym razem nie mogłam się ograniczać tylko do piwnicy.

Poderwałam się z huśtawki i ruszyłam do piwnicznego okienka. Tym razem dostanie się do środka poszło mi zaskakująco szybko. Chyba nabierałam wprawy. Piwnica za dnia wydawała się o wiele większa i bardziej zagracona. I oczywiście o wiele łatwiej się w niej poruszałam, a ciemne kąty już nie straszyły. Nie chciałam jednak zatrzymać się tu na dłużej. Interesowało mnie wnętrze domu.

Weszłam na schody prowadzące na piętro, ale na moment przystanąłam. Zaczęłam nasłuchiwać. Nic. Cisza. Wspięłam się na górę i wstrzymując oddech, nacisnęłam kłamkę. Ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu, drzwi ustąpiły.

Odetchnęłam z ulgą i pchnęłam je. Gdy przekroczyłam próg domu Borkowskich, owionął mnie zapach pustki. Niezamieszkanе domy tak właśnie pachniały. Nutką pozostawionego po sobie życia domowników i olbrzymią pustką ziejącą z każdego zakamarka.

Przedpokój był wyłożony staroświecką boazerią, a na podłodze, wzdłuż korytarza leżał bordowy chodnik. Ruszyłam ostrożnie w stronę kuchni. Była przestronna i przytulna. Dębowe meble, podniszczone, ale wciąż nadające się do użytku. Duże okna wpuszczające mnóstwo światła. To, co rzuciło mi się w oczy w pierwszej kolejności, to fakt, że była bardzo porządnie wysprzątana. Ktoś ewidentnie musiał tu być po ich śmierci. Z tego, co wiedziałam, to Borkowscy wyjechali z domu z samego rana, a to raczej niemożliwe, żeby nie pozostawili po sobie choćby nieumytej szklanki w zlewie czy przewieszzonej przez poręcz krzesła ściereczki.

Na blacie nie było nawet okruszka. Jedyna rzecz, która zakłócała idealny porządek, to lokalna gazeta „Wieści Janówka”, która leżała na stole. Przypomniałam sobie, że znalazłam podobną w domu babci i dziadka. Była odwrócona stroną, na której znajdowała się wypełniona krzyżówka.

Ta sterylność zacierała ślady bytności rodziny i tym samym jakieś drobne fakty z jej życia, które mogłyby pomóc w całość złożyć obraz.

Czyżby zrobił to Adam? To on był w domu, gdy w nocy buszowałam po piwnicy? Serce przyspieszyło mi w piersi. Czy naprawdę aż tak pomyliłam się co do tego chłopaka? Odsunęłam myśli o nim, bo emocje tylko przytępiały mój zdrowy osąd. Potrzebowałam wyzerować uczucia.

Weszłam na górę. Moim oczom ukazał się spory korytarz, również z nieśmiertelną boazerią na ścianach. Przystanąłam na środku i próbowałam wyobrazić sobie dzieci biegające po luźnych klepkach. Ich śmiech, przekomarzania i kłótnie. Ich codzienną rutynę. Tę poranną i wieczorną.

Minęłam wiszącą na ścianie reprodukcję *Szarży ułanów* Kossaka i weszłam do pierwszego pokoju z prawej. Drzwi zaskrzypiały głośno, aż się wzdrygnęłam. Pomieszczenie było pokaźnych rozmiarów z ikeowskim łóżkiem pod ścianą. Prosta forma mebla kontrastowała z wystrojem reszty pokoju, który pamiętał jeszcze lata dziewięćdziesiąte. Tu również panował ład.

Pokój Andrzeja i Anieli Borkowskich. Po miękkim dywanie z długim włosiem podeszłam do okna i odchyliłam na bok firanę. Zaraz jednak oprzytomniałam i szybko ją opuściłam. Przecież nie powinno mnie tu być, a ktoś z sąsiadów mógł zauważyć falowanie materiału i w najlepszym wypadku pofatygować się tu osobiście, żeby sprawdzić, co tu się dzieje.

Z tej strony jak na dłoni widać było ulicę przed domem, czyli z pokojów po przeciwnej stronie, najpewniej należących do dzieci, można było obserwować podwórze.

Odwróciłam się i podeszłam do lakierowanej szafy, której ciężkie skrzydła ledwie wisiały na zawiasach. Rozwarłam drzwi. Widok wnętrza nie różnił się niczym od tego, co znajdowałam w mojej szafie w Edynburgu. Kilka sukienek, trzy pary dzinsów, żakiet, kilka swetrów. Nic wyszukanego. Aniela musiała stawiać na wygodę, a nie modę. Zdziwiłam się, że w szafie nie było żadnych ubrań jej męża. Musiały tu wcześniej wisieć, bo jedna część drążka była po prostu pusta.

Otworzyłam dolną szufladę. Ani śladu męskiej bielizny. Rozejrzałam się po pokoju. Nie było w nim ani jednego męskiego akcentu. Pomieszczenie zostało wyczyszczone z rzeczy Andrzeja Borkowskiego.

Dlaczego?

Sam raczej nie mógł tego zrobić bez wiedzy i pytań żony, zastanawiałam się. Wątpiałam, żeby zrobił to Adam, bo niby w jakim celu. Jeśli to nie on, to kto? Kim była tajemnicza osoba, która buszowała po domu po śmierci rodziny?

W pośpiechu wybrałam numer Ligockiego. Odebrał po trzecim dzwonku.

– Jeśli chodzi o te rzeczy, to jeszcze... – zaczął, ale mu przerwałam.

– Nie, nie chodzi o te rzeczy.

– A o co tym razem? – zapytał, a ja w wyobraźni widziałam jego podniesioną brew.

– O Waldemara Sysio, właściciela domu, w którym mieszkali Borkowscy – powiedziałam i w myślach dodałam, w domu, w którym aktualnie przebywam.

– Co z nim?

– Czy jego coś łączyło z tą rodziną? Byli jego krewnymi albo coś takiego?

– Nie wiem, ta informacja nie była nam do niczego potrzebna w toku postępowania – wyjaśnił zniecierpliwionym, ale spokojnym głosem.

Zakłęłam w myślach.

– Rozumiem, a gdzie mogłabym uzyskać tę informację?

Ligocki westchnął ciężko.

– A można łaskawie wiedzieć, po co pani ta informacja? – zapytał podejrzliwie. – Myślałem, że daje pani sobie już z tym spokój. Jeśli to, co mi pani przekazała, okaże się prawdą, myślę, że rozwiąże się i pani sprawa.

– A Piotrek? Przecież ktoś zakopał jego ciało pod moim drzewem – powiedziałam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. – Jak to się ma niby samo rozwiązać?

– Tym zajmuje się starszy sierżant Sachajko i prokurator.

Na moment zamilkłam, bo chciałam zapytać o Adama i informacje, które właśnie uzyskałam. Musiałam to zrobić. Odchrząknęłam.

– Czy wykluczycie udział Adama Anielewicza w zabójstwie dziecka?

Przełknęłam głośno ślinę i przymrużyłam oczy w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Ma niepodważalne alibi na ten czas – odparł z nutką zawodu, jakby bardzo chciał, żeby chłopak jednak tego alibi nie posiadał.

Dyskretnie wypuściłam powietrze z płuc. Wiedziałam, że alibi jeszcze niczego nie rozwiązywało.

– Czy udało się stwierdzić, czy ciało dziecka zakopano w dniu morderstwa? – dążyłam.

– Patolog nie był w stanie tego jednoznacznie stwierdzić, ale mogło tak być. Na jego ubraniu nie znaleziono innej gleby czy śladów, które mogłyby świadczyć o przetrzymywaniu dziecka w innym miejscu. Nie był wygłodzony ani nic z tych rzeczy – stwierdził.

– Czyli nie chodziło o motywy seksualne? – dopytywałam.

– Nic na to nie wskazuje, ale musi pani zrozumieć, że trudno po takim czasie z całą pewnością stwierdzić. W każdym razie dziecko było w pełni ubrane. Dokładnie w te rzeczy, które chłopiec miał w dniu zaginięcia.

– Rozumiem.

– Myśli pan, że to mógł zrobić Borkowski?

Ligocki sapnął głośno.

– Pyta mnie pani o coś, czego w tej chwili nie wie nikt, a ja nie jestem wróżbitą.

– Pytam o pana zdanie w tej sprawie na podstawie doświadczenia – sprecyzowałam.

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, myślę, że nie. Jeśli jest tym, za kogo go pani bierze, to raczej morderstwo nastoletniego chłopca nie wpisuje się w ten schemat. Ale to tylko spekulacje, bo przecież nie wiemy jeszcze za dużo – zastrzegł.

– Poza tym proszę wziąć pod uwagę miejsce ukrycia dziecka. Nic go nie łączyło z pani dziadkami.

– To, że gospodarstwo jest niezamieszkane, wiedzieli wszyscy we wsi. Nietrudno uzyskać taką informację, nawet przypadkiem.

– Śledztwo zostało wznowione. Proszę pozostawić tę sprawę organom ścigania – zakończył z nutą zmęczenia w głosie.

Już miałam sarknąć na ten komentarz, ale się powstrzymałam. Nie chciałam robić sobie z niego wroga.

– Będę wdzięczna za jakieś informacje w sprawie domu Borkowskich.

– Zrobię, co będę mógł – oświadczył i się pożegnał.

Raz jeszcze przejrzałam wszystkie szuflady i szafki w sypialni małżeństwa, ale oprócz kilku osobistych rzeczy należących do Borkowskiej, niczego nie znalazłam. Przeszłam do sypialni jednego z dzieciaków. Sądząc po stosie pluszaków i różowych zasłonach w oknie, znalazłam się w pokoju Kingi. Podeszłam do tablicy korkowej, na której było przypięte zdjęcie całej rodziny. Zdjęłam je i przyjrzałam się mu. Na fotografii musiała mieć jakieś cztery lata. Rodzina znajdowała się na plaży. Wyglądali jak aktorzy zatrudnieni do odegrania roli idealnej rodzinki. Wszyscy się uśmiechali, morską bryza targała ich włosy i ubrania. Za nimi gdzieś na horyzoncie majaczył stateczek, a nad falami fruwały mewy. Istna sielanka.

Przyjrzałam się mężczyźnie. Miał zawadiacki uśmiech, jasne, gęste włosy i na pozór łagodne spojrzenie. Na pozór, bo emanował czymś niesprecyzowanym, czego nie byłam w stanie określić, a co budziło niepokój. Rozumiałam już Marzenę, która twierdziła, że w jego towarzystwie nie czuła się dobrze. Mimo to miał w sobie dziwny urok, któremu ulegały młode dziewczyny. Czy te, które zaginęły na Pomorzu, zrobiły coś nie tak? Odrzuciły go? Albo wręcz przeciwnie, chciały czegoś więcej. A może po prostu przymus zabijania był silniejszy niż cokolwiek innego i wszystko inne nie miało znaczenia?

Nie mogłam się w to zagłębić bardziej, bo przecież przyjechałam tu dla Mateusza i cały zgromadzony zapas energii powinnam poświęcić jego sprawie. Nie wykluczałam jednak, że po „wszystkim”, jak nazywałam w myślach sprawę Mata, wybiorę się w tamte rejony, żeby bliżej się przyjrzeć życiu dziewczyn.

Przeniosłam spojrzenie na Anielę Borkowską. Na pierwszy rzut oka niepozorna. Jasna, delikatna, porcelanowa cera, popielate blond włosy. Uroda w stylu udomowionej Królowej Śniegu, czyli uniwersalny kanon, który podoba się każdemu mężczyźnie, pomyślałam z goryczą. Im dłużej przyglądałam się Anieli, tym mocniej zdawałam sobie sprawę z tego, że zostałam przez Adama wkręcona w jakąś chorą grę, w której byłam pionkiem. Co gorsze, Adam grał na moich emocjach, a tego nie byłam mu w stanie wybaczyć.

Pasowali do siebie, pomyślałam. On i Aniela Borkowska. Oboje klasycznie urodziwi, nawet różnica wieku nie była zauważalna. Równie dobrze mogli uchodzić za równolatków. Aniela pasowała też do Andrzeja. Byłam pewna, że pasowałaby do każdego przystojnego mężczyzny.

Za to dzieci nie wyróżniały się wyglądem. Były dość przeciętnej urody, ale wydawały się sympatyczne. Kinga o włosach mysiego koloru i drobnej, puciołowatej twarzyczce i Arek z dziarskim wyrazem twarzy i oczami matki. Jaki straszny spotkał ich los... W moim gardle pojawiła się gula, bo uświadomiłam sobie jedną rzecz. Każdy miał kogoś, kto będzie walczył o jego prawdę. Piotrek, Mateusz, nawet dziewczynki z Pomorza, ale o Kingę i Arka nikt się nie upomina. Obok ich śmierci ludzie przeszli obojętnie, jakby te dzieci były tylko marionetkami, a przecież to one miały przed sobą całe życie i ktoś im je gwałtownie odebrał. Obawiałam się, że to właśnie osoba, która miała je chronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami, tego dokonała.

Arek i Kinga też zasługiwali na prawdę.

Schowałam to zdjęcie do kieszeni dzinsów i ostatni raz rzuciłam okiem na niewielki pokój dziewczynki, dopadł mnie olbrzymi smutek. To dziecko miało swoje plany, marzenia. Może nie dalekosiężne, ale nawet te najmniejsze były ważne. Jeśli ten skurwiol celowo spowodował wypadek i zabił swoje dzieci, to powinien teraz smażyć się w piekle.

Już miałam wychodzić z pokoju, gdy mój wzrok przykuł kolorowy notesik na półce biurka. Sięgnęłam po niego i otworzyłam na pierwszej stronie, gdzie niewprawnym pismem dziewczynka zapisała adresy i numery telefonów. Przekartkowałam go. Wydało mi się to bardzo wzruszające, tym bardziej teraz, gdy całe nasze życie pakowało się do jednego urzędnika. Kinga wolała to wszystko mieć w ładnym kolorowym notesiku. A może to na wypadek, gdyby zgubiła telefon albo w ogóle go nie miała?

Zatrzymałam się na stronie, na której znajdował się numer i opis: *babcia i dziadek*, otoczony małym serduszkim. Uśmiechnęłam się i wklepałam numer do swojego telefonu. Odłożyłam notesik na miejsce, ale w tym czasie na blat biurka spadła złożona kartka, która w zasadzie pojawiła się znikąd, bo wcześniej wydawało mi się, że oprócz notesu na półce nie ma niczego więcej.

Podniosłam ją i rozłożyłam. Przez moje ciało przebiegł zimny dreszcz.

Nikt się nie dowie

Ela obudziła się w środku nocy zlaną potem. Śniło jej się, że ktoś zakopuje ją żywcem w grobie. Ziemia sypała jej się do ust i nosa. Nie mogła oddychać. Bardzo długo dochodziła do siebie, a gdy zerknęła na zegarek w telefonie, zbliżała się trzecia. Nie była w stanie już zasnąć. Obok nie było Andrzeja. W zasadzie to czuła ulgę, ale z drugiej strony targał nią niepokój.

Jak to bywało wcześniej, wstała i najpierw zajrzała do dzieci. Kinga leżała spokojnie pod przykryciem, co trochę ją zdziwiło, bo prawie zawsze nocą kołdra lądowała na podłodze. Weszła do pokoju córki, w którym panował zaduch. Dotknęła czoła dziewczynki. Było ciepłe, ale nie gorące. Musiała mocno spać, dlatego Ela rzuciła z niej przykrycie, żeby zwiększyć jej komfort spania i uchyliła okno. Przechodząc obok biurka, zauważyła, że pęd powietrza rzucił kawałek papieru. Było na nim coś napisane, ale z powodu ciemności nie zdołała tego przeczytać. Odłożyła kartkę na blat biurka i wyszła z pokoju.

Potem zajrzała do Arka. Ten leżał z rękoma rozłożonymi na boki, a jednoosobowe łóżko wydawało się dla niego za małe. Ale to nic. Już niedługo będą mogli wrócić do domu, a tam czekał jego duży, wygodny tapczan. Jeszcze tylko będzie musiała im powiedzieć o rozwodzie. Postanowiła, że zrobi to dzisiaj. Dzieci musiały wiedzieć, co się dzieje, o ile już się czegoś nie domyślały. Przecież widziały, że nie spędza czasu z Andrzejem, którego całymi dniami nie było w domu, a gdy się zjawiał, robił coś na podwórku albo zaszywał się w sypialni i mówił, że pracuje.

Ela była zdziwiona tym, że sam nie wspomniał o pozwie. Ponoć już go otrzymał, ale zachowywał się tak, jakby o niczym nie wiedział. To ją przerażało. Dzisiaj musiała odbyć wszystkie potrzebne rozmowy z rodziną, co bardzo ją stresowało i chyba stąd te koszmary.

Zeszła na dół do kuchni. Może Andrzej też nie śpi i miałiby czas, żeby w końcu ze sobą pogadać i wyjaśnić pewne sprawy. To jednak było nie fair, że w ten sposób załatwiała z nim rozwodowe kwestie. W końcu byli małżeństwem od kilkunastu lat i powinni być wobec siebie uczciwi... przynajmniej w tej sprawie, jeśli w innych nie potrafili.

Weszła do kuchni, w której panował półmrok. Zapaliła lampkę pod szafką kuchenną i wyjrzała przez okno. Niebo było czarne, przesłonięte grubą warstwą chmur i wyglądało na to, że lada chwila lunie z nich deszcz. I dobrze, pomyślała. Kolejny pretekst do tego, żeby zrezygnować z tej idiotycznej wycieczki, którą zaplanował Andrzej.

Co mu odbiło? Może to był jego sposób na konfrontację z pozwem rozwodowym. Chciał pokazać, że jednak mu zależy i że jest dobrym ojcem? Chyba trochę za późno, zauważyła z ironią.

Włączyła czajnik i czekała, aż woda się zagotuje. Chciała sobie zrobić ciepłej herbaty, bo na dole panował przenikliwy chłód. Owinęła się mocniej szlafrokiem. Gwizdek w czajniku zapiszczał. Szybko wyłączyła ogień i zalała kubek z torebką jaśminowej herbaty, jej ulubionej.

Nie mogła dłużej zwlekać. Skoro Andrzej już nie spał, to musieli porozmawiać. Najpierw jednak trzeba było go znaleźć. Wyszła na korytarz i wtedy usłyszała coś w piwnicy. Otworzyła drzwi do pomieszczenia. Z wnętrza wydobywał się słaby blask. Zaczęła bardzo wolno schodzić. Nie znosiła piwnic, głównie ze względu na gryzonie, ale ogólnie wszystkie podziemne wnętrza przyprawiały ją o dreszcze. Miała wrażenie, że schodzi do grobu.

Gdy znalazła się na samym dole, przystanęła i wyjrzała zza ściany. Jej mąż w pośpiechu przeszukiwał regały. W tym celu odkładał stare graty na bok i zaglądał we wszystkie kąty.

– Czego szukasz? – zapytała głośno, żeby ją usłyszał.

Spojrzał na nią nieprzytomnie, zastygając w miejscu. Wyglądał, jakby nie rozumiał, skąd się tu wzięła i dlaczego się do niego w ogóle odzywa.

– Czemu nie śpisz? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Nie mogę zasnąć – odparła i zesłała na ostatni stopień. – Co ty robisz po ciemku w piwnicy. Czego szukasz?

– Płaszcz przeciwdeszczowych – oświadczył jakby nigdy nic. – Przecież chcemy jechać na grzyby, a zanoszą się na deszcz. – Uśmiechnął się dziwnie.

– A propos tego wyjazdu. To raczej nie najlepszy pomysł – oznajmiła. – Jeśli chcesz jechać, proszę bardzo, dzieci i ja zostaniemy w domu. To nie jest pogoda na takie wypadki – dodała, podchodząc do niego bliżej.

– Okej. Skoro tak mówisz – powiedział, co też ją zdziwiło, ale jednocześnie poczuła ulgę, że nie będzie musiała się z nim o to wykłócać.

Jedna rzecz z głowy. Andrzej zaczął odkładać szpargały na miejsce. Tym razem bez pośpiechu, a wręcz z ociąganiem.

– Musimy pogadać. – Podeszła bliżej i opasała się ramionami.

Było jej koszmarne zimno tu na dole. Chciała jak najszybciej się stąd wydostać. Mieć to wszystko za sobą.

Andrzej podniósł na nią wzrok. Coś się w nim zmieniło. Coś znikło. Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiego spojrzenia. Pustego, niewidzącego. Zadrżała, tym razem nie z zimna, a trwogi.

– O tym pozwie, tak? – Uśmiechnął się zimno kącikiem ust.

Skinęła głową.

Podszedł do niej blisko, bardzo blisko. Już dawno nie byli tak blisko siebie jak w tej chwili.

– Myślałeś, że będę dalej znosić twoje romanse z nastolatkami? Albo przenosić się z miejsca na miejsce, bo ktoś ze szkoły to odkryje – wyrzuciła z siebie. – Tak, wiem, że znowu planujesz jakąś przeprowadzkę. Słyszałam, jak z kimś o tym rozmawiałeś. Kim w ogóle była ta kobieta? – zażądała odpowiedzi.

Nie dało się już uniknąć kłótni. Już osiągnęli punkt, w którym nie było innej drogi. Ona osiągnęła ten punkt jakiś czas temu. Dzięki nowo poznanemu chłopakowi uświadomiła sobie, że między dwojgiem ludzi może być po prostu dobrze. Nie musi być toksycznie. Ona nie musi być cały czas sama i nie musi znosić fanaberii męża. Koniec z tym.

– Nic nie słyszałaś – odburknął i energicznym ruchem wrzucił wór ciuchów na sam szczyt regału.

Ela się zaśmiała.

– Za kogo ty mnie masz? Za żonę z sitcomu z lat pięćdziesiątych? Nic nie widzi, nic nie słyszy, siedzi w kuchni i smaży naleśniki – wyrecytowała ze śmiechem.

Andrzej wykrzywił twarz w grymasie pogardy. Tylko raz uraczył ją takim wyrazem twarzy. Gdy po urodzeniu Kingi znowu poruszyła temat powrotu do pracy. Nie znosiła tej miny.

– Do tej pory ci to nie przeszkadzało – powiedział.

– Ale już mi przeszkadza – odparła agresywnie, zaraz jednak wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze z płuc.

Tak jak ją uczono na zajęciach jogi. Wdech i wydech.

– Andrzej – zaczęła łagodniej. – Od dłuższego czasu nam się nie układa i nie udawajmy, że jest inaczej.

– Skończ! – krzyknął. – Chcesz rozwodu, to go dostaniesz – dodał już spokojniej.

– Chcę wrócić z dziećmi do Kartuz – powiedziała stanowczym głosem, chociaż w środku wcale nie czuła tej pewności.

Obawiała się, że w akcie zemsty będzie chciał jej robić problemy.

– Dobrze – oświadczył, patrząc jej prosto w oczy.

– Moi rodzice już o tym wiedzą i mają dla nas przygotować mieszkanie. Chcę spędzić święta już w domu – kontynuowała, żeby mieć to wszystko z głowy i celowo użyła zwrotu dom w kontekście ich starego mieszkania.

– Coś jeszcze? – zapytał z udawaną uprzejmością i zabrał się do poszukiwań na kolejnej stercie.

Z tymi płaszcami przeciwdeszczowymi to było ewidentne kłamstwo. Nagle przed jej oczami stanęło białe pudełko po butach, które ponownie odkryła po przeprowadzce. Ela była pewna, że Andrzej wyrzucił je przed wyjazdem, ale nie. Zabrał je ze sobą. Wtedy nabrała pewności, że to nie są rzeczy uczniów, a jakieś chore trofea po jego nastoletnich kochankach. To chyba właśnie wtedy narodziła się w niej pewność, że nadszedł już czas, żeby z tym skończyć. Zrozumiała, że nie chce z nim spędzić ani jednego miesiąca, nie chce z nim spędzać kolejnych świąt ani wakacji. Nie zamierzała zabraniać mu kontaktu z dziećmi, ale swój kontakt z nim mogła ograniczać.

– Nie, to wszystko – oświadczyła, ale nie powiedziała mu, gdzie schowała pudełko.

Na pewno go nie znajdzie.

Wróciła na górę, dysząc ciężko, jakby przebiegła maraton. Czuła z jednej strony lekkość w sercu, z drugiej narastający niepokój jego brakiem zainteresowania i szybkim pogodzeniem się z jej decyzją.

Weszła do kuchni, żeby wypić herbatę i spróbować jeszcze zasnąć, mimo że wątpiała, czy zdoła zmrużyć oczy. Nie czuła spokoju, a jej serce waliło w piersi, jakby zamieniło się w młot. Stała wciąż przy kuchennym blacie, zapatrzona w ciemność za oknem, gdy nagle poczuła ostry ból w tyle głowy, aż musiała się przytrzymać poręczy krzesła.

Nie potrwał długo, bo zaraz zalała ją ciemność.



Zaparkowałam samochód na własnym podjeździe, a potem pieszo ruszyłam w stronę wsi. W reklamówce miałam dwie babeczki z kawiarni i dobrą mieloną kawę. Chyba okej, jak na sąsiedzką wizytę, pomyślałam.

Po pobycie w nawiedzonym domu musiałam się czymś zająć. Zbyt wiele myśli kłębiło mi się w głowie. Próbowałam sobie je poukładać, ale w tej chwili to było niemożliwe, ponieważ stało się to, czego chciałam za wszelką cenę uniknąć. Zaangażowałam się emocjonalnie. I w sprawę Matiego i w sprawę Piotrka, i jeszcze dzieci Borkowskich. I w sprawę Adama, chociaż w tej chwili nie miałam pewności, czy w związku z nim była jakaś sprawa.

Szłam wolno nowym chodnikiem, którego nie było tu za moich czasów. Z daleka majaczyły stawy, wokół których krążyły ptaki. Zrobiło się chłodniej, opasałam się mocniej połami płaszcza i postawiłam kołnierz. Na szczęście świeciło słońce, więc nie martwiłam się, że zmarznę. Po prostu musiałam przewietrzyć głowę.

Mijałam właśnie świetlicę, która wydawała się dawno opuszczona. Smutny, ceglany budynek w kształcie sześcianu z zaciekami na fasadzie i wokół okien. Wszędzie walały się liście spadające z dużej topoli rosnącej za budynkiem. Nie byłam w stanie zliczyć, ile razy byliśmy tu z Mateuszem na dyskotekach. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie naszego drugiego spotkania właśnie tutaj. Gdy skończyła się impreza, na której się poznaliśmy, Mateusz zapytał, czy możemy się jutro spotkać w tym samym miejscu. Oczywiście, że się zgodziłam.

Wymieniliśmy się numerami telefonów i jeszcze tej samej nocy napisał mi, że jestem piękna i nie może przestać o mnie myśleć. Zakręciło mi się od tego w głowie. No i trochę od dwóch piw, które wtedy wypiałam.

Podeszłam do okna i zajrzałam do środka. Puste ściany i jakieś połamane krzesła. Już od dawna nie organizowano tu dyskotek ani wesel, bo i te się kiedyś zdarzały.

Jako dzieci przychodziliśmy pod świetlicę z nadzieją na jakieś smakołyki. Nigdy nie wróciliśmy z pustymi brzuchami.

W przyływie błogiej nostalgii usiadłam na murku tuż obok budynku. Mimo zapachu jesieni i chłodnego wiatru mogłam sobie wyobrazić letni zachód słońca nad stawami, wysoką trawę muskającą łydki i chmary owadów krążących nad głowami. Jak ja tęskniłam do tamtych chwil i do samej siebie z młodości, gdy miałam wszystko gdzieś i liczyły się tylko godziny przede mną! I smak ust chłopaka o niebieskich oczach, który patrzył na mnie, jakbym była najważniejszą osobą na świecie.

W ostatniej chwili zauważyłam, że po moich policzkach płyną łzy. Pierwsze łzy na wieść o śmierci Mateusza. Wcześniej byłam zbyt odrętwiała, żeby wykrzesać z siebie emocje. Wydobyłam z torebki jego list i odnalazłam najboleśniejszy fragment.

...twoje odejście zmieniło mnie na zawsze.

– Nie tylko ciebie zmieniło – szepnęłam do siebie.

Już chyba nie przestanę się zastanawiać, czy gdybym została w kraju, to wciąż bylibyśmy razem? To było wręcz niemożliwe do wyobrażenia. A jednak bardzo przyjemne. Może mielibyśmy dzieci? Ta myśl wydała mi się podwójnie niewiarygodna, ale co mi szkodziło pofantazjować. I to marzenie przyspieszyło bicie serca.

Zawsze to, co mogło się wydarzyć, wydaje nam się najśłodsze. Rzeczywistość zazwyczaj weryfikuje te wszystkie wyobrażenia.

Pod wpływem mocnego podmuchu wiatru spadł na mnie deszcz kolorowych liści. Podniosłam do góry głowę i się zaśmiałam. Potrzebowałam tego leczniczego śmiechu, dzięki któremu udało mi się wyrwać z nostalgii i ruszyć w dalszą drogę.

Kilka minut później byłam już przed ogrodem Walentyny Ostrowskiej. Przepięknym ogrodem, trzeba przyznać. A najpiękniejszy był ten jesienny krzak róży, który wciąż kwitł. Płatki w kolorze szkarłatu odcinały się na tle ciemnej zieleni liści.

– Olga! – Usłyszałam obok i drgnęłam.

Odwróciłam się i uśmiechnęłam do Walentyny. Kobieta miała na sobie długi, szary sweter z wielkimi guzikami, ciemne spodnie i kalosze. Nie wyglądała na zdziwioną moją wizytą.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Właśnie podziwiam pani róże. Przepiękne.

– Prawda? – Ożywiła się i podeszła do ogrodzenia. – To bardzo wyjątkowa odmiana. Diana. Wieloletnia i bardzo wytrzymała.

– Nie znam się na uprawie roślin. Kiedy ja się nimi opiekuję, umierają nawet te najtrwalsze. Także kaktusy. – Skrzywiłam się.

Walentyna zaśmiała się dobrotliwie.

– Tak czasami bywa. Jedni mają talent do gotowania, inni do pielęgnacji roślin. Każdy musi coś dostać – stwierdziła. – Wejdiesz, Olu, na kawę? Robi się chłodno, a mnie zaczyna łamać w kościach.

– Tak, przyszedłam właśnie w odwiedziny – powiedziałam i ruszyłam za gospodynią w stronę obejścia. – To dla pani. – Wręczyłam jej papierową torbę z kawą i babeczkami.

– Nie trzeba było – zapewniła, ale zajrzała do środka i się uśmiechnęła.

W domu kobiety zawsze panował nienaganny porządek, a w powietrzu unosił się zapach ciasta. Od tego aromatu w żołądku poczułam mocny skurcz. Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie miałam dzisiaj nic w ustach.

Usiadłam przy stole, tu, gdzie wskazała mi gospodyni. I dobrze, to było przyjemne miejsce. Trochę ciemne, ale pachnące wypiekami, a w wazonie na środku stołu stały kolorowe dalie.

– Coś wiadomo w sprawie tego dzieciaka? – zagadnęła, ściągając ściereczkę z blachy, w której ukrywało się źródło cudownego zapachu.

Przepysznie wyglądający sernik z rosą.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłam.

Nie zamierzałam rozgłaszać tajemnic policyjnych, zdradzając je nawet nieszkodliwej kobiecie. Mimo wszystko Ligocki mi zaufał i nie zamierzałam tego zaufania nadużyć.

– Dziwna sprawa z tym miejscem – kontynuowała, krojąc puszyste ciasto w idealne kostki. – Dlaczego ktoś miałby ukryć ciało dzieciaka właśnie u was? – zastanawiała się na głos. – U mnie też była policja. Pytali, czy komuś rozповідаłam, że dom jest pusty. – Skrzywiła się. – A gdzieżby tam. Zresztą ci, co tu mieszkają od dawna, to wiedzą.

– Racja. Każdy mógł to komuś powiedzieć. Nawet niechcący – przyznałam, żeby ją udobruchać.

Postawiła przede mną talerzyk i paterę z pachnącym sernikiem. Na jego widok omal nie zakrztusiłam się własną śliną. Bez kurtuazji sięgnęłam po kawałek, wbiłam widelec w wilgotną masę i natychmiast jej spróbowałam. Smakowała wybornie.

– Dobrze?

– Nie jadłam lepszego – odparłam zgodnie z prawdą.

– Cieszę się. Od dziecka lubiłaś słodczyce, a za moim sernikiem przepadałaś – przyznała z rozbawieniem.

Nie za wiele pamiętam z najwcześniejszych lat dzieciństwa, gdy spędzałam tu wakacje, ale akurat wizyty w domu pani Walentyny owszem. Odkąd pamiętam, zawsze mieszkała sama, a dzieciaki ze wsi opowiadały o niej niestworzone historie. Że jest czarownicą, że morduje psy i koty, bo żadnych nigdy nie widziano w obejściu, i że w jej ogrodzie spoczywają szczątki młodej dziewczyny. Nie wiem, skąd takie pomysły, ale w małych społecznościach zawsze znajdowano wioskowego głupka, czarownicę, wesółka i kilka innych szablonowych postaci. Ponieważ Walentyna nie miała męża i dzieci, najłatwiej było przyznać jej status wiedźmy.

– Niemirów bardzo się zmienił, od kiedy byłam tu ostatni raz – zagadnęłam.

Kobieta skinęła głową.

– No tak. Zrobili chodniki, drogi i te... jak im tam... siłownie – powiedziała, popijając kawę małymi łyчками.

Zastanawiałam się, ile może mieć lat. Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć? Miała bystre spojrzenie jasnoniebieskich oczu i twarz zmęczoną, usianą zmarszczkami, ale jeszcze ze śladami dawnej urody.

Pogawędziłyśmy o tym, jak się żyje w Edynburgu i co u moich rodziców. Słuchała mnie z zainteresowaniem i wyznała, że jej nigdy nie ciągnęło do wojaży i że najlepiej czuje się we własnym domu i ogrodzie. W międzyczasie sięgnęłam po kolejny kawałek sernika.

Gdy nasza rozmowa znowu wróciła do wydarzeń sprzed kilku dni, zdecydowałam się na małe przesłuchanie, z którym tu naprawdę przyszłam.

– Czy nie widziała pani nikogo, kto by się kręcił wokół posesji?

– Policja już mnie o to rozpytywała – zauważyła defensywnie.

– Tak, wiem, ale może po czasie coś się pani przypomniało? – zapytałam z nikłą nadzieją.

Kobieta westchnęła ciężko, jakby była bardzo znużona tymi pytaniami.

– Jedyńymi ludźmi, których tam widziałam, byli twój narzeczony i jego kolega. Ale to chyba było jeszcze, jak żyła twoja babcia – stwierdziła, patrząc gdzieś ponad moje ramię, jakby usilnie próbowała sobie przypomnieć jakieś szczegóły.

Skinęłam głową, bo już byłam w posiadaniu tych informacji.

– Rozmawiała pani z nimi?

– Raczej nie. Oni tylko pomagali twojej babci. Czasami przywozili zakupy, czasami coś tam ogarnęli w domu czy na podwórku. O takie tam rzeczy – stwierdziła ze wzruszeniem ramion.

– Rozumiem. – Skinęłam głową.

Zgadzało się to z tym, o czym opowiadał mi Adam. Adam. Coś mnie ścisnęło w środku na myśl o chłopaku. Złapałam się na tym, że mi go brakuje, ale nie mogłam się z nim teraz widzieć. Nie powinnam była pozwolić mu zbliżyć się do siebie, ale chyba oboje byliśmy samotni. On po śmierci Anieli Borkowskiej, ja po stracie Mateusza.

– Dziecko, nie interesuj się sprawami policji – powiedziała po chwili. – Niech oni główkują, a ty wróć do siebie. Teraz i tak nie sprzedacie tego domu.

– Nie mogę. Ktoś popełnił straszną zbrodnię i wmieszał w to moją rodzinę. Muszę się dowiedzieć, kto to – powiedziałam pewnym głosem. – Nie mogę tego tak po prostu zostawić.

– Ech. – Westchnęła. – Zrobisz, jak zechcesz, ale żebyś nie mówiła, że nie ostrzegałam – dodała tajemniczo.

– Nie będę. – Uśmiechnęłam się pod nosem.

Nie lekceważyłam mądrości starszych ode mnie ludzi, ale bywały takie chwile, że to świat nie pozwalał o sobie zapomnieć.

– Będę już chyba szła – powiedziałam, chociaż nie chciałam wracać sama do domu. Już nie czułam się tam dobrze.

Nie chodziło o Piotrka. Nie wierzyłam w duchy czy inne stwory z zaświatów, ale wierzyłam w złą energię, jaką pozostawiał po sobie zły czyn i zły człowiek. Nie ulegało wątpliwości, że skaził tamto miejsce tym czynem i teraz nie potrafiłam się tam poczuć dobrze. Nie miałam tutaj jednak innego miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać. Propozycja Adama nie wchodziła w grę. Już nie.

– Mogę tylko skorzystać z łazienki? – zapytałam, czując, jak nacisk na pęcherz staje się nie do zniesienia.

– Tak, tak. Tutaj. – Wskazała drzwi obok sieni.

Weszłam do małej łazienki ze staroświeckim wyposażeniem i sapnęłam z frustracji. Nie dowiedziałam się niczego nowego. Walentyna wyjątkowo nie była rozmowna, chociaż przecież lubiła pogadać. Zawsze dużo plotkowały z babcią. Czasami w tej kuchni, czasami na ławeczce przed domem w otoczeniu kwitnących drzew wiosną i spadających liści jesienią.

Kiedy myłam ręce, spojrzałam w lustro wiszące nad umywalką. Wyglądałam źle. Podkrążone oczy podkreślały bladość skóry. O tej porze roku zniknęła ciężko zdobyta w warunkach wycieczek opalenizna i znowu stawałam się biała. Zniknęły też tych kilka piegów na nosie, a blond włosy znowu trochę ściemniały. We mnie też zagościła jesień.

Rozejrzałam się za jakimś ręcznikiem, ale nie było go w zasięgu wzroku. Sięgnęłam do gałki szuflady małej komódki stojącej obok drzwi, gdzie stał stosik z rolek papieru toaletowego. Chwyciłam jedną, ale tak gwałtownie, że zawałam równo ułożoną wieżyczkę.

– Chryste – sapnęłam i uklęknęłam, żeby je pozbiierać.

Jedna potoczyła się na podłogę i zniknęła gdzieś pod meblami. Sięgnęłam ręką w zakamarek obok niezabudowanej wanny i szafki, żeby wymacać uciekiniera, ale zamiast na rolkę natrafiłam na kartkę papieru. Wyciągnęłam ją, sądząc, że to jakiś śmieć albo coś, co wypadło z szuflady komody.

Chciałam ją odłożyć tam, gdzie była, ale zawahałam się, bo ta kartka coś mi przypominała. Już gdzieś widziałam ten sposób składania papieru i tę charakterystyczną kartkę w kratkę. W moim wnętrzu rozległ się głośny łomot.

Łup. Łup. Łup.

Drżącymi rękoma rozłożyłam kartkę i zamarłam.

*Oddaj to nocy.
Ukryj przed dniem.
Co gorszy oczy,
zakop na dnie.*

*Oddaj to nocy.
Ciemności też.
Nikt się nie dowie,
nie znajdą cię.*

Skąd to się, do cholery, wzięło w łazience Walentyny? Zimno podłogi, na której kłęczałam, przenikało całe moje ciało.

– Halo, Ola? – Dotarło do mnie zza drzwi, a ja ocknęłam się z odrętwienia.

Odchrząknęłam cicho, bo zaschło mi w ustach.

– Tak, tak. – W pośpiechu wsunęłam kartkę do kieszeni spodni.

Podniosłam się z kolan i spuściłam dla niepoznaki wodę, a potem wyszłam z łazienki i uśmiechnęłam się sztucznie.

– Chyba coś mi zaszkodziło. – Skrzywiłam się, udając zawstydzoną.

– Mam nadzieję, że nie mój sernik – zmartwiła się.

– Nie sądzę. To chyba stres plus przejeżdżenie. – Znowu wykrzywiłam twarz w coś na kształt uśmiechu. – Pójdę już. Dziękuję za gościnę – rzuciłam i szybkim krokiem wymaszerowałam z sieni na zewnątrz, gdzie dął silny, zimny wiatr.

Opatuliłam się mocniej kurtką i w pośpiechu ruszyłam w stronę domu. Droga powrotna zajęła mi dziesięć minut. Przez cały ten czas intensywnie się rozglądałam i na okrągło oglądałam za siebie. Nie wiedziałam, jakiego zagrożenia się spodziewać, ale ciągle czułam na sobie ciężar grozy. Gęstej jak smoła i grząskiej jak rzeczny muł.

Minęłam kilkoro miejscowych, dwie kobiety w średnim wieku, dwie nastolatki i mężczyznę na rowerze. Każde z nich mierzyło mnie ciekawskim spojrzeniem, od którego robiło mi się jeszcze zimniej. Pragnęłam wrócić do domu. Nawet tego, który również został w pewien sposób nawiedzony, ale były w nim też dobrze wspomnienia, i to właśnie w nich chciałam się natychmiast schronić.

Zwolniłam, gdy zobaczyłam auto na podjeździe. Auto z pomarańczowym logo. Moje serce i po intensywnym marszu, i po znalezieniu tego pokrętnego wierszyka omal nie wyskoczyło mi przez gardło, a teraz jeszcze bardziej przyspieszyło.

Nie miałam czasu na zastanowienie się, jak rozegrać sprawę z Adamem. Powiedzieć, mu, że wiem o Anieli czy podejść go w jakiś inny sposób?

– Zastanawiałem się, gdzie jesteś. – Wyskoczył z samochodu z szerokim uśmiechem na ustach.

Za każdym kolejnym razem, gdy go widziałam, wydawał mi się atrakcyjniejszy, ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Nie widzieliśmy się zaledwie kilka godzin, a ja miałam wrażenie, że przez ten czas minęły epoki.

– Byłam u Walentyny. – Podeszłam bliżej, ale nie na tyle, żeby wpadł na pomysł przywitania się buziakiem. – Wykonałeś zlecenie?

Skinął głową.

– Zapieprzałem jak nigdy, żeby jak najszybciej skończyć. – Znowu się uśmiechnął i spojrzał na mnie z dziką nadzieją, od której naprawdę zakręciło mi się w głowie.

Czy to też udawał? Czy można coś takiego udawać? Był aż tak dobrym i wyrachowanym aktorem?

Objęłam się ramionami, a moje przypuszczenia mroziły mnie równie mocno jak złożona kartka papieru, którą trzymałam w kieszeni razem z listem od Mateusza.

– Wejdiesz? – zapytałam, decydując się skonfrontować z Adamem od razu.

– Jasne – odparł i ruszył za mną.

Otworzyłam furtkę, a on ją przytrzymał. Zwolniłam, gdy kierowaliśmy się do frontowego wejścia. Zerknęłam na dąb, który majestatycznie górował nad budynkiem gospodarczym. Mimowolnie przystanęłam i popatrzyłam na fruujące liście i wyginane przez wiatr gałęzie.

– Okej? – zapytał Adam, który stanął tuż obok.

Doceniłam fakt, że mnie nie dotykał w żaden sposób. Nie w takiej chwili. Weszliśmy do domu, w którym panował przejmujący chłód. Nie uruchomiłam pieca, bo po prostu o tym rano zapomniałam.

Odwiesiłam kurtkę na staroświecki stojący wieszak, Adam poszedł w moje ślady.

– Coś się stało? Jesteś taka cicha – zauważył, gdy weszliśmy do kuchni, pomieszczenia, w którym od zawsze toczyło się najintensywniejsze życie.

Wzięłam bardzo głęboki wdech i z mocą wypuściłam powietrze z płuc.

– Wiem o tobie i Anieli – wypaliłam.

Adam podniósł wysoko brwi i uśmiechnął się krzywo.

– O kim?

Miał czelność wyglądać na autentycznie zdziwionego.

– O żonie Borkowskiego. Wiem, że byliście kochankami. – Założyłam ręce na piersi i czekałam na to, jak zacznie się sypać.

– Co? – powtórzył z głośnym parsknięciem. – Co ty znowu wymyśliłaś, Olga? – Przesłał się śmiać. – Znowu mnie o coś podejrzewasz?

– Po prostu pytam. Wiem od kogoś, że bywałeś u Borkowskich i to niejednokrotnie. Widziano twój służbowy samochód. A tak ci dobrze szło udawanie, że jesteś tam pierwszy raz i nie wiesz, gdzie, co i jak. – Uśmiechnęłam się pod nosem. – Bravo! – Klasnęłam dwukrotnie w dłonie.

Adam milczał i kręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie wiem, w co mnie wkręcasz, ale myślałem, że akcję z podejrzewaniem mnie o popełnienie czegoś tak ohydneho jak morderstwo dziecka mamy za sobą – powiedział z sarkazmem.

Zaciskał mocno szczęki, a oczami miotał we mnie gromy. Zrobił krok w moim kierunku, a ja jeden w tył. Zatrzymał się w pół ruchu i zamarł.

– Boisz się mnie? – zapytał zduszonym głosem, a potem zaczesał dłońmi włosy. – Chryste. Co ty sobie znowu wgrałaś?

– Po prostu odpowiedz na pytanie. Czy miałaś romans z Borkowską i czy wiedziałaś o tym, gdzie... jest ciało Piotrusia? – niemal wyszeptałam, chwytając się oburącz poręczy krzesła.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie! – huknął. – Nigdy nawet nie poznałem tej kobiety i powtórzę to po raz ostatni: nie mam, kurwa, nic wspólnego ze śmiercią tego dzieciaka – akcentował każdy wyraz w tym zdaniu, jakby wymawiał tajemne zaklęcie.

– Dlaczego więc twój służbowy samochód był tam często widziany? – zarzuciłam, zakładając nerwowo ręce na piersi.

– Widziany? Przez, kurwa, kogo? – Skrzywił się.

– Nieważne. Po prostu ktoś go widział.

– Nigdy tam nie byłem! – wrzasnął. – Nigdy nie spotkałem się z tą kobietą! – krzyczał, nerwowo szarpiąc się za włosy. – Kto ci naopowiadał takich bzdur?

Dyszał ciężko, a w oczach miał jakąś dzikość. Przestraszyłam się jego zachowania. Czy gdyby to była prawda, reagowałby w taki sposób. Może... może się myliłam.

– Sąsiadka – powiedziałam cicho. – Widziała cię sąsiadka Borkowskich.

– Mnie?

– Twoje auto, przecież mówię! – tym razem to ja podniosłam głos.

Adam znowu pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że ktoś mógł wysnuć takie podejrzenia.

– Nie mam zamiaru się powtarzać. Powiedziałem już swoje i nic więcej dodawać nie będę. Na razie – rzucił i pośpiesznie wyszedł z kuchni.

Spodziewałam się, że trzaśnie drzwiami, ale nie zrobił tego. Mignęła mi jego sylwetka w kuchennym oknie, a potem usłyszałam wściekły warkot silnika i chrzęst żwiru pod kołami.



Opadłam bezsilnie na krzesło, ale wtedy przypomniałam sobie o kartce w kieszeni. Wyciągnęłam ją i rozłożyłam na stole. Zrzuciłam w pośpiechu płaszcz, który wciąż miałam na sobie, i pobiegłam do pokoju dziennego po laptop. Uruchomiłam go i natychmiast wklepałam w wyszukiwarkę fragment tego wierszyka.

Może to jakiś popularny wierszyk, a to jakiś przypadek, myślałam, ale tak naprawdę wątpiłam w to. Google też nic takiego nie wyszukał. Jakieś frazy, pojedyncze zwroty. Nic, co by potwierdzało ten pomysł.

Skąd u Walentyny ten wiersz? Znalazła go gdzieś? I wtedy mnie olśniło. Ta gazeta pozostawiona na stole w kuchni Borkowskich i rozwiązana krzyżówka. Podeszłam do kosza i wygrzebałam z niego „Więści Janówka”. Znalazłam przedostatnią stronę z krzyżówką. To samo pismo. Miałam fotograficzną pamięć i mogłam się założyć, że litery należały do tej samej osoby.

Czyżby Walentyna opiekowała się też domem, w którym mieszkali Borkowscy? Może to jej dodatkowa fucha? Znalazła kartkę z wierszykiem i zabrała ze sobą do domu albo ta zawieruszyła się w jakichś środkach czystości? Jedną znalazłam też w pokoju małej Kingi, więc nic dziwnego, jeśli w domu było ich pełno. Borkowski musiał być ich autorem i rozrzucił je po wszystkich kątach.

Tak, tak właśnie musiało być, pomyślałam i odetchnęłam z ulgą. Oparłam głowę na dłoniach i poczułam, jak dopada mnie przemożne zmęczenie. Czułam się strasznie ociężała, jakbym nie spała przez kilka dni. Zaczynałam popadać w paranoję. Każdy wydawał mi się potencjalnym winowajcą. Musiałam z kimś porozmawiać. Już wybierałam numer Felixa, ale stwierdziłam, że nie jest w temacie i musiałabym streścić mu wszystko, co się dotychczas wydarzyło, i moje podejrzenia. To nie była rozmowa na telefon.

W tym samym momencie odezwała się komórka. Mama. Odebrałam.

– I jak się, dziecko, czujesz? Coś nowego? Nic się nie odzywasz, a my z ojcem się martwimy – powiedziała na wydechu.

Jak dobrze było usłyszeć jej głos.

– Wszystko u mnie dobrze, mamó. A u was?

– U nas w porządku. Dziwnie brzmisz – stwierdziła.

Westchnęłam.

– Jestem po prostu zmęczona. Dużo się dzieje wokół sprawy – odparłam i po sekundzie dodałam: – Mamó, czy ty się orientujesz, czy Walentyna Ostrowska opiekuje się jeszcze czyimś domem? Sprząta w nim czy coś takiego?

– Oprócz naszego?

– Tak.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Po prostu myślałam, że tak dorabia do emerytury. Bo chyba bierze emeryturę? Ile ona ma lat?

– Poczekaj – sapnęła mama. – Jak babcia miała pięćdziesiąt pięć, to ona chyba czterdzieści dwa. Babcia odeszła w wieku siedemdziesięciu, to ona teraz ma chyba pięćdziesiąt dziewięć. A poza tym ona nie pracowała zawodowo, tylko całe życie na roli była. Świadczenia dostanie na pewno jakieś małe.

– Czy ona była kiedyś zamężna?

– Z tego, co wiem, to nie, ale... ale pamiętam, że jak byłam młodą dziewczyną, to chodziły słuchy, że miała nieślubne dziecko. Na parę miesięcy matka wywiozła ją do jakiejś ciotki i tam ponoć urodziła i zostawiła dziecko na wychowanie – powiedziała mama. – Ile w tym prawdy, to ja nie wiem. Ale nie radzę jej pytać. Jest na tym punkcie drażliwa – ostrzegła.

– Tego nie wiedziałam – powiedziałam w zamyśleniu. – A kojarzysz może nazwisko Sysio?

– Jak? Jak? Nie dosłyszałam, bo ojciec coś ode mnie chciał – rzuciła zirytowana.

– Sy-sio – sylabizowałam.

– Sysio, Sysio – myślała na głos. – Coś mi mówi to nazwisko.

Moje serce zabiło mocniej, ale zacisnęłam kciuki i starałam się nie popędzać mamy, bo wtedy skutek bywał odwrotny. Stresowała się i zapominała na amen.

– Był taki kuzyn Walentyny. Kiedyś ich odwiedzał na wsi. Miałam wtedy chyba dwadzieścia kilka lat. Poznałam go, gdy kiedyś poszłam z mamą po coś do Walentyny i jej matki. Potem widywałam go jeszcze przez całe wakacje.

– Jak miał na imię? Pamiętasz może?

– Oj, nie wiem, czy sobie przypomnę. To było tak dawno temu. – Westchnęła. – Ale chyba Marcin. A może Maciek. Coś takiego. Ale powiem ci, że już nawet jako dzieciak był bardzo przystojny. Bardzo – powtórzyła, co musiało oznaczać, że zrobił na niej duże wrażenie.

– I dlatego go zapamiętałaś – zażartowałam.

– No nie, nie dlatego – zaprzeczyła. – Pamiętam, bo zbiegło się to z zaginięciem dziewczyny z pobliskiej wioski. Boże, jaka to była straszna sprawa. Szesnaście lat. Ludzie ze wszystkich okolicznych wsi jej szukali. Dziadek i babcia też. A ona po prostu zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię.

Co?

– Naprawdę? – wydusiłam zduszonym głosem. – Nigdy o tym nie wspominałaś. Babcia też nie.

– Oj, wiesz, dziecko. Takie rzeczy bledną z czasem i zastępują je inne tragedie – powiedziała smutno. – Ale wtedy to było głośne na cały powiat, a może województwo. Rodzice dziewczyny mieli dużą gospodarkę i co za tym idzie, pieniądze. Płacili grubą kasę tym, co przyszli do nich choćby ze skrawkiem nowych informacji.

– I co? Odnaleźli ją?

– A skąd. Jak kamień w wodę. – Westchnęła udręczonym głosem. – Pamiętam, że matki pilnowały córek jak oka w głowie. Twoja babcia zabroniła mi iść na dożynki do Ratowisk, wiesz, ta wioska za Janówkiem. Byłam załamana, ale znałaś babcie. Jak powiedziała nie, to nie było zmiłuj. Nawet dziadek nie mógł tu nic pomóc.

– I dobrze. Pamiętasz może, jak nazywała się ta dziewczyna?

– Daj mi chwilę. Ale mnie zagwozdkami dzisiaj zarzucasz, a wiesz, że ja mam kłopoty z pamięcią, chociaż piję napar z ginkgo biloby i... Diana! – zakrzyknęła. – Tak, Diana. O nazwisko mnie nie pytaj, bo sobie nie przypomnę – zastrzegła.

Diana, pomyślałam. Gdzieś słyszałam już to imię. Niedawno.

– Dobrze. Dzięki, mamuś. Bardzo mi pomogłaś.

– Ale w czym, Olga? – zapytała zdezorientowana.

– Piszę artykuł o zbrodniach z przeszłości. Wiesz, że cały czas muszę pracować – znowu skłamałam, ale robiłam to w dobrej wierze.

Gdybym powiedziała jej prawdę, zamartwiałaby się bez końca.

– Ach! Jeśli tak, to mogłabym ci jeszcze trochę poopowiadać – zapaliła się do tego pomysłu. – Ale nie teraz, bo ojciec mnie woła. Jedziemy na zakupy – jęknęła. – Jak ja tego nie znoszę. Ale nic. Uciekam. Trzymaj się, córciu, i jakby coś, dzwoń do mnie.

– Jasne. Buziaki. Powodzenia w zakupach – rzuciłam i się rozłączyłam.

Opadłam ciężko na krzesło i sięgnęłam po torbę, w której miałam notatnik.

Szybko zapisałam to, co usłyszałam od mamy. Serce waliło mi jak oszalałe. Obraz z puzzli zaczynał nabierać kształtów. Znalazłam wreszcie właścicieli domu Borkowskich i osobę, która mogła się po nim wałęsać... i go wysprzątać. Waldemar Sysio musiał być ojcem albo kimś na kształt ojca dla Marcina czy tam Maćka, rzekomego kuzyna Walentyny. Rzekomego, bo podejrzewałam, że to mógł być jej syn. A może Sysio senior był prawdziwym ojcem chłopaka, a Walentyna jego matką? Zakazany romans pomiędzy kuzynami?

Myśli zaczęły mi się plątać, bo byłam roztrzęsiona po rozmowie z Adamem, którego ponownie o coś oskarżyłam. Miałam podstawy, ale powinnam zrobić to inaczej. Delikatniej. Przecież ze sobą spaliśmy, powinnam po prostu zapytać, ale zazdrość mnie otumaniła, jakkolwiek żałośnie i dziwnie by to zabrzmiało. Byłam zazdrosna o nieżyjącą kobietę, która najpewniej poślubiła seryjnego mordercę.

Pokręciłam głową z zażenowaniem.

Przecież Adam miał się prawo spotykać z kimkolwiek chciał i jeśli wybrał zamężną, starszą od siebie kobietę, to nie była moja sprawa. Może potrzebowali siebie nawzajem. Nagle coś mnie tknęło. Przecież on znalazł się w cholernie trudnej sytuacji. Jego najlepszy przyjaciel uczestniczył w wypadku, w którym zginęła osoba, na której mu zależało... Czy dlatego nie dowierzał Mateuszowi? Czy Mateusz wiedział o tym romansie? Adam miał podwójne wyrzuty sumienia z tego tytułu? Może właśnie dlatego tak bardzo pragnął wyjaśnienia. Nie dla siebie, ale dla Mateusza właśnie.

Przetarłam dłonią twarz. Trudno mi było uwierzyć, w co się wpakowałam w ciągu ostatniego tygodnia. Musiałam z nim pogadać.

– Ale po kolei – szepnęłam do siebie, biorąc głęboki wdech.

Zastanowiłam się i zdecydowałam, że najpierw skonfrontuję niektóre rewelacje z Walentyną. Nie wprost, oczywiście. Wyszukałam jej numer, który przed przyjazdem dostałam od mamy. Odebrała po drugim dzwonku.

– Halo?

– Pani Walentyno, tu znowu Olga – zaczęłam. – Pani wie, że piszę reportaż. Interesują mnie zaginięcia i niewyjaśnione zbrodnie z okolic.

W słuchawce panowała cisza, więc kontynuowałam:

– Chodzi mi dokładnie o zaginięcie młodej dziewczyny, Diany. Pamięta pani tę historię.

– Tak, pamiętam – odparła obojętnie. – To było bardzo dawno temu.

– Mogłaby mi pani coś o niej więcej powiedzieć? Czy były jakieś podejrzenia, tropy? W jakich okolicznościach zginęła?

W słuchawce usłyszałam głośnie sapnięcie.

– Ludzie mówili, że uciekła z takim jednym, co pracował na gospodarce u jej ojców. Odszedł z roboty dwa dni przed tym, jak ona zniknęła – powiedziała.

O tym mama nie wspominała, pomyślałam podejrzliwie.

– I myśli pani, że nie odezwałaby się przez lata do rodziców? – zapytałam sceptycznie.

– A bo ja tam wiem? Młode dziewczyny robią dużo głupot – skwitowała.

Tak, ale młode dziewczyny kiedyś stają się kobietami, matkami i zaczynają rozumieć okrucieństwo swojego postępowania. Chyba że w domu miała nieciekawą sytuację. Była maltretowana, molestowana. Zapytałam o to kobietę.

– Na wsi się o takich rzeczach nie gadało, ale jak tam było naprawdę, to ja nie wiem.

– Rozumiem – skwitowałam z rozczarowaniem, ale postanowiłam zapytać o coś jeszcze: – A mówi pani coś nazwisko Sysio?

Tym razem w słuchawce zapanowała dłuższa cisza.

– Nie – odparła twardo. – Muszę już kończyć. Do sklepu idę – rozłączyła się bez choćby słowa pożegnania.

– Jasne – szepnęłam do głuchej słuchawki.

Zresztą i tak nie było jej sensu o nic pytać, bo skoro w tej pierwszej sprawie skłamała, to paradoksalnie oznaczało, że moje wcześniejsze przypuszczenia mogły być prawdą.

Wstałam i zaczęłam przechadzać się po kuchni, ale nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Było za ciasno. Narzuciłam na siebie ciepłą bluzę, chwyciłam notatnik, długopis i wyszłam z domu. Nogi poniosły mnie w stronę mocarnego dębu, który każdego dnia tracił coraz więcej złotawobrazowych liści, a jego gałęzie zaczynały przypominać powyginane artretyzmem dłonie starego człowieka.

Podeszłam bliżej i usiadłam na stosie liści, które już zdołały przykryć miejsce prac techników kryminalistycznych. Dół zasypano. Może to dziwne siadać tu, ale to było moje miejsce. Niezależnie od wszystkiego. Oparłam głowę o chropowaty pień i zamknęłam oczy. Tu zawsze myślałam, tęskniłam i kochałam do utraty tchu. Tu marzyłam o rzeczach, które wcale nie były warte marzeń, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Tu też się uspokajałam, gdy działo się w moim nastoletnim życiu zbyt wiele. Zabudowania chroniły mnie przed największymi podmuchami wiatru, a kaptur na głowie zapobiegał utracie ciepła.

Otworzyłam notes i zaczęłam rozpisywać fakty, o których się dowiedziałam.

Walentyna miała nieślubnego syna. Wychowywał go ktoś inny, ale pewnego dnia ten syn pojawił się w Niemirowie, niby że jakiś kuzyn. Kto wnika w takie pokrewieństwo? Na wsi w każdym obojętnie mieszkało wówczas kilka pokoleń spowinowaconych ze sobą ludzi.

Na moment przeniosłam się myślami do tamtych czasów. Czternastoletni syn Walentyny przybywa do wsi. Nazywa się Maciek albo Marcin. Nieważne. Wyróżnia się urodą i na pewno zwraca uwagę okolicznych dziewczyn. Jest przystojny i nie ma trudności z poznawaniem nowych kobiet. Na jego drodze staje Diana. Mogłabym się założyć, że była piękna. Nie przeciętnie ładna. Na pewno była piękna. Ciekawe, czy była jego pierwszą? Czy jej również zabrał coś na pamiątkę?

Nie miałam na to dowodów, ale byłam niemal w stu procentach pewna, że Maciej Sysio to Andrzej Borkowski. Nie mogło być inaczej. Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość.

Zza chmur wychynęło słońce. Jakby i ono dostrzegło wyłaniającą się z chaosu prawdę. Byłam podekscytowana, bo jeszcze żaden element nie wystawał poza obraz.

Borkowski wrócił w rodzinne strony, żeby uciec od skandalu, a może nawet jakichś podejrzeń w związku z zaginięciami na Pomorzu? Być może Piotrek dowiedział się czegoś o nim albo coś podejrzwał i ten go zabił, a potem ciało zakopał w miejscu, które wskazała mu matka. Na niezamieszkaną od lat posesję. To właśnie ona odciągała mnie od prac na podwórzu.

Wszystko zapisywałam w podpunktach, żeby żadna myśl mi nie uciekła.

Historia się powtórzyła. Nie mógł się powstrzymać i znowu zaczął romansować z uczennicami. Może to był wstęp, a może potrzebował impulsu? W każdym razie żona, zmęczona jego ciągłymi zdradami, sama wdaje się w romans z młodszym mężczyzną, aż wreszcie składa pozew o rozwód. Może chce też się wyprowadzić? Borkowski nie wytrzymuje i pakuje rodzinę do auta, a potem wjeżdża z premedytacją w nadjeżdżający samochód. Bardzo ryzykowne, zważywszy na to, że nie miał pewności, jak to się skończy. To jedna rzecz, która mi nie pasowała. Jeśli Borkowski chciał ich wszystkich zabić, dlaczego nie zrobił tego w pewny sposób...

W każdym razie Borkowski odebrał życie nie tylko sobie i swojej rodzinie, ale też pośrednio Mateuszowi.

Przygryzłam dolną wargę i wyprostowałam się, by w końcu zacząć działać. Już wiedziałam wystarczająco dużo, żeby Ligocki się tym zajął.

Zerknęłam na zegar. Dochodziła piętnasta. Wyciągnęłam telefon z kieszeni i wybrałam numer śledczego, ale ten nie odbierał. Ponowiłam próbę, ale z podobnym skutkiem.

– Cholera – syknęłam. – Akurat teraz musiał mnie ignorować.

– O! Jesteś. – Usłyszałam tuż obok siebie i aż podskoczyłam ze strachu.



– Proszę usiąść. – Wskazałam kobiecie miejsce przy stole. – Kawy? Herbaty?

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem i zaczęła rozpakowywać wałówkę, którą ze sobą przyniosła. – To sernik. Zapomniałam ci zapakować, jak wychodziłaś. Przecież nie zjem wszystkiego sama.

– Dziękuję. Nie trzeba było – powiedziałam z bladym uśmiechem.

Spieszyłam się, nie miałam czasu na kurtuazyjne wizyty.

– Przyszłam, bo przypomniałam sobie coś o tym, o czym rozmawialiśmy – powiedziała, wstając.

Podeszła do szafki, gdzie znajdowała się zastawa i wyciągnęła dwa deserowe talerzyki.

– Przepraszam, że tak się goszczę. – Wskazała na naczynia. – Ale byłam tu tyle razy, że trochę czuję się jak u siebie.

– Jasne – wydukałam, ale szczerze mówiąc, trochę mnie to zaskoczyło. – Co takiego sobie pani przypomniała?

Usiadłam przy stole. Walentyna nałożyła mi spory kawał sernika, a potem podsunęła mi talerzyk pod sam nos.

– Dziękuję – powiedziałam trochę oszołomiona sytuacją.

Wzięłam widelczyk i nadziałam na niego kawałek ciasta. Smakował tak samo dobrze jak przed godziną w domu gospodyni.

– Jeśli chodzi o dziewczynę... to z tego, co pamiętam, to ludzie gadali, że była... no jak to się mówi teraz. Puszczalska? – powiedziała bez zażenowania.

Nienawidziłam tego określenia. Gdy kobieta lubiła seks albo uprawiała go niezobowiązująco, zawsze nazwana była puszczałką albo lepiej: kurwą.

– Co ma pani na myśli? – zapytałam trochę ostrzej, niż zamierzałam.

Walentyna należała do starszego pokolenia, gdy takie określanie wyzwolonych kobiet było na porządku dziennym. Zresztą wątpiłam, by tamta dziewczyna mogła być naprawdę rozwiązła. Pewnie lubiła imprezy i życie towarzyskie. Już samo to oznaczało, że się źle prowadzi.

– No wiesz, Olu, lubiła się spotykać z chłopakami – wyjaśniła, grzebiąc widelcem w swojej porcji sernika.

Zapchałam sobie usta ciastem, żeby nie powiedzieć czegoś uszczypliwego.

– Tamtego dnia ponoć wymknęła się na spotkanie z jakimś chłopakiem. Jedni mówili, że to tamten parobek w gospodarstwie jej rodziców, drudzy, że ktoś zupełnie inny. Wyszła w nocy i tyle ją widziano – powiedziała, wzruszając ramionami.

Przełknęłam spory kęs i zaryzykowałam pytanie.

– Słyszałam, że mógł być w to zamieszany niejaki Maciej Sysio – powiedziałam, patrząc jej w oczy. – Tak się składa, że chodzi o pani kuzyna, który właśnie wtedy przebywał we wsi.

Walentyna na moment zamarła, a z jej twarzy odpłynęły wszystkie kolory. Ale trwało to zaledwie kilka sekund, bo zaraz roześmiała się prawie serdecznie. Nie słyszałam nigdy takiego jej śmiechu. Walentyna Ostrowska raczej nie śmiała się serdecznie.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– To nieprawda? – Zjadłam ostatni kawałek sernika, który po prostu rozpląwał się w ustach.

– A skąd? Nie znam nikogo o takim nazwisku – powiedziała raźnie, wstała i ukroiła kolejną porcję ciasta. – Zjedz jeszcze, jeśli ci smakuje. Co ja zrobię z taką ilością.

Przyjęłam od niej kolejną porcję i postawiłam przed sobą. Byłam głodna, dlatego nie krępowałam się i od razu zjadłam kolejny kęs.

– A Andrzeja Borkowskiego pani znała? – spróbowałam inaczej.

Walentyna z powrotem usiadła na krześle naprzeciwko mnie.

– Tego, co zginął wraz z rodziną w wypadku? – uściśliła.

– Tak.

– Nie znałam osobiście.

Jasne, pomyślałam z ironią. Kłamała. Boże, jak ona kłamała. Oparłam się plecami o krzesło, bo nagle poczułam się strasznie zmęczona. Najchętniej bym się zdrzemnęła i pewnie tak zrobię, jak tylko Walentyna wyjdzie z domu. Ziewnęłam przeciągle, za co od razu przeprosiłam. Kobieta tylko się uśmiechnęła dobrotliwie.

– Chyba jesteś przemęczona – powiedziała i znowu wstała od stołu.

Zabrała swój talerzyk i umyła go w zlewie. Chciałam powiedzieć, że nie musi tego robić, ale po prostu nie miałam siły. Strasznie chciało mi się spać.

– Powinnaś się położyć i skończyć z tymi głupimi śledztwami. To nie zadanie dla młodej dziewczyny – stwierdziła. – Szkoda mi ciebie – stwierdziła, odstawiając na suszarkę swój talerzyk.

Chciałam zapytać, dlaczego jest jej mnie szkoda, ale język odmówił mi posłuszeństwa. Myśli się plątały, a ręce spoczywały bezwładnie na blacie stołu. Sernik. Przyniosła mi sernik nafaszerowany jakimś świństwem.

– A mogłaś po prostu sprzedać dom i pogodzić się z tym, że twój były zabił rodzinę, jadąc po pijaku. – Westchnęła i popatrzyła na mnie dziwnym, skupionym wzrokiem.

Czułam się tak, jakbym zmieniła się w kukłę z waty. Mogłam tylko patrzeć, a i to ledwie. Chciałam wiedzieć, czym mnie otruła.

– Czy... – zdołałam wydukać nieprzytomnie, ale tylko na tyle było mnie stać.

Nie miałam nawet siły wpaść w przerażenie. Po prostu na nią patrzyłam i słuchałam.

– Nie martw się. Nie jestem okrutna jak mój syn. Najpierw zaśniesz. Niczego nie poczujesz – stwierdziła, rozglądając się po kuchni. – Ale jestem pełna podziwu dla twojej domyślności. Zawsze byłaś bystra. Nie sądziłam, że staniesz się skazą, którą będę musiała sprzątać po moim synu. Całe życie tylko po nim wszystko porządkuję.

– Westchnęła. – Najpierw jakieś zwierzaki w obeiściu Waldka, a potem... potem Diana. – Pokręciła głową, jakby to wspomnienie było nieprzyjemną niedogodnością.

– Mówił, że to był wypadek. Ale ja mu nie wierzyłam. Waldek też nie. Miał w oczach coś... coś nie tak. Ale tak chyba bywa z dziećmi z gwałtów – spojrzała na mnie. – Co? Tego nie wiedziałaś? – Zaśmiała się chrapliwie, wycierając ręce w ściereczkę. – Wracałam kiedyś z lasu, gdzie zbierałam jagody. Miałam piętnaście lat. – Odchrząknęła. – Ale to już było dawno. – Machnęła ręką, patrząc gdzieś przed siebie.

Podeszła do mnie i wzięła mnie pod pachy, a potem zsunęła z krzesła. Byłam niczym szmaciana lalka, którą jakieś wyrośnięte dziecko taszczyło po podłodze.

Walentyna sapała i dyszała, aż wreszcie musiała się zatrzymać w korytarzu.

– Jesteś strasznie ciężka, a nie wyglądasz – sapnęła i usiadła na moment pod ścianą.

Zamknęłam oczy, bo powieki same mi opadały, ale wciąż ją słyszałam.

– Moja matka mówiła, że z dzieci z gwałtu nigdy nic dobrego nie wyrośnie. I miała rację, jak zawsze. Po Dianie musieliśmy go odesłać z Janówka. Waldek załatwił mu szkołę z internatem dla chłopaków na Pomorzu. Skończył ją i nawet poszedł na studia. Myśleliśmy, że już mu minęło, ale takie rzeczy nie mijają. Złe ziarno, tak mawiała moja matka nieboszczka. Z takiego ziarna wyrasta tylko chwast, ale ja jej nie pozwoliłam się go pozbyć po urodzeniu. Matki tak mają. Teraz tego żałuję.

– Chwilę sobie odpocznę – powiedziała i zaraz znowu podjęła swoją opowieść. – Któregoś razu do mnie dzwoni i mówi, że chce wrócić do domu. Miał rodzinę, żonę, dzieci. Nawet się ucieszyłam, że może mimo wszystko na ludzi wyszedł. Ale on mi wtedy zaczął opowiadać o tym, co robił na Pomorzu. Zdjął mnie strach, że zaraz i tutaj tak zaczną ginąć dziewczyny. Próbowałam go namawiać, żeby wyjechał. Najlepiej sam, ale Maciek był uparty. Zawsze taki był.

Chciałam zapytać, a co z Piotrkim. Otworzyłam oczy i zebrałam wszystkie siły, żeby otworzyć usta.

– Piotr... – szepnęłam.

Walentyna spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Ten dzieciak? – prychnęła. – To nie Maciek. Jak się tylko dowiedziałam, że chodzi o chłopaka, to od razu wiedziałam, że to nie on. Jak wtedy zaginął, to on od razu powiedział, że to nie on, ale źle, że obok ich domu to się wydarzyło, bo psy zaczną węszyć wokół nich.

Nie wierzyłam jej. Mieli sposobność, wiedzieli, gdzie zakopać ciało, żeby nikt go szybko nie znalazł.

– Nie chciał wyjechać... chociaż go prosiłam, aż któregoś razu zmienił decyzję i powiedział, że wyjadą. Wszyscy razem, ale nie chciał powiedzieć dokąd. A potem był ten wypadek. – Pokręciła głową. – I dobrze. Tylko dzieciaków szkoda, ale kto wie, co by wyrosło z tego złego ziarna.

Podniosła się.

– Dość tego gadania. Gdybyś się nie pojawiła, nie byłoby tylu problemów – stęknęła. – Trzeba było siedzieć tam, gdzie siedziałaś, a teraz jest, jak jest.

Ponownie złapała mnie za ręce i zaciągnęła do pokoju, a potem położyła na kanapę. Ostatkiem sił próbowałam poruszyć kończyną, żeby odsunąć od siebie Walentynę, ale to było niemożliwe. Nie miałam pojęcia, co mi podała, ale nagle doznałam olśnienia. Jakby ktoś uderzył mnie mocno w głowę.

Leki nasenne. Podał je dzieciom i żonie przed zapakowaniem ich do samochodu. Stąd osłonki na szybach w pochmurny dzień. Aby nikt nie nabrał podejrzeń, co się dzieje wewnątrz auta. Jeśli tak, to czy planował wypadek samochodowy, czy po prostu chciał skrzywdzić swoją rodzinę w jakiś inny sposób, a wypadek pokrzyżował jego zamiary?

– Gdzieś tu miałaś papierosy – powiedziała zdyszana Walentyna. – Jakie to szczęście, że palisz, chociaż ja nigdy tego nałogu nie znosiłam. Ale teraz będzie łatwiej wszystko zaaranżować – stwierdziła po prostu i dodała: – Zaraz wrócę.

Rozejrzała się po pokoju i wyszła. Do mnie dopiero teraz zaczęło docierać, co zamierzała. Chciała podłożyć ogień pod dom i zaaranżować to jako wypadek. Adrenalina zaczęła przedzierać się do mojego ciała, a panika wszystko przyspieszyła. Serce waliło mi w piersi, jakby miało za chwilę wypaść na podłogę.

Nie mogłam tak zginąć. Nie taką okropną śmiercią. Nie teraz. Nie z takiego powodu. Nie przez tę chorą babę, której ubzdurało się, że musi chronić siebie i swojego pojebanego syna.

Czym mnie nafaszerowałaś, wariatko? Myślałam gorączkowo. Podniosłam do góry jedną rękę. Udało mi się chwycić siedziska i delikatnie podciągnąć. Chciało mi się spać, ale odrętwienie kończyn jakby delikatnie ustawało, a może wyrzut adrenaliny tak na mnie podziałał. Wszystko jedno. Chciałam po prostu dotrzeć do auta albo chociaż do telefonu... miałam go w kieszeni. Przesunęłam ręką po džinsach. Nie było go. Musiał mi wypaść, gdy Walentyna ciągnęła mnie po podłodze, próbowałam mimo wszystko myśleć jasno. W tym stanie nie dam rady do niego dotrzeć. Musiałam zyskać na czasie i po prostu się schować. Sturlałam się z siedziska i boleśnie uderzyłam się w ramię, ale nawet nie jęknęłam. Powoli, bardzo powoli podpełzłam za kanapę i wtedy dopadły mnie okropne mdłości, a po

nich torsje. Nim zdołałam się zorientować, co się dzieje, zwymiotowałam cały spożyty niedawno sernik.

Nie byłam pewna, czy to był skutek trucizny, którą podała mi Walentyna, czy po prostu część jej zwróciłam, bo mój żołądek zareagował na sporą ilość sernika, którą pochłonięłam w krótkim czasie.

Gdyby to była trucizna, pewnie już bym nie żyła, pomyślałam, ocierając usta. Cierpki smak wymiocin palił przełyk i podniebienie. Chciałam się podnieść, ale wtedy usłyszałam kroki.

– Olga? – Usłyszałam męski głos i z radości omal się nie rozpłakałam.

To był Adam. Słyszałam jego kroki w kuchni.

Chciałam coś krzyknąć, ale nie dałam rady, bo gardło mnie cholernie piekło. Próbowałam się podnieść, ale byłam jeszcze słaba. Jedyne, co mogłam zrobić, to złapać za sznur od szklanej lampy stojącej przy stoliku i pociągnąć za niego. Lampa upadła z łoskotem na podłogę, ale się nie zbiła. Mimo to odgłos kroków znowu pojawił się w korytarzu.

– Olga! – dotarło do mnie z sieni.

– Adam – szepnęłam, bo tylko na tyle było mnie stać, ale udało mi się doczołgać do miejsca, w którym byłam widoczna z korytarza.

Za oknem mignęła postać. Walentyna. Adam stanął w drzwiach pokoju.

– Jesteś tu? – zapytał zdziwiony i wtedy jego wzrok padł na mnie.

Z przerażenia aż zastygł w miejscu, a gdy próbował zrobić krok w moją stronę, za jego plecami pojawiła się kobieta.

– Nie! – krzyknęłam, ale było za późno.

Nim Adam zdołał się odwrócić, padł nieprzytomny na ziemię.

Chwilę później poczułam okropny ból w tyle głowy i zobaczyłam ciemność.



Ocknęłam się kilka minut później i obserwowałam spod podniesionych powiek Walentyne, która aranżowała jakąś scenerię tuż przede mną. Opróżnione dwie butelki wina, trzecia stała odkorkowana, w jednej trzeciej pusta. Szurnięta baba, stwierdziłam w myślach. Chciała, aby pożar wyglądał na jakiś wypadek spowodowany przez alkohol i papierosy. Co za finezja, pomyślałam z sarkazmem, który w tej chwili był moją bronią przed popadnięciem w panikę.

Skręciłam głowę, ale ból uniemożliwił gwałtowniejszy ruch. Rozsadzał mi czaszkę, ale czułam, że odzyskuję władzę w kończynach. Niestety, te były skrępowane jakimś sznurkiem, który wpijał mi się w skórę.

Jasna cholera, bąknęłam, próbowałam się wyszarpnąć, ale węzły na nadgarstkach były tak mocne, że tylko sobie otarłam rękę. Ponowiłam próbę zerknięcia w dół i wtedy go zobaczyłam. Adam. Leżał skrępowany, a jego głowa spoczywała w kałuży krwi. Serce mi zamarło, ale po chwili spostrzegłam, że jego klatka piersiowa unosi się i opada w równym tempie. Odetchnęłam z ulgą.

– Kurwa mać! – syknęła Walentyna.

Spojrzałam na nią. Z obrzydzeniem wycierała o dywan buty z moich wymiocin.

Dobrze ci tak, głupia stara kurwo, pomyślałam.

– I na co to wszystko? – zapytałam zachrypniętym głosem.

Moje usta były spierzchnięte i popękane. Dręczyły mnie pragnienie i mdłości. Tym razem wywołane bólem głowy.

– Jak to na co? – oburzyła się. – Nic z tego, co się dowiedziałaś, nie może wyjść dalej. To tajemnica. Moja tajemnica – powiedziała, zastygając w bezruchu. – Tyle lat jej strzegłam, nie pozwolę, żeby ktokolwiek wyniósł ją w świat. Żeby ludzie węszyli.

Parsknęłam śmiechem.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała całkiem spokojnie.

– Już za późno – parsknęłam, a zaraz stęknęłam z bólu. – Dzisiaj rano byłam u komisarza Ligockiego i opowiedziałam mu o znalezisku w piwnicy nawiedzonego domu. – Zaśmiałam się cicho.

– Jakim znalezisku?

Była autentycznie zaskoczona.

– Nieważne – stęknęłam i zaraz dodałam: – *Oddaj to nocy...* co to znaczy? – zaczęłam, a ona podniosła ze zdziwienia brwi. – Znalazłam ten wierszyk w ich domu, a dzisiaj u pani w łazience – powiedziałam, nie spuszczać z niej wzroku, chociaż pozycja, którą musiałam przyjąć, była okropnie niewygodna.

Walentyna klapnęła obok mnie na kanapie i westchnęła. Miałam wrażenie, że była już zmęczona wszystkimi tajemnicami, a mnie mogła bezpiecznie wszystko opowiedzieć, bo i tak nie zamierzała puścić mnie wolno.

– Znalazłam te wierszyki w pokojach dzieci, jak tam sprzątałam po wypadku. Potem znalazłam w jego rzeczach całą puszkę wypełnioną tymi karteluszkami. Na każdej był ten wiersz. *Oddaj to nocy, ukryj przed dniem...* i tak dalej. – Przełknęła ślinę, jakby ją samo wspomnienie przyprawiło o ciarki.

W tym jednym mogłam się z nią zgodzić.

– Chyba zostawiał to tym, których chciał zabić. – Pokręciła głową, aż jej krótkie siwiejące włosy zafalowały. – Złe ziarno.

– I przez ten cały czas go pani chroniła? – zapytałam ze zdziwieniem. – Po co?

Walentyna spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Gdybyś była matką, zrozumiałabyś. Złe to złe, ale to moje ziarno. – Uderzyła się ręką w pierś. – I tylko ja mogę zdecydować, co z nim zrobić. Tylko ja.

Zaczynałam podejrzewać, że zło, które wykiełkowało w Andrzeju czy tam Maćku, było nie tylko dziedzictwem gwałciciela, ale też samej Walentyny, która po tamtym zdarzeniu musiała doszczętnie zwariować.

Walentyna wstała i omiotła spojrzeniem pokój, następnie wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów. Wsadziła sobie jednego do ust i zapaliła. Zaciągnęła się mocno, a potem wypuściła z ust kłęby dymu.

– Niech pani teraz wyjdzie z domu i zniknie – zaczęłam spokojnym tonem, ale w trzewiach odczuwałam zbliżający się kolejny atak paniki. – Spakuje się i wyjedzie. Ma pani czas. Nikt nie zdąży pani znaleźć, tylko niech pani teraz stąd wyjdzie – spróbowałam, ale nie wierzyłam, że się uda. – Potrzeba więcej śmierci i tragedii?

– A czy jakakolwiek tragedia jest potrzebna? – zapytała retorycznie.

– Znała pani moją babcię. Była pani przyjaciółką, a ja jestem jej wnuczką. Co by powiedziała, gdyby żyła? – próbowałam cały czas, hamując napływ emocji, które kompletnie pozbawiłyby mnie sił i logicznego działania.

– Tu nie chodzi o twoją babcię ani o ciebie. Tu chodzi o rodzinę – stwierdziła po prostu, zaciągając się papierosem. – Moją rodzinę. To jedyne, co w życiu się liczy. Czy moje wnuki mają być zapamiętane jako złe ziarno?

Zamilkłam, bo zrozumiałam, że ta kobieta w ogóle nie miała wyrzutów sumienia ani empatii. I te jej argumenty o rodzinie... Jej chodziło o siebie. Wyłącznie o siebie. Chroniła siebie i za nic nie chciała się przyznawać do pokrewieństwa z tak porypanym człowiekiem, jakim był jej własny syn.

– A co zrobiliście z Dianą? – próbowałam ją zagadać, bo czułam, że więzy na nadgarstkach puszczają.

Potrzebowałam jeszcze chwili. Jeszcze kilku minut.

Walentyna popatrzyła na mnie z miną, która świadczyła o tym, że zastanawia się, czy zdradzić mi ten sekret. Wreszcie westchnęła, co chyba oznaczało, że się poddała.

– Jeszcze żyła, gdy mi ją pokazał. Straszny widok – sapnęła i zgasiła niedopałek w popielniczce. – Leżała w stodole i dychała. Maciek przysięgał, że nie chciał, a ja mu uwierzyłam. Matki tak już mają, że wierzą nawet w najbardziej niewiarygodne kłamstwa. – Rozejrzała się po pokoju. – Powiedział, że najpierw chciała mu dać, a potem zmieniła zdanie i zaczęła mu wymyślać od gówniarzy, dlatego ją uderzył, a potem bił, aż przestała się ruszać. Co miałam robić?

– Nie wiem, pomóc jej? Zawieźć do szpitala, a swojego chorego synka na policję? – powiedziałam z sarkazmem.

Walentyna znowu ciężko westchnęła, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem, które nic nie rozumie.

– Dobiliście ją? Jak umierające zwierzę? – zapytałam, żeby mieć pewność i żeby jak najdłużej zająć ją rozmową.

Lewą rękę już prawie uwolniłam z więzów. Potrzebowałam naprawdę niewiele czasu.

– Sama umarła. Po prostu czekaliśmy, a potem.. potem schowaliśmy ją tam, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć – stwierdziła zupełnie normalnym tonem, od którego zrobiło mi się niedobrze.

Ta psychopatka spotykała się z moją babcią i udawała dobrą sąsiadkę, ale tacy ludzie nie mają uczuć wyższych. Jeśli już czują dla kogoś litość, to wyłącznie dla siebie.

– A co wam zrobił Piotrek?

Popatrzyła na mnie ze złością.

– Już mówiłam, że to nie Maciek. Jakby to był on, to powiedziałałby mi. O wszystkim mi mówił. – Wyciągnęła kolejnego papierosa i przypaliła. – Już czas – zakomunikowała. – Chciałam, żeby było bezboleśnie, ale wszystko wyrzygałaś i teraz nie ma innego wyjścia. Po prostu wypiliście za dużo wina, a ty zasnęłaś z papierosem w rękach. Takie rzeczy się zdarzają.

Serce zabiło mi gwałtownie, a w głowie zapulsowało silnym bólem.

– I myślisz, że tak po prostu się wymkniesz, stara wariatko? – rzuciłam wściekle.

– Kochanieńka, a czy ktoś doszedł, kto pomordował te wszystkie dziewczyny z Kartuz? A ktoś doszedł, gdzie jest Diana i co się z nią stało? – zapytała z ironią, zaciągnęła się papierosem i położyła go na lnianym obrusie, który przykrywał stół nocny.

Obserwowałam żarzącego się papierosa i myślałam, że przecież to się nie dzieje naprawdę. To nie mogło się tak skończyć. Nie! Nie! Nie!

– Dojdą, dojdą, bo twój synek zostawił ciekawy ślad, który ich na to wszystko doprowadzi. Pamiątki po tych dziewczynach – mówiłam, szarpiąc się z węzłem sznurka, który poranił mi nadgarstki, ale prawie nie zwracałam na to uwagi.

– Nie dojdą, kochanieńka. Umorzą. Jak wszystkie te mordy, co się dzieją w całym kraju – zakomunikowała z zadowoleniem.

Ona naprawdę była przekonana, że jest nieuchwytna i na tyle sprytna, że wszystkich przechytrzyła.

Nie miałam już siły z nią dyskutować. Walentyna dawno sfiksowała i nie było w niej ludzkich odruchów. Być może stało się to tamtego dnia, gdy została

zgwalczona w lesie, a może w dniu, w którym się urodziła, już nie była całkiem normalna.

Papieros najpierw wypalił w obrusie czarny krąg, a potem len zajął się ogniem.

Strach chwycił mnie za gardło tak mocno, że nie mogłam wydusić z siebie słowa. Czy ona naprawdę myślała, że ktoś uzna to za wypadek? Dwoje ludzi ze związanymi rękoma, którzy giną w pożarze? A może było jej wszystko jedno, skoro jej nazwisko pojawiło się w toku śledztwa tylko w charakterze pośredniego świadka.

Ogień strawił cały obrus i zaczął lizać drewniany, lakierowany blat stolika. Walentyna skinęła głową, jakby uznała, że dobrze wykonała robotę, i wyszła z pokoju.

– Adam! – krzyknęłam – Adam! Ocknij się, do cholery – zapłakałam.

Chłopak poruszył delikatnie głową i zaraz się skrzywił. Cały czas nawoływałam go po imieniu. Poczułam na twarzy gorąco. On też już musiał je wyczuć, dlatego próbował się wybudzić.

Jeśli ogień dotrze do linoleum pokrywającego podłogę, nie będziemy w stanie tego powstrzymać i spłonimy żywcem. Ogień najpierw dotrze do najbliższych mebli, potem odetnie nam jedyną drogę wyjścia.

– Adam! – wrzasnęłam.

Gorąco płomieni paliło mnie w twarz. Jeszcze jeden ruch, jeszcze jeden i... udało mi się uwolnić rękę. W pośpiechu rozsupłałam węzeł na nadgarstkach, ale na nogach nie było tak łatwo, mimo dwóch wolnych rąk. Usłyszałam, jak Adam jęknął.

– Wstawaj! Adam!

Chłopak próbował się podnieść, ale jego też krępowały więzy. Pod stolikiem załamały się nogi i ogień dotarł już do podłogi i dywanu. Nie miałam czasu... Jedynym sposobem na ratunek była próba zduszenia ognia, zanim ogarnie większą powierzchnię. Zdarłam z wersalki grubą narzutę i zarzuciłam ją na stół i dywan pod nim, żeby odciąć dopływ tlenu do płomieni. Coś syknęło i spod narzuty buchnął tuman dymu, od którego się rozkaszałam. Ogień zgasł, a z mojej piersi wyrwał się głośny szloch ulgi. Zatkaną drżącą dłonią usta i opadłam bezsilnie na kanapę. Wiedziałam, że nie ma czasu na rozczulanie się, bo Walentyna mogła gdzieś tu być, na pewno nie pozostawiała takich rzeczy przypadkowi, ale po prostu musiałam usiąść.

– Olga?

Na dźwięk mojego imienia ocknęłam się z odrętwienia i z wciąż spętanymi nogami w kostkach, ukucnęłam obok Adama. Zaczęłam odplątywać sznurek, którym Walentyna obwiązała jego nadgarstki. Uniosłam jego głowę i pomogłam mu się podnieść.

– Żyjesz? – zapytałam i dokonałam inspekcji rany na jego potylicy.

Nie wyglądała na głęboką, ale wciąż krwawiła, chociaż już o wiele słabiej.

Skinął głową, a ja nie mogłam się powstrzymać i pocałowałam go. Mocno i z pasją. Aż do teraz nie wiedziałam, że tak bardzo tego pragnę. Gdy oderwaliśmy się od siebie, Adam głośno westchnął.

– Przepraszam – szepnęłam.

– Okej. – Zaczął rozwiązywać więzy na moich kostkach. – Pogadamy później, teraz musimy zadzwonić po kogoś, kto zgarnie tę wariatkę i zamknie w pokoju bez klamek.

Zdołałam się nawet uśmiechnąć.

– Słyszałem, co opowiadała. O tych dziewczynach i o jej chorym synku. – Skrzywił się z bólu i dotknął tyłu głowy. – Czyli Maciej Sysio to nasz Andrzej Borkowski? – zapytał słabym głosem.

– Tak. To ten sam typ i wygląda na to, że od początku mieliśmy rację.

Adam pomógł mi się podnieść. Nogi miałam zdrętwiałe, ale zdołałam na nich w miarę stabilnie stanąć. Trzymając się za ręce, wyszliśmy z domu. Na dworze było już ciemno, a noc wydawała się nieprzenikniona. Mimo wszystko nie zatrzymaliśmy się, tylko pobiegliśmy w stronę podjazdu.

– Masz telefon? – zapytałam. – Ja swój gdzieś zgubiłam, gdy Walentyna taszczyła mnie po podłodze.

– W samochodzie.

Adam zaparkował przy samej bramie. Gdy znaleźliśmy się przy samochodzie, chłopak pociągnął za klamkę, a potem obmacał kieszenie, ale zaraz jęknął.

– Nie ma. Musiała mi go wyciągnąć.

– Nieważne. Biegnijmy do najbliższych zabudowań i zadzwońmy od kogoś z sąsiadów – zarządziłam.

Ruszyliśmy szutrówką w stronę głównej szosy. Żadne z nas nie mogło już biec, bo byliśmy ranni. Szybki marsz musiał nam wystarczyć.

– Wróciłem, bo chciałem ci coś powiedzieć – zaczął Adam, chwytając mnie za rękę.

Cały czas byłem w szoku i nie do końca byłem w nastroju do rozmowy, ale może Adam tego potrzebował.

– Co takiego?

Zadrzałem. Noc była zimna, a my nie mieliśmy na sobie żadnych kurtek.

– Chodziło o to, co mi powiedziałaś wcześniej – zaczął – że ktoś wielokrotnie widział mój firmowy samochód pod domem Borkowskich.

– I? – Znowu zatelepałem się z zimna i ze strachu.

Adam zatrzymał się nagle i złapał mnie za ramiona.

– Wiem, że może ci się to nie spodoba. Mnie też, ale... jedyną osobą oprócz mnie, która jeździła moim służbowym samochodem, był... Mateusz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, co powiedziałem. Mężczyzną, którego sąsiedzi widzieli u Borkowskich, był Mat, Olga. Nie ja.

– Mat miał romans z żoną Borkowskiego? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Mateusz pomagał mi w tamtym okresie w montażach, ja miałem dużo zleceń, a on potrzebował dodatkowej kasy. – Adam się zatoczył.

Musiałam go podtrzymać, bo słabł z sekundy na sekundę.

– Porozmawiamy o tym później, teraz usiądź. – Posadziłam go na mokrej trawie...

– Nie. Muszę ci powiedzieć to teraz... – Oparł się głową o moje ramię – ...zanim będzie za późno.

– Mów – szepnęłam i położyłam sobie jego głowę na kolanach.

– Sprawdziłem w kalendarzu dni, w których Mat pomagał mi w zleceniach. Pod koniec maja miał pierwsze zlecenie w tamtych okolicach. W niedalekim sąsiedztwie Borkowskich. – Adam zadrzał z zimna, a ja go objęłam ramionami. – Jeździłem tam potem na serwis elektroniki pieca. Myślę... – Zaczął szczerkać zębami z zimna. – Myślę, że właśnie wtedy musiał poznać Borkowską. Nie wiem, w... jakich okolicznościach, a-le to musiało być wte-dy. – Zamknął oczy i jego ciało nagle zwiotczało.

– Adam? – potrząsnęłam nim, a potem przytknęłam palce do jego szyi.

Wyczułam normalny puls, co mnie trochę uspokoiło, ale fakt, że znowu straciłam przytomność, był niepokojący. Musiałam jak najszybciej zadzwonić po pomoc. Do najbliższych zabudowań miałam jeszcze kawałek drogi. Obejrzałam się za siebie na dom dziadków, który tonął w gęstym mroku i mgle znad Żabiego Jeziora. Tylko delikatna poświata z lampki nocnej dawała słaby poblask od strony ulicy. Nagle doznałam olśnienia. Nie trzymałam telefonu przy sobie, gdy zaprosiłam Walentynę do środka. Wrzuciłam go do torebki, a ta musiała wciąż być w kuchni, o ile oczywiście ta psychiczna kobieta jej ze sobą nie zabrała. Nie miałam wyjścia. Musiałam tam wrócić. Byłam wycieńczona, ale w moich żyłach krążyła potężna dawka adrenaliny. Odcięłam na razie to, co powiedział mi Adam, bo nie byłabym się w stanie skupić na zadaniu, i delikatnie ułożyłam jego głowę na trawie. Nie miałam innego wyjścia – żeby mu pomóc, musiałam go zostawić.

Szybkim marszem pokonałam odległość do podjazdu i raz jeszcze pociągnęłam za klamkę od drzwi auta Adama, żeby się upewnić, że w tym ferworze ucieczki się nie pomyliliśmy, ale niestety nie.

Otworzyłam ostrożnie furtkę i ruszyłam w stronę domu. Zajrzałam do środka przez jedyne oświetlone okno. Z tej perspektywy pokój wyglądał jak rumowisko. Lampka z bordowym abażurem leżała na podłodze. Zawalony i częściowo spalony stół nadal był przykryty narzutą. Stąpając ostrożnie podeszłam do drzwi. Zanim jednak zdecydowałam się wejść do wiatrołapu, rozejrzałam się za jakąś bronią. Nieopodal stała mała motyczka, którą próbowałam rozprawić się z chwastami w ogrodzie. Tutaj też mógł czaić się pewien chwast, który potrzebował wypielenia, pomyślałam w przyływie wisielczego humoru.

Weszłam do wiatrołapu, ściskając mocno w garści trzonek. Drzwi do wnętrza pozostały otwarte, tak jak je zostawiliśmy, wybiegłszy stąd kilka chwil temu. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale najwyraźniej Walentyna się stąd wyniosła, zanim przekonała się, że jej plan wypalił.

Postąpiłam dalej, już znacznie różniejszym krokiem. Dom wypełniał ostry zapach spalenizny. Znałam rozkład pomieszczeń na pamięć, więc nie potrzebowałam światła. Dotarłam do końca korytarza, a potem ostrożnie weszłam do kuchni. Tu panował największy mrok, ale wolałam nie zdradzać swojej obecności żadnym pochopnym gestem. Miałam przedziwne wrażenie, że jeszcze chwila, a moje ciało, napięte jak struna, pęknie.

Powoli zbliżyłam się do stołu, a potem wymacałam obrys krzesła, na którym powinna znajdować się moja torebka. Gdy ręka natrafiła na skórzaną rączkę, odetchnęłam z ulgą. Sięgnęłam do niej i dość szybko wygrzebałam z niej telefon. Uruchomiłam go natychmiast. Poblask z wyświetlacza poraził mnie w oczy. Na ekranie pojawiły się ikonki wiadomości z różnych komunikatorów i kilkanaście nieodebranych połączeń. Połowa z nich pochodziła od Adama. Kolejne od mamy, taty, kilka od Ligockiego i dwa od Felixa. W pierwszej kolejności wybrałam numer Ligockiego. Nie zdążyłam się połączyć, bo za sobą usłyszałam jakiś stukot. Zadziałał instynkt i uchyliłam się w bok. W blat stołu tuż obok mnie uderzyło coś z głuchym hukiem.

Zanim zdołałam się zorientować, co się dzieje, Walentyna próbowała zadać mi kolejny cios, tym razem trafiła w krzesło. Rzuciłam się na ziemię, telefon wypadł mi z ręki i z łoskotem uderzył o podłogę. Zakłęłam pod nosem i szybko wczołgałam się pod stół.

– Wyłaź! – rozległ się wściekły krzyk Walentyny.

– Spierdalaj! – syknęłam i na czworakach przesunęłam się na drugi koniec stołu, a potem podniosłam się z kolan i doskoczyłam do włącznika.

Nacisnęłam go, a kuchnię zalało mocne, białe światło. Ujrzałam zgarbioną i wymęczoną ostatnimi karkołomnymi wyczynami niemłodą już kobietę, która z roku na rok coraz bardziej fiksowała, aż jej obłąd osiągnął punkt kulminacyjny. W dłoni dzierżyła metalowy pręt. W jasnym świetle kuchennej żarówki nie wyglądała już tak groźnie jak wcześniej, gdy miała nade mną przewagę w postaci tabletek nasennych i więzów.

– Niełatwo cię zabić, Olu – stwierdziła. – Ale nie jesteś nieśmiertelna. – Obeszła stół, żeby się do mnie zbliżyć.

Nie ruszyłam się z miejsca, bo miałam dość uciekania. Dlaczego miałabym uciekać? Byłam u siebie, a ona była intruzem. Gdy się na mnie zamierzyła, ja znowu się uchyliłam i jednocześnie złapałam za moją motyczkę, która stała przy drzwiach. Szybkim ruchem podciąłam jej nogi. Walentyna nie przewidziała tego i zachwiała się, a potem rąbnęła na podłogę jak długa, wcześniej uderzywszy głową w stół. Straciła przytomność albo umarła. W tej chwili było mi to naprawdę obojętne.

– Ty też, stara wariatko – powiedziałam, odrzucając motyczkę w bok.

Podeszłam do kobiety i kopnęłam pręt najdalej, jak się dało. Następnie schyliłam się po telefon, który leżał przy lodówce. Nie był mi jednak potrzebny, bo w oddali zobaczyłam migające światła policyjnego radiowozu i karetki.



Siedziałam na szpitalnym korytarzu i sączyłam jakąś lurę z automatu. Za oknem majaczył cudowny, pomarańczowy wschód słońca, ale nie miałam siły się nim zachwycać. Po tym, jak zeszła ze mnie adrenalina, ścięło mnie z nóg. Czułam się jak balon, z którego uleciało całe powietrze. Chociaż udało mi się zdrzemnąć kilka godzin na szpitalnym łóżku, wcale nie czułam się wypoczęta. Wręcz przeciwnie, podejrzewałam, że sen tylko mnie zmęczył.

– Pani Olgo, jest pani pacjentką, a nie odwiedzającym – zganił mnie Ligocki, który usiadł obok mnie na krześle.

– Chcę się zobaczyć z Adamem – powiedziałam.

– Miał wstrząśnienie mózgu, pani zresztą też, to nie zielona noc na koloniach – ponowił tym razem z lekkim kpiarskim tonem, do którego już zaczynałam się przyzwyczajać.

Uśmiechnęłam się.

– Podczas zielonych nocy dochodziło do o wiele gorszych incydentów – odparłam, tym razem on się szczerze uśmiechnął.

– Jak się pani czuje?

– Wycieńczona – sapnęłam.

– O której będą pani rodzice?

– Są w drodze. Powinni być za jakieś trzy godziny – odparłam sennym głosem.

– Miała pani rację – odrzekł. – Technicy przekopują ogródek Ostrowskiej i już natrafili na fragment szczątków.

Diana. Róża zasadzona na grobie dziewczyny o tym samym imieniu.

– Powinna pani wstąpić do policji. Mało ludzi ma taki instykt.

Parsknęłam.

– Jako policjantka nie mogłabym się włamywać do piwnic opuszczonych domów, a tylko tam kryją się wszystkie tajemnice – zażartowałam.

– Czemu nie, z nakazem możemy wchodzić wszędzie, gdzie zechcemy. – Wzruszył ramionami.

Bardzo powoli wstawał nowy dzień, a w jego świetle wszystko zaczynało wyglądać surrealistycznie. I próba podpalenia domu babci i dziadka. I atak Walentyny, która obecnie leżała na OIOM-ie z krwiakiem mózgu. Bywa.

– Czy ktoś już zweryfikował rzeczy z pudła? – Odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam komisarzowi w oczy.

Każdy ruch głowy trochę bardziej energiczny niż leżenie na poduszce wywoływał w mojej czaszce pulsowanie, ale i do tego zaczynałam się już przyzwyczajać.

– W toku. Koledzy z Kartuz się tym zajmują – odpowiedział zwięźle.

Nie było sensu drążyć, bo podejrzewałam, że dopiero otrzymali fanty i najpierw będą nad nimi długo dumać, a potem dopiero zadziałają. No cóż, w tej chwili na szali było tylko przyporządkowanie sprawcy do zbrodni, a ten już nie żyje.

– Napiszę o tym – wypaliłam nagle i oparłam się plecami o zimną ścianę. – Każdy zasługuje na sprawiedliwość. I pamięć.

Mężczyzna skinął głową, jakby już to wiedział.

– Ta historia czekała na panią – oświadczył, a ja uśmiechnęłam się pod nosem.

Tak, czekała właśnie na mnie. Ale nie tylko ta. Serce zabiło mi mocniej, a w głowie pojawił się szum. Spojrzałam w okno. Dzień właśnie odkrywał kolejną prawdę, która wiedziałam, że złamie mi serce.

– Muszę wrócić do domu – stwierdziłam po prostu.

– Na pewno, jeśli lekarz... – zaczął komisarz, ale ja już wstawałam.

– Teraz. Muszę tam wrócić teraz. – Popatrzyłam na niego z błagalną miną. – Wezwałby mi pan taksówkę?

Ligocki wywrócił oczami i podniósł się ciężko z miejsca.

– Niech pani zaczeka, tylko dam komuś znać, że wychodzimy.

Dwadzieścia minut później zatrzymaliśmy się pod domem babci i dziadka. Ligocki złapał za klamkę drzwi, ale powstrzymałam go.

– Chcę iść sama.

– Wykluczone – odparł.

– Proszę. – Chwyciłam go za rękę. – Chcę tylko pomyśleć.

Poddał się, sapnął i opadł na siedzenie.

– Ma pani dziesięć minut. Potem wracamy do szpitala, nawet jakbym miał panią dostarczyć tam siłą.

Skinęłam głową i opuściłam samochód. Najpierw weszłam do domu, w którym było przeraźliwie zimno. Wciąż panował tu bałagan po tej strasznej nocy, ale teraz byłam na to wszystko ślepa. Podeszłam do torby, która pomimo tylu dramatycznych zajść wciąż leżała w miejscu, w którym zostawiłam ją wczoraj po powrocie do domu. Wyjęłam z niej złożony na cztery części list, ścisnęłam go mocno w dłoni i lekko utykając, ruszyłam w stronę drzewa. Mojego drzewa. Naszego drzewa.

Z każdym krokiem w moim sercu robiła się olbrzymia wyrwa. Opadłam na stos liści, które przykryły w całości trawę i ziemię wokół dębu. Rozłożyłam sfatygowany list i położyłam go na kolanach.

Kochana Olgo,

Wiem, że minęło sporo czasu i być może już o mnie zapomniałaś, ale ja o Tobie nie zapomniałem. Nie mógłbym, bo jesteś moją pierwszą i jedyną miłością. Jesteś też jedyną osobą, do której mogę się teraz zwrócić. Moje życie wywróciło się do góry nogami, a właściwie zrobiło kilka salt w powietrzu i teraz już nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Poniżej następował opis wypadku, którego był uczestnikiem i jego konsekwencji.

Tego jednego grzechu nie jestem winien i chciałbym, żebyś mi uwierzyła. Tylko Twoja wiara we mnie się liczy.

Nie chciałem Cię porzucić i w głębi serca nigdy tego nie zrobiłem, ale po Twoim wyjeździe zmieniłem się. Wszystko się zmieniło. Popełniałem błąd za błędem, a ten jeden największy odebrał mi wszystko.

Za nic Cię nie obwiniam. Nie myśl tak. To ja jestem winien wszystkiemu.

Zrób dla mnie jedną rzecz. Wróć. Wróć do miejsc, w których byliśmy szczęśliwi. Usiądź w miejscu, z którego najlepiej widać gwiazdy. Uwolnij mnie i wybacz mi.

Będę Cię zawsze kochał i nawet jeśli wszystko inne zrobiłem źle, to miłość do Ciebie była czymś wspaniałym i dobrym.

Mat.

Po moich policzkach popłynęły łzy. Pomimo że czytałam ten list sto razy, dopiero teraz go zrozumiałam. Pomiędzy wersami pojawiła się ta prawdziwa wiadomość, której nie byłam w stanie przejrzeć wcześniej, bo nie znałam faktów.

– Mat, Mat. Coś ty narobił? – szepnęłam, a potem zanosłam się szlochem.

Tego jednego grzechu nie jestem winien.

Nie, to nie ty doprowadziłeś do wypadku Borkowskich. Wierzę ci, Mat. Wierzę.

– Spotykałeś się z Anielą Borkowską, prawda? – zapytałam go, jakby tu przy mnie był. – Oboje byliście samotni. Miałeś do tego prawo, ona zresztą też. – Westchnęłam głęboko. – Mam nadzieję, że chociaż przez chwilę byliście szczęśliwi – szepnęłam, a moje wargi znowu zadrżały.

Popęłniałem błąd za błędem, a ten jeden największy odebrał mi wszystko.

Adam powiedział, że po śmierci matki, jego jedynej rodziny, Mat zaczął więcej pić. Podejrzewałam, że właśnie to była przyczyna wypadku, do którego doszło w dzielnicy Borkowskich.

Usiądź w miejscu, z którego najlepiej widać gwiazdy. Uwolnij mnie i wybacz mi.

– Chciałeś, żebym go znalazła. – Westchnęłam. – Zrobiłam to, Mateusz. Znalazłam go.

Z nieba lunęła ściana deszczu. Ledwie to zauważyłam. Brakowało mi tchu, ale nie mogłam się poruszyć. Nie chciałam.

– Znalazłam go – powtórzyłam. – Jesteś już wolny?



Wyszłam z aresztu śledczego i spojrzałam w górę na kłęby ciemnych, deszczowych chmur pędzących po niebie. Wszystko zdawało się odzwierciedlać mój stan ducha.

Dzisiaj ostatni odłamek wskoczył na swoje miejsce. Odłamek, który odprysnął z mojego serca i stworzył prawdziwy obraz wydarzeń sprzed roku. Nigdy się nie dowiem całej prawdy, i nawet tego nie chcę. Niektóre rzeczy powinny zostać nieodkryte.

Wsiadłam do samochodu i położyłam czoło na kierownicy.

Dyżurny, który był na zmianie, gdy zginął Mateusz, powiedział, że ten w areszcie przez cały czas zachowywał się prowokacyjnie. Tamtego dnia również. Popchnął kołesia, który czekał na proces w sprawie pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Agresywnego i niebezpiecznego. Mateusz nawet się nie bronił, gdy tamten go masakrował, a potem dźgnął kawałkiem szkła niewiadomego pochodzenia.

Nikogo to nie obeszło. O jedną gębę do wykarmienia przez podatników mniej.

Pokręciłam głową i przełknęłam wielką gulę w gardle.

Przed oczami stanęła mi uśmiechnięta twarz Mateusza, tamtego pierwszego wspólnego lata. Staliśmy po kostki w wodzie i czekaliśmy na zachód słońca. Trzymaliśmy się za ręce. Mateusz posłał mi to swoje spojrzenie mówiące: jesteś moja, a ja jestem twój. Na zawsze.

Nigdy wcześniej i nigdy później tak nie kochałam jak tamtego upalnego lata, gdy miałam szesnaście lat. I właśnie dlatego tu przyjechałam i złożyłam tę prawie niemożliwą do wypełnienia obietnicę. To jedno mogłam dla niego zrobić. Przynajmniej spróbować.

Czy gdybym nie wyjechała, to wszystko potoczyłoby się inaczej? Czy Mateusz podjąłby inne decyzje? Już nigdy się tego nie dowiem.

Odpaliłam silnik i wyjechałam z parkingu. Dotarłam na miejsce, gdy słońce zaczynało lizać korony drzew najbliższego lasu. Chmury rozpięzchły się i przestało być tak ponuro.

Zamiast do domu, w którym czekali na mnie rodzice i Adam, ruszyłam w stronę mojego drzewa.

Chwyciłam się gałęzi i wdrapałam po pniu na pierwszy konar, a potem na następny i następny, aż dotarłam do tego najwyższego, który był mnie w stanie utrzymać. Usiadłam na nim i zadarłam głowę. Na bezchmurnym niebie zaczynały pojawiać się gwiazdy. Czekałam, aż niebo całkiem utonie w czerni. Ja sama chciałam na moment w niej się zanurzyć. Wrócić do tamtego świata, kiedy nasze serca były naprawdę wolne. Gdy trzymając się za ręce, wbiegaliśmy do zimnej wody. Powietrze pachniało nagrzaną ziemią, a niebo miało kolor różowej waty cukrowej. Nasz śmiech niósł się po okolicy, a my byliśmy jedynie pragnieniem.

Nasz sen we śnie.

Takiego cię na zawsze zapamiętam.

– Wybaczam ci. Wiem, że tego właśnie ode mnie chciałeś i dlatego mnie tu sprowadziłeś. Już ci wybaczyłam i mam nadzieję, że gdziekolwiek jesteś, ty sobie również wybaczyłeś.

Nie znajdą cię

Cienki pasek światła przedarł się przez zamknięte powieki Anieli. Czy to był już dzień, czy jeszcze noc? Gdzie była? W łóżku? Nie, na pewno nie. Czuła drżenie silnika samochodu. Dokąd jechała?

Podniosła ciężkie powieki, ale zaraz musiała je znowu przymknąć, bo miała wrażenie, że ważą tonę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z olbrzymiego bólu głowy, który pulsował na potylicy.

Z wielkim wysiłkiem otworzyła oczy i zorientowała się, że siedzi na miejscu pasażera. Jest przypięta pasami, a autem kieruje Andrzej. W tle leciała jakaś muzyka, a on nucił sobie pod nosem.

– Gdzie... jedziemy? – zdołała zapytać wysuszonymi ustami.

Andrzej spojrzał na nią pospiesznie, ale nie przestawał nucić.

– Na wycieczkę – rzucił radośnie po chwili. – Tak jak to zaplanowaliśmy. Zapomniałaś? – Uśmiechnął się.

Dlaczego nic nie pamiętała. Tylko tyle że odwołali wyjazd i to, że powiedziała mu o powrocie z dziećmi do Kartuz. Bez niego.

– Zawsze miałaś kiepską pamięć. Ale byłaś ładna i tym mnie omamiłaś. Wciąż jesteś ładna, Elu. – Posłał jej dziwne spojrzenie. – Przykro mi, że tak to się musi skończyć, ale powinnaś wiedzieć wcześniej, że nigdy nie pozwolę ci odejść i zabrać dzieci.

– Co ty mówisz? – szepnęła.

Po jej plecach przebiegł dreszcz przerażenia.

– Gdzie są dzieci? – zapytała spanikowanym głosem.

Zaczęła się gwałtownie poruszać, ale ból w głowie się nasilił. Zignorowała go, bo strach o syna i córkę był większy. Obejrzała się za siebie i zamarła. Arek opierał się głową o szybę, a Kinga leżała na jego ramieniu. W samochodzie panował półmrok przez zasłony przeciwsłoneczne na oknach.

– Co ty im zrobiłaś? Arek! Kinga! – zawołała.

– Nie krzycz. Śpią.

– Dlaczego się nie budzą? Kinia? Arek? – Złapała chłopca za nogę i potrząsnęła nią, ale on ani drgnął.

Zaczęła w panice odpinać pas i nie przestawała wołać dzieci po imieniu.

– Przestań! – krzyknął Andrzej. – Siadaj! – chwycił ją za rękę i wykręcił boleśnie.

– Spierdalaj! – Wyszarpnęła rękę i uderzyła go w głowę.

Zdołała chwycić rękę córki, ale ta była zimna jak lód. Zimna. Zimna. Zimna.

– Coś ty im zrobił? Co ty im zrobiłaś!? – krzyknęła i miała wrażenie, że sama zamieniła się w krzyk. – Coś ty im zrobił?!

– To, do czego mnie zmusiłaś, głupia kurwo! – wrzasnął, cały czas szarpiąc ją za sweter.

– Kinia? – złapała córeczkę za rękę i wyczuła delikatny, bardzo delikatny puls na nadgarstku.

Jej serce znowu zaczęło bić. Musiała coś zrobić. Z trudem precyzyjnie się do przodu.

– Zatrzymaj się! – Uderzyła Andrzeja w ramię, ale ten ani drgnął.

– Siadaj! – wrzasnął, szarpiąc ją za sweter.

– Zatrzymaj się! Natychmiast! – Chwyła za kierownicę.

Andrzej brutalnie odepchnął ją od siebie, a potem mocno uderzył łokciem w szczękę. Omal nie zemdląła z bólu. W ustach poczuła smak krwi.

Andrzej zwariował, doznała nagłego przebłysku rzeczywistości w tym szaleństwie. Już wiedziała, że nie zdoła go przekonać do racjonalnego zachowania. Chciał im wszystkim zrobić coś strasznego. Musiała go powstrzymać. Musiała ratować dzieci. Tylko to ją w tej chwili interesowało. Tylko to.

Samochód przyspieszył, a Andrzej przeniósł całą swoją uwagę na drogę. Nic nie mówił, nawet na nią nie patrzył.

Zerknęła pośpiesznie do tyłu. Dzieci były przypięte pasami, ona nie. Naprawiła ten błąd. Odczekała kilka sekund i podjęła decyzję. W ułamku sekundy odpięła pas bezpieczeństwa na miejscu kierowcy, oburącz złapała za kierownicę i skrzyła ją na przeciwległy pas. Jak w zwolnionym tempie zobaczyła światła jadącego z naprzeciwka auta...